

Alistair MacLean *Alastair MacNeil*
POCIĄG ŚMIERCI

Przekład:

Jan Konar i Jarosław Kotarski

Prolog

Pewnego dnia we wrześniu 1979 roku sekretarz generalny Narodów Zjednoczonych przewodniczył nadzwyczajnemu posiedzeniu, w którym brało udział czterdziestu sześciu specjalnych wysłanników, reprezentujących wspólnie wszystkie kraje świata. Był tylko jeden punkt porządku dnia: wzmagający się przyływ międzynarodowej przestępczości. Przestępcy i terroryści byli w stanie uderzyć w jednym kraju, następnie uciekali do innego, natomiast narodowe siły policyjne nie miały możliwości przekraczania granic bez naruszania protokołu i suwerenności innych państw. Co więcej, procedura biurokratyczna związana z wystawieniem nakazów ekstradycji (w tych krajach, które ją stosowały) była kosztowna i zżerała czas, a wielu pozbawionych skrupułów prawników znajdowało w niej luki, w rezultacie których ich klienci byli zwalniani bez żadnych warunków. Trzeba było znaleźć rozwiązanie. Zgodzono się utworzyć międzynarodowe siły, które działałyby pod egidą Rady Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych. Miały być one znane jako Agencja Narodów Zjednoczonych do Zwalczenia Przestępczości (UNACO).

Jej celem było "usunąć, zneutralizować lub pochwycić osoby lub grupy zaangażowane w międzynarodowej działalności przestępczej". Od każdego z czterdziestu sześciu wysłanników zażądano przedstawienia dokładnego życiorysu kandydata na dyrektora UNACO, z tym, że do sekretarza generalnego należał ostateczny wybór.

Potajemna egzystencja UNACO rozpoczęła się 1 marca 1980 roku.

Rozdział pierwszy

Miał to być kulminacyjny punkt wielu miesięcy planowania.

Zabójstwo generała Konstantyna Benina.

Ponure, szarawe światło spływało na Moskwę tego ranka i wyglądało, że meteorolodzy mieli rację przepowiadając w południe deszcz.

Właśnie zaczęły się ogólnokrajowe wiadomości nadawane o szóstej rano, gdy niebieski TIR zjechał na jeden z licznych parkingów na twardym poboczu prowadzącej na południe drogi okrężnej.

Lena Rodenko zgasła silnik i wyłączyła monotonne, propagandowe gadanie. Wcisnęła papierosa między wyschnięte wargi, po czym zaczęła grzebać w kieszeniach płaszcza w poszukiwaniu zapalniczki i osłaniając drżącymi palcami płomień, zapaliła papierosa, zaciągając się głęboko.

Była z natury ponętna, nie przejawiała jednak zainteresowania swym wyglądem. Krótkie, kasztanowe włosy miała gładko zaczesane na bok, a jej blade policzki i mały podbródek były upstrzone brzydkimi pryszczkami. Spojrzała na swego brata siedzącego obok i zdobyła się na słaby, nerwowy uśmiech. Wasyl miał dwadzieścia dwa lata, był trzy lata starszy. Jego włosy, dla kontrastu, spadały niechlujnie na ramiona, a rozwichrzona broda wyglądała tak, jakby ją ktoś przyklejał na oślep.

Wyjęła kasetę z kieszeni i włożyła ją do magnetofonu. Była to taśma angielskiego zespołu, podarowana jej przez Wasyla na ostatnie urodziny — stała się jej najukochańszym z posiadanych przedmiotów.

Żadne z nich nie rozumiało słów, lecz muzyka reprezentowała wszystko co słuszne i sprawiedliwe. Demokrację.

Gdy, zamyślona, pociągała papierosa, jej myśli wędrowały do przygotowanego przez nich dossier Benina.

Ukończył Akademię Armii Czerwonej w 1950 roku, cztery lata później został zwerbowany przez KGB, lecz pewne znaczenie uzyskał po raz pierwszy w 1961 roku, jako jeden z twórców Dirección General de Inteligencia Fidela Castro. Obaj mieli zostać przyjaciółmi na całe życie. Spędził następnie kilka frustrujących lat jako attache wojskowy w Brazylii — było to, jak mówiono, posunięcie zainicjowane przez jego zwierzchników w obawie o własne pozycje — zanim powrócił do Moskwy, na stanowisko szefa jednostki śledczej. Spędził potem krótki czas jako wykładowca w szkole szpiegów w Gatczynie, a następnie został wysłany w 1974 roku do Angoli jako wyższy doradca wojskowy; trzy lata później przejął obowiązki komendanta w głośnej Bałszyce, centrum

szkolenia międzynarodowych terrorystów, położonym na peryferiach Moskwy.

Następnie został mianowany zastępcą szefa Departamentu V najbardziej złowieszczonego wydziału KGB. Do jej zadań należały uprowadzenia, zabójstwa, sabotaż i terroryzm, zarówno w kraju jak i zagranicą. Awansował na szefa w 1984 roku. W ścisłym gronie samego Biura Politycznego, mówiono, że był odpowiedzialny za wysłanie na śmierć w syberyjskich obozach koncentracyjnych większej ilości ludzi, niż jakikolwiek inny oficer KGB za ludzkiej pamięci.

W trakcie kompletowania dossier spotkało ich jedno

niepowodzenie. Oprócz zdjęcia z promocji nie było żadnej innej fotografii Benina. Z pewnego dystansu Lena była w stanie dostrzec pomysłowość jego taktyki. Stał się po prostu jeszcze jednym biurokratą bez twarzy. Początkowo wydawało się, że to problem nie do pokonania, póki ktoś nie powiedział, że twarz Benina może nie być znana, natomiast z pewnością znany jest jego samochód. Raczej podobny do odpornego na kule czołgu — powiedział ktoś inny — potrzebny byłby pocisk przeciwczołgowy, żeby go dostać.

Nie słyszała reszty rozmowy. W myśli układała już plan działania. Spojrzała na popękana tarczę taniego zegarka i przełknęła nerwowo ślinę. Był już prawie czas. Jakby w odpowiedzi na jej myśli ożywiło się walkie-talkie na kolanach Wasyla. Otrzymali sygnał, że wszystko jest w porządku. Usiłowała uruchomić wóz i gdy już myślała, że załąła silnik, ten charcząc zaskoczył. Skierowała się na drogę. Zatrzymała wóz siedemdziesiąt jardów dalej obok stalowego zbiornika i wrzuciła luz, pozostawiając silnik na wolnych obrotach.

Wasyl sprawdził czas. Mieli nieco ponad cztery minuty. Zeszli z wozu i przeszli do tyłu, by otworzyć drzwi.

Genadij Potrowski ciągle jeszcze nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Dwa dni temu prowadził jeszcze transporty wojskowe w Kuszino, jednym z centrów szkolenia KGB poza Moskwą, a teraz polecono mu wozić samego generała Benina. Rozkazano, by nie mówił o tym nikomu, nawet swej będącej w ciąży żonie, dopóki nominacja nie będzie ogłoszona oficjalnie. Ona wówczas dowie się pierwsza, potem urządzi się przyjęcie, by powiedzieć o tym przyjaciołom, którzy razem z nim ukończyli w zeszłym roku Akademię Armii Czerwonej. Będą razem świętowali to wydarzenie. Wiedział jednak, że będą mu zazdrościć. Benin był przecież legendarnym człowiekiem w akademii.

Był to dla Potrowskiego pierwszy dzień służby. Poprzedniego dnia jeździł po trasie tam i z powrotem, aż poznał ją znakomicie. Nie powinno być żadnych niedogodności dla generała — powtarzano mu ciągle. Choć, co prawda, nie widział Benina, ukrytego za nieprzejrzystymi szybami w tyle mercedesa. Nawet przegroda między przednimi i tylnymi siedzeniami została zaciemniona. Benin był jednak tam, zawsze bowiem wolał wsiadać do samochodu jako pierwszy. Adiutant powiedział mu, że była to jedna z małych manii Benina. Potrowski poprzedniego dnia wywoskował i wypolerował samochód, posunął się nawet tak daleko, że wyprasował dwa proporce, które powiewały po obu stronach maski samochodu. Chciał wyrzucić na Beninie dobre wrażenie.

Dotknął lekko hamulca, gdy mercedes dotarł do zakrętu, i chociaż widział co się przed nim znajdowało, miał tylko ułamek sekundy na reakcję — niebieski TIR zaparkowany na kiepskiej drodze leśnej i klęczący obok niego młody człowiek, ukryty częściowo za wyrzutnią pocisków przeciwczołgowych, zamontowaną na trójnogu. Potrowski gwałtownie nacisnął pedał hamulca i mercedes ślizgał się jeszcze w poprzek oblodzonej drogi, gdy pocisk uderzył go w bok. Samochód rozsypał się w obłok płomieni, a kawałki pokrzywionego metalu wleciały na setki stóp w powietrze, spadając na pokryty śniegiem sosnowy las po obu stronach drogi. W miejscu gdzie poprzednio był mercedes, pozostał głęboki, poszarpany dół, otoczony płonącymi resztkami samochodu.

Lena była jak sparaliżowana widokiem na drodze. Wasyl potrząsnął nią silnie za ramiona, a następnie uderzył w twarz. Pojedyncza łza wypłynęła z kącika jej oka, jednak nie odwróciła wzroku. Odsunął dziewczynę na bok, odłączył 33-funtową wyrzutnię od trójnoga, zaniósł na tył wozu i wrzucił na szary koc, którego używali do jej przykrycia. Rzucił trójnog za wyrzutnią i zatrzasnął drzwi. Złapał Lenę za rękę, pociągnął do przodu wozu i wcisnął na miejsce przy kierowcy. W pośpiechu, ze zgrzytem włączył bieg, koła zapiszczały w proteście, gdy nie udało mu się zgrać odpowiednio nacisku na sprzęgło i gaz. Wóz szarpnął do przodu, zdołał jednak powstrzymać silnik od zgaśnięcia i w ciągu kilku sekund skręcili w ostry zakręt — w tylnym lusterku nie było widać już groteskowego krateru. Spojrzał na Lenę. Była jeszcze w stanie szoku, jej oczy spoczywały na wyimaginowanym widoku za przednią szybą. Zawsze mówił, że jest zbyt młoda, by być wplątana w takie sprawy, lecz wziął ją jednak ze sobą na wyraźne naleganie. Gorzką ironią był fakt, że był to od samego początku plan Leny. Teraz głównym celem było dostać się w bezpieczne miejsce. Bezpiecznym miejscem była dacza w Tiepłostanie, dziewięć mil na południe od Moskwy. Właścicielem daczy był pewien lekarz, który jak sądził Wasyl, potrafiłby wydobyć Lenę z odrętwienia. Następnie oboje mogliby wyjechać do Tuły nad brzegami Donu, gdzie pozostaliby do chwili, gdy w miarę upływu czasu, śledztwo straci na sile.

Nagle zdał sobie sprawę z obecności białego mercedesa, jadącego za nimi. Skąd się wziął tak szybko?

Znaki drogowe zostały prawdopodobnie postawione przy skrzyżowaniu z drogą leśną, jak tylko nieszczęście dotknęło samochód Benina, ostrzegając automobilistów przed groźącym wybuchem dynamitu i kierując ich na inny odcinek szosy. Oczy Wasyla ciągle spoglądały w tylne lusterko, gdy obserwował z rosnącym lękiem zbliżanie się mercedesa. Nie chciał wpaść w popłoch — z pewnością było jakieś logiczne wytłumaczenie. Gdy wyjechał na prosty odcinek drogi po pokonaniu szczególnie ostrego zakrętu wytłumaczenie stało się oczywiste. Blokada drogi.

Mercedes i zim, zderzak w zderzak, blokowały oba pasy, a za nimi groźna sylwetka czołgu 1-12, z lufą działa skierowaną wprost na nadjeżdżający wóz. Wasyl spojrział przez ramię trzymając nogę na hamulcu i sięgając ręką do dźwigni skrzyni biegów. Mercedes rozkraczył się na drodze, zamykając ją, a dwaj jego pasażerowie stali obok samochodu i w dłoniach chronionych przez rękawiczki trzymali karabinki AK 47. Podobnie uzbrojonych było pięciu ludzi, stanowiących obsadę blokady drogowej. Wasyl z ociąganiem wyłączył silnik, a nieuzbrojony mężczyzna otworzył drzwi od strony

kierowcy. Gdy tylko stopy Wasyla dotknęły ziemi, ciasne kajdanki zatrzasnęły się na jego przegubach. Patrzył bezradnie, jak Lenę wyciągnięto z miejsca przy kierowcy i również zakuto w kajdanki, przed odprowadzeniem do oczekującego auta. Nieuzbrojony mężczyzna wydobyl wówczas płowożółtą, plastikową kartę rozpoznawczą i pokazał ją Wasylowi. Departament V.

Tylne drzwi otworzyły się i wyszedł wysoki mężczyzna o surowej twarzy. Gdy zbliżał się do TIR-a, naciągnął na siwe, przystrzyżone włosy czapkę podbitą futrem i wlepił oczy w twarz Wasyla. "Pozwolicie, że się przedstawię. Generał Konstantyn Benin".

Wasył nie był zdziwiony. Cały plan spalił na panewce, ale kiedy? Wypowiedział na głos to pytanie. Benin sięgnął do wozu, zgasił muzykę, wyjął kasetę i odpowiedział: — Kobiety i wódka powinny być zawsze traktowane jako niedopuszczalne w takich sprawach. Szczęśliwie jeden z waszych kolegów nie wiedział o tym.

— Kto? — Wasył natychmiast pożałował, iż dał się złapać na przynętę.

— Dowiedzie się dostatecznie szybko. Większość waszych kolegów konspiratorów już została aresztowana.

— Od jak dawna wiedzieliście?

— Od samego początku. Wasze mieszkania były na podsłuchu przez ostatnie dwa miesiące.

— Obywatelu generale, proszę spojrzeć na to — nieuzbrojony mężczyzna wskazywał na tył wozu — To nie jest naszej produkcji.

— Rzeczywiście nie — Benin spojrział do środka wozu i przesunął ręką po wyrzutni pocisków — Karl Gustaw, produkcji brytyjskiej. Potem odwrócił się do Wasyla, chwycił kasetę w obie ręce, przełamał ją na pół, pozwalając taśmie wysypać się na drogę i wetknął oba kawałki w kieszeń kurtki Wasyla.

— Anatolij? — zawołał, gdy Wasyla odprowadzono do zima.

Zastępca Benina pospieszył ku niemu z tyłu wozu.

— Słucham, obywatelu generale?

— Chcę, żebyście osobiście załatwili sprawy z wdową po Potrowskim. Zapewnijcie jej państwową rentę.

— Wszystkie szczegółowe dane przekazałem jeszcze wczoraj wieczorem.

— Dobrze. Wyślij jej jeszcze ode mnie trochę kwiatów i tekst jak zwykle.

— Tak jest, obywatelu generale. Co w sprawie informacji dla prasy?

— Zróbcie to krótko. Dajcie im historyjkę o tym, jak niespodziewane opóźnienie uratowało mi życie. Wspomnijcie o pocisku raketowym, lecz ani słowa o jego pochodzeniu. Możecie także dodać, że dwoje młodych ludzi zamieszanych w tę sprawę zastrzelono, gdy stawiali opór w czasie aresztowania. Przekażcie to do Tass-a dziś rano.

— Nie zamierzacie zrobić z tego, generale, pokazowego procesu?

— Przychodziło mi to do głowy, ale jak mogę zrobić proces, jeśli nie ma oskarżonych? — poklepał Anatola po ramieniu i wrócił do mercedesa.

Kierowca zamknął za nim drzwi i w chwilę później samochód odjechał od blokady drogowej, kierując się na południe. Zwolnił dopiero zbliżając się do obrzeży Tiepłostanu, gdzie skręcił w wąską dróżkę, prowadząc do Biczewskiego parku leśnego — rozległego krajobrazu, pełnego jarów i wąwozów, pokrytych jodłami, dębami i sosnami. Tablica przy wjeździe brzmiała dostatecznie złowieszczo: STOP! ZAKAZ WJAZDU. REJON REZERWATU WODNEGO.

Kierowca zatrzymał mercedesa kilkaset jardów dalej, przed zaporą i okazał swą kartę rozpoznawczą oficerowi dyżurnemu KGB, który natychmiast machnięciem ręki wskazał, że droga wolna. Po następnej jednej czwartej mili droga kończyła się zaułkiem i kierowca wprowadził samochód na przyległą zatoczkę parkingową, prawie pustą o tak ранней porze.

Benin wyszedł i przeszedł do wartowni, gdzie pokazał swą kartę identyfikacyjną najbliższemu z trzech uzbrojonych wartowników. Wartownik sprawdził jej autentyczność i uruchomił elektroniczny kołowrót. Wszyscy trzej zsalutowali przechodzącemu Beninowi, lecz on, jak zwykle, zignorował ich. Poszedł wzdłuż ścieżki między rozległymi trawnikami i efektownymi, kolorowymi kwietnikami (o których mówiono, że składają się ze sztucznych kwiatów, by zapewnić odpowiedni widok przez cały rok), po schodkach i przez podwójne drzwi budynku ze szkła i aluminium, w kształcie trójgwiazdy. Kiosk z gazetami miał być jeszcze przez godzinę zamknięty, więc po okazaniu karty identyfikacyjnej strażnikowi, Benin poprosił o dostarczenie do biura egzemplarza "Prawdy", gdy tylko nadejdzie.

Wjechał windą na siódme piętro i przeszedł przez cały opustoszały korytarz do ostatniego szeregu pokoi biurowych.

Jedną z wielu dodatkowych korzyści z jego pracy było przebywanie na najwyższym piętrze, z którego rozciągał się zapierający dech w piersi widok na otaczające lasy. Otworzył zamek paskiem magnetycznym karty identyfikacyjnej, następnie powtórzył to samo przy wewnętrznych drzwiach prowadzących do prywatnego biura i zamknął je starannie za sobą. Po zapaleniu światła, usiadł za solidnym, dębowym biurkiem (zrobionym na jego osobiste życzenie z biczewskiego dębu), otworzył oprawiony w skórę notatnik i przejrzał program dnia. Jednego nazwiska brakowało. Nazwiska najbardziej zaufanego i cenionego pracownika w Europie, którego danych identyfikacyjnych nie było w ogóle w biurowej dokumentacji. Pracownika, dla kontaktu z którym, przyszedł specjalnie tego

ranka do pracy. Zamknął notatnik i obrócił się na krześle, by otworzyć sejf w ścianie. Wyjął z niego komplet kluczy i wybrał jeden, otwierając dolną szufladę z lewej strony biurka. Była ona przedzielona na dwie części, a część tylną zabezpieczał jeszcze jeden zamek. Otworzył go i wyjął telefon. Uważał, że w świecie podsłuchów i inwigilacji posiadanie tak rzadkiej karty atutowej jest niebagatelne, dla uzyskania przewagi. Zakręcił tarczą i czekając na połączenie, pomyślał, że używa linii bardziej prywatnej niż cokolwiek zainstalowanego między Kremlem a Białym Domem. Podsłuchiwanie rozmów telefonicznych hierarchii kremlowskiej było jego najbardziej ulubionym pomysłem ostatnich lat. Czego to on nie wiedział o ich osobistym życiu...

Podniesiono słuchawkę na drugim końcu linii.

— Brazylia — powiedział Benin.

— 1967 — odpowiedziano.

Hasło i odzew pasowały. Benin ciągnął dalej:

— Czy były jakieś problemy z załadowaniem towaru na pociąg?

— Żadnych, osłona zadziałała znakomicie.

— A pociąg?

— Wyjechał o czasie. Wszyscy ludzie na stanowiskach, wszystko przebiega zgodnie z planem.

Benin odłożył słuchawkę i z powrotem zamknął telefon. Następnie, po zabezpieczeniu szuflady, włożył klucze do sejfu w ścianie, zamknął go i przekręcił tarczę. Usiadł ponownie w krześle z rękoma splecionymi za głową. Zamiar zabicia go został udaremniony, a jego mistrzowski plan na kontynencie wchodził właśnie w stadium realizacji.

Tydzień zapowiadał się dobrze.

Rozdział drugi

Karl Heinz Tesselman lubił myśleć o sobie jako o wędrowcu. Takie słowa jak włóczęga, tramp czy obieżyświat uważał za uwłaczające, przyczepiane przez nieprzychylnie społeczeństwo. Jego rodzice zginęli w czasie nalotu na Berlin i po tym, jak przybrani rodzice spławiali go jedni drugim, w końcu wojny uciekł z domu. W wieku siedemnastu lat przyłączył się do podróżującej bandy Cyganów, którzy nauczyli go mistrzowskich metod kradzieży kieszonkowych, lecz wypadek z ręką sześć lat później położył kres dobrze zapowiadającej się, lukratywnej karierze. Cyganie, nie mając

już z niego pożytku, wyrzucili go. Próbował działać samodzielnie, lecz szybko zaarrestowano go i osadzono w więzieniu. Po uwolnieniu wszystkie drzwi zdawały się przed nim zamykać. Był byłym więźniem. Tak więc w wieku dwudziestu sześciu lat, wybrał się w drogę. To było trzydzieści dwa lata temu.

Zima zbliżała się szybko do Europy, i jak zwykle o tej porze roku, był w drodze na południe, by uniknąć najgorszej pogody. Pierwszy raz w ciągu czterdziestu lat podróżował sam, gdyż jego najlepszy przyjaciel zmarł zaledwie kilka tygodni temu na zapalenie płuc. Chociaż spodziewał się tej śmierci, spowodowała jednak u niego szok. Hans nigdy naprawdę nie wydobrzył po fatalnym przypadku gruźlicy, na którą zachorował w dzieciństwie i która spowodowała podatność na różne infekcje. Jediną rzeczą, która pozostała Tesselmanowi jako pamiątka po Hansie, był spłowiały, włochaty płaszcz. Ostatni podarunek wiernego przyjaciela. Spojrzał na płaszcz, brudne, flanelowe spodnie i zdarte brązowe buty zawiązane kawałkami sznurka o nierównej długości, a następnie poszukał w kieszeni papierosów, które wyzebrał kilka dni temu w Bonn od grupy szwedzkich uczniów. Znając opowieści o szwedzkich nastolatkach miał nadzieję, że są napełnione czymś mocniejszym niż tytoń, lecz rozczarował się, gdyż okazały się zwykłymi papierosami. Zebracy nie mogą wybierać. Jego uśmiech zamarł, gdy wyciągnął rękę z kieszeni. To był ostatni papieros. Pomarzył o kilku sztachnięciach, zdał sobie jednak sprawę, że pozostały mu ostatnie trzy zapalki i niechętnie włożył papierosa z powrotem do kieszeni.

Opuścił swą siedzibę w Kilonii w północnych Niemczech i przebył drogę do Wissembourg, na granicy francusko — niemieckiej w ciągu dziesięciu dni. Ciągłe jeszcze nie był pewien, dokąd ostatecznie zmierza. Wszystko zależało od możliwości znalezienia dobrego pociągu na określonej stacji i w określonym czasie. Ostatnią zimę spędził z Hansem w Nicei i to było jedyne miejsce, którego chciał uniknąć: wspomnienia były jeszcze zbyt bolesne. Może w następnym roku. Obecnie jego jedyną troską było załadowanie się w ciągu najbliższych paru minut na pociąg towarowy do Berna. Trzeba było wykiwać strażników, a następnie ukryć się w jednym z wagonów towarowych. Chociaż czynił to już niezliczoną ilość razy, zawsze było trochę ryzyka, szczególnie od czasu wprowadzenia psów tresowanych do wywąchiwania takich nielegalnych pasażerów na gapę, jak on. Tylko raz został wykryty, jeszcze teraz nosił na przegubach szramy po ostrych jak brzytwa zębach alzackiego owczarka. Przeszedł obok pierwszego zestawu wagonów i dotarł do samego końca wagonów załadowanych węglem. Przyciskając się do ostatniego wagonu, rozejrzał się za strażnikiem. Nikogo. Pociąg towarowy do Berna stał na następnym torze, musiał tylko przebyć dwadzieścia jardów między torami i znaleźć sobie pusty wagon towarowy. Był w połowie drogi, gdy głośny, rozkazujący głos przykuł go do ziemi. Natychmiast pomyślał o psach. Poczul, że ma nogi jak z ołowiu, powoli ze strachem obrócił się by spojrzeć w kierunku, z którego dochodził głos. Znowu nikogo. Ujrzał wówczas sygnalistę, wychylającego się z budki sygnalizacyjnej, z gwizdkiem zaciśniętym w ustach. Sygnalista wyjął gwizdek i jego donośny głos zagrzmiął, gdy wymieniał jakiś dowcip z maszynistą, obaj najzupełniej nieświadomi jego przerażonych spojrzeń. Sygnalista zaśmiał się rubasznie ze swego kawału i zniknął zamykając okno. Tesselman westchnął głęboko. Pociąg drgnął i zaczął się posuwać do przodu. Gdy biegł do najbliższego wagonu towarowego usłyszał przerażający głos psa, szczekającego wściekle za nim. Obejrzał się na czas, by zobaczyć strażnika, klęczącego na jednym kolanie i gmerającego przy smyczy, by wypuścić wrywające się zwierzę.

Tesselman złapał uchwyt w wagonie towarowym i podciągnął się do góry z nogami dyndającymi niepewnie w powietrzu, gdy usiłował drugą dłoń zacisnąć na uchwycie. Widział psa posuwającego się susami w jego kierunku z obnażonymi kłami i ogonem, miotającym się na obie strony. Z siłą, którą może zrodzić tylko strach, podciągnął nogi do góry, aż dotknął pośladek. Pies skoczył na niego, wykręcając się w powietrzu, a jego szczęki zatrzasnęły się kilka cali od łydek. Następnie niezgrabnie wylądował na tylnych łapach, tracąc równowagę, a Tesselman odwrócił wzrok gdy ujrzał, jak pies stacza się pod koła. Pozwolił swym nogom odpocząć, pracując nad odciążeniem podwójnego rygla, potem otworzył drzwi, wgramolił się do środka i opadł na kolana, wyczerpany, z klatką piersiową podnoszącą się i opadającą, gdy gwałtownie wciągał powietrze.

Podpełzł do bocznej ściany wagonu dopiero wówczas, gdy się uspokoił. Osunął się na podłogę i opierając się o ścianę, wytarł pot z czoła wierzchem dłoni. Mogą na niego czekać na następnym postoju, strażnik zadba o to. Z tym, że nie miał zupełnie pojęcia, gdzie i kiedy pociąg będzie miał następny postój. Starał się zbadać swoje otoczenie, lecz wewnątrz było tak ciemne, że kopnięciem uchylił drzwi, wpuszczając do wagonu trochę światła. Był on załadowany typowym asortymentem pak i kontenerów nie do przeniknięcia za całym zestawem zmyślnych klamer i zamków. Zabezpieczenia zmieniły się w sposób zasadniczy z biegiem lat. Pamiętał dni, gdy zwyczajny scyzoryk otwierał większość pak i skrzyń przewożonych przez Europę. Na ogół zawierały one części maszyn, lecz kilka razy znalazł coś bardziej smakowitego — raz skrzynkę francuskiego burgunda, a przy innej okazji, skrzynkę niemieckiego wina reńskiego.

Skulił się pod wpływem nagłego mroźnego wiatru, a następnie wygramolił na nogi, gdy pierwsze krople deszczu zaczęły zacinać przez otwarte drzwi. Nadciągała burza. Po latach tak się przyzwyczał do kołysania pociągu, jak doświadczony żeglarz do kołysania statku na falach. Bez trudu przedostał się do drzwi i właśnie zamierzał je zamknąć, gdy spostrzegł coś wetkniętego w kącie wagonu między dwa drewniane kontenery. Wcześniej tego nie zauważył.

Brezent koloru szafwii. To mogło się przydać. Zebrał siły wobec gwałtownej już ulewy i uchwycił klamry drzwi obiema rękami, zsuwając je tak, by nie zamknąć ich do końca. Oparł o nie stopę sięgając po jedną z pak, którą przeciągnął do drzwi. Odsunął stopę i wepchnął pakę w miejsce, w którym przeciwdziałała ponownemu otworzeniu się drzwi. Wiatr ciągle znajdował sobie drogę przez cienką szczelinę, gwizdząc groźnie po całym wnętrzu wagonu. Drżał. Gdy usunął paki, by dostać się do brezentu, zorientował się, że było nim przykryte coś, co wzbudziło w nim jeszcze większe zainteresowanie. Zebrał brezent jak żeglarz żagiel i wrzucił za siebie, zanim spojrzał w półmrok. Beczki z piwem. Nic dziwnego, że były ukryte. Policzył je, stukając każdą wskazującym palcem. Razem sześć. Były metalowe i to stanowiło dla niego istotny problem. Jak je otworzyć? Rozejrzał się wokół za narzędziem, którego mógłby użyć i chociaż jego oczy już się przyzwyczyły do ciemności, to nie dostrzegł niczego odpowiedniego. Nie odstraszyło go to, był zdecydowany otworzyć jedną z nich i ugasić pragnienie. Chciał tylko, by Hans był z nim. Nie tylko jako partner do picia, ale także dlatego, że zawsze to on był ich mózgiem. Hans znalazłby rozwiązanie jego obecnych kłopotów. Nagle pewna myśl przyszła mu do głowy. Gaśnica! Odwrócił się do ściany, na której powinna wisieć, lecz była tam tylko pusta klamra. Zaklął i był bliski rezygnacji, gdy inny pomysł zrodził się w jego głowie. Zbadał bliżej klamrę. Była zardzewiała i brakowało jednej śruby. Potrzebne było tylko

mocniejsze szarpnięcie. Chwycił ją w obie ręce i pociągnął. Trzymała się pewnie. Przekreślił ją, starając się podważyć pozostałe śruby, lecz chociaż już łamliwe z powodu korozji, nie pękły. Chwycił klamrę ponownie obiema rękami i szarpnął mocno. Wyskoczyła ze ściany i musiał złapać się za jedną z pak, by nie stracić równowagi. Trzymał ją triumfalnie, jak jakieś trofeum, po czym ukląkł przy najbliższej beczce i przesunął palcem wokół plomby małego korka. Trzeba go było wybić; gdy widział, jak czynili to karczmarze, w użyciu był drewniany młotek i kołek, lecz on miał tylko zardzewiałą klamrę. Tym niemniej umocnił się w swym zamiarze i uderzył kołek klamrą. Pozostawiło to tylko małe wklęsnięcie. Plomba była wzmocniona. Zdecydował się zmienić taktykę. Zamiast uderzenia w środek korka trzeba skoncentrować się na samej plombie. Jeśli najpierw uda mu się osłabić plombę, dobry cios w środek może wystarczyć dla otworzenia beczki. Przez następne pięć minut walił z coraz mniejszą nadzieją w obudowę plomby, przy czym zadania nie ułatwiała mu rytmiczne kołysanie pociągu, pędzącego wśród deszczu. Z ciosów, które zadał, tylko połowa osiągała cel. Oparł się w końcu o najbliższą pakę i wlepił wzrok w potłuczone okolice korka. Czy wywarło to jakikolwiek wpływ na korek? Ujął klamrę w obie ręce i wielokrotnie uderzał. Wleciał nagle do środka, a klamra także zniknęła w nowo utworzonym otworze. Nic nie plusnęło. Zamiast tego obłok białego, świecącego proszku wyleciał przez dziurę. Instynktownie machnął ręką, by usunąć go z twarzy, a następnie wstał i syczył proszek z klapy płaszcza. Poczekał aż chmura pyłu opadła, a następnie wrócił do beczki i zajrzał do wnętrza. Była pełna proszku. Zmieszany podrapał swoje brudne, siwe włosy, dziwiąc się, co to może być i dlaczego jest przechowywane w beczce od piwa.

Pociąg nagle zwolnił. Rzucił się do drzwi by zobaczyć, gdzie się znajduje i natychmiast rozpoznał przetokowy dworzec towarowy. Strassburg. Przypomniawszy sobie strażnika w Wissenbourg i uznał, że ma bardzo mało czasu na zatarcie za sobą śladów. Zepchnął otwartą beczkę z powrotem na jej miejsce, przykrył brezentem wszystkie sześć beczek i rozlokował paki wokół nich. Wrócił wówczas do drzwi, by sprawdzić, czy widać gdzieś strażników, którzy — był pewien — będą czekali na niego. Okolica była pusta, przynajmniej w tej chwili, lecz zdecydował się nie kusić więcej losu. Wszystko było wyraźnie przeciw niemu. Odczekał, aż pociąg zatrząsał się przy hamowaniu, następnie wyskoczył z wagonu towarowego i zamknął drzwi tak cicho, jak to tylko było możliwe. Burza przeszła i miał to za dobry znak.

* * *

Josef Mauer pracował w austriackiej policji osiemnaście lat, z czego ostatnie jedenaście jako sierżant stacjonujący w Linzu. Pomimo licznych wysiłków jego przełożonych, nigdy nie był zainteresowany awansem i wolał emocje związane z codziennym patrolowaniem ulic w samochodzie policyjnym, od zmagania się z górą papierów w jakimś biurze. Jego pierwszy partner został zabity w strzelaninie przed czterema laty, lecz zamiast wziąć nowego, Mauer pracował teraz z nowicjuszami, pokazując im arenę działania i pomagając wejść w codzienny tok zajęć w okolicach Mozartstrasse

tak szybko, jak to tylko możliwe po ukończeniu akademii policyjnej w Wiedniu.

Ernst Richter był ostatnim zwerbowanym z akademii — przybył poprzedniego dnia i został przydzielony na pierwszy miesiąc do pracy z Mauerem: miało to umożliwić ocenę jego usposobienia i osobowości, aby w przyszłości można było znaleźć dla niego właściwego towarzysza patrolu.

— Jakie dzisiaj mamy ćwiczenia, proszę pana? — zapytał Richter, gdy wsiedli do samochodu.

— “Sierzancie”, a nie “proszę pana” — odpowiedział Mauer, zakładając czapkę z daszkiem na przerzedzone blond włosy. — Głównym twoim zadaniem jest poznanie miasta możliwie jak najszybciej. Tak więc w pierwszych dniach będziemy działać głównie jako wsparcie. To także pomoże ci opanować procedurę policyjną — podniósł palec, gdy tylko Richter otworzył usta, zamierzając coś powiedzieć — wiem, że uczono was procedury policyjnej w akademii. Wszyscy to mówicie. Prawda jest jednak taka, że teoria i praktyka to dwie odmienne rzeczy. Inną rzeczą jest siedzieć w klasie i zapisywać notatki, a zupełnie inną jest zetknąć się twarzą w twarz z uzbrojonym mordercą lub przypartym do muru gwałcicielem. Zapamiętaj moje słowa.

Ledwo Mauer skierował wóz w Mozartstrasse, gdy radio zatrzeszczało.

— Czy mogę odpowiedzieć sierzancie?

Mauer uśmiechnął się do siebie. Wszyscy nowicjusze są na początku tacy sami. Pragną dogodzić swoim zwierzchnikom i uzyskać życzliwą ocenę, lecz w ciągu kilku miesięcy stają się tak gorzcy i cyniczni jak zahartowani policjanci, na których chcieli wywrzeć wrażenie. Richter nauczył się wkrótce: nie ma bohaterów, są tylko ci, którym udaje się przeżyć. Gdy tylko Mauer dowiedział się, dokąd mają się udać, włączył syrenę i w ciągu kilku minut dojechali do Landstrasse, zatrzymując się przed Landerbankiem. Wygramolili się z samochodu i skierowali wzdłuż wąskiej, bocznej uliczki, z rękami spoczywającymi lekko na schowanych w pochwach gumowych pałkach.

Łysy mężczyzna w smokingu stał w bramie w połowie uliczki. Widząc policjantów pospieszył w ich kierunku.

- On jest tam, między skrzyniami na śmieci — powiedział z niewyraźnym ruchem ręki. — Nie mogłem pozostawić go tutaj, kuchnia mojej restauracji jest za tymi drzwiami. To niehigieniczne, prawda? Mauer spojrzał ze wstrętem na pół tuzina skrzyń i zdziwił się, jak ten człowiek ma czelność mówić o warunkach higienicznych. Były tam jeszcze dwa przewrócone pojemniki na śmieci i jakaś pokręcona postać leżała między nimi z wyciągniętą prawą ręką, jakby chciała po coś sięgnąć.
- Myślałem, że nie żyje, ale jęknął, gdy go dotknąłem. Prawdopodobnie pijany. Nie może tu leżeć.
- Co pan powie. Dziękuję za pomoc, zabieramy go. Mężczyzna dostrzegł zdecydowanie w oczach Mauera, wrócił do kuchni, zamykają za sobą drzwi.
- Wygląda na włóczęgę — powiedział Richter.
- Płaszcz nie wydaje się bardzo stary. Prawdopodobnie ukradziony.

- Najprawdopodobniej — powiedział Mauer i przykucnął obok ciała. Skrzywił się pod wpływem odrażającego smrodu, ale nie uczynił żadnego ruchu by się cofnąć. Ręce włóczęgi były schowane w wełnianych rękawiczkach, a jego twarz ukryta pod niebieską kominiarką.

— Czy słyszy mnie pan? — zapytał Mauer, szturchając włóczęgę końcem pałki. Palce Tesselmana zacisnęły się, lecz gdy próbował coś powiedzieć, z jego ust dobyło się tylko bulgotanie. Mauer odsłonił twarz.

Richter cofnął się i zwymiotował na ścianę. Mauer szarpnął rękę z powrotem. Nogi mu drżały, gdy biegł do samochodu by wezwać przez radio natychmiastową pomoc lekarską.

Rozdział trzeci

Co się stało z rycerskością mężczyzn? Takie pytanie nasunęło się na myśl Sabine Carver, gdy stała z lewą ręką zaplątaną w uchwyt zwisający nad nią z poręczy, w przejściu przepelnionego wagonu kolei podziemnej, pędzącego przez przepastne tunele pod Nowym Jorkiem. Jej stosunek do feminizmu był ambiwalentny. Wierzyła oczywiście w równość płci, przede wszystkim w miejscu pracy, lecz czuła, iż jest miejsce dla grzeczności i dobrego wychowania w tym coraz mniej dbającym o to społeczeństwie. Gdy się rozglądała, czuła trochę smutku, ponieważ w wagonie w którym 70% pasażerów stanowili mężczyźni, pięć kobiet zmuszonych było stać w przejściu. Miała ukryte podejrzenie iż zna przyczynę, dla której mężczyźni nie ustępowali miejsc. Z miejsc, gdzie siedzieli, mogli dokładnie obserwować kobiety. Przede wszystkim ją. Miała dwadzieścia osiem lat oraz zapierającą dech w piersiach urodę zwykle kojarzącą się ze lśniącymi okładkami magazynów mody. Rysy jej były klasycznie piękne: znakomicie uformowane kości policzkowe, mały nos, zmysłowe usta i hipnotyzujące, podłużne, zielone oczy. Długie do ramion blond włosy, z odcieniem kasztanowym, były mocno ściągnięte i związane z tyłu głowy białą wstążką. Jej stroje nie były seryjną produkcją i pochodziły rzeczywiście ze stron lśniących magazynów mody. Białe, bawełniane zakardowe płaszcze od Purificacion Garcii (jej ulubionej projektantki), czarna bawełniana spódniczka do kolan i czarne zamszowe buty na wysokich obcasach od Kurta Geigera.

Nie znosiła nadmiernego makijażu i stosowała go z umiarem, aby jedynie podkreślić swój interesujący wygląd. Jedyne jej manią była dobra kondycja, którą utrzymywała, uczęszczając na ćwiczenia aerobiku trzy razy w tygodniu w Klubie Zdrowia w Drugiej Alei, gdzie pomagała także gospodyniom domowym poddawać próbie ich umiejętności karate. Sama zdobyła czarny pas cztery lata temu. Chociaż zawsze dbała o swą budzącą zazdrość, szczupłą figurę, nie przesadzała i lubiła zjeść dobry obiad na mieście. Raz na dwa tygodnie chodziła z grupą przyjaciół do jednej z trzech wybranych restauracji, w których każde z nich płaciło za siebie: albo na zrazy u Christa Celli,

wspaniałą kuchnię do Lutecji, albo wreszcie (co lubiła najbardziej) na mieszane mięsa z grilla do Gayllorda. Potem był zwykle jazz do późnej nocy u Alego Alley w śródmieściu Greenwich Village.

Jej przyjaciele wiedzieli, że pracuje jako tłumaczka w Organizacji Narodów Zjednoczonych. Była to doskonała przykrywka jej prawdziwej działalności. Ukończyła romanistykę w Wellesley i po specjalizacji na Sorbonie, podróżowała po całej Europie zanim wróciła do Stanów Zjednoczonych, gdzie została zwerbowana przez FBI — specjalność: użycie broni palnej.

Zaczęła pracę w UNACO przed dwoma laty.

Wysiadła z metra na 74 Wschodniej Ulicy i gwizdała po cichu, idąc dwieście jardów 72 Ulicą od kolei podziemnej do swego kawalerskiego mieszkania na parterze. Portier skłonił się kapeluszem, gdy przechodziła przez wyłożony czarnymi i białymi płytami korytarz. Uśmiechnęła się do niego, otworzyła drzwi swego mieszkania i weszła prosto do skromnie umeblowanego pokoju wypoczynkowego. Kopnięciem zrzuciła buty, kucnęła przed aparaturką i przesunęła rękami po imponującej kolekcji płyt kompaktowych. Wybrała jedną z nich i wrzuciła do automatu.

Płyta albumowa Dawida Sanborna. Przypomniała jej natychmiast niezapomnianą noc u Alego Alley, gdzie poznała Sanborna, jej jazzowego idola, który dyskretnie wywiedziało się od jej przyjaciół, jakie z jego piosenek najbardziej lubi i zorganizował zaimprovizowany występ, by śpiewać dla niej.

Zadzwonił telefon. Ściszyła muzykę i podniosła słuchawkę. Jedynym jej wkładem w rozmowę telefoniczną były sporadycznie wypowiedzane monosylaby. Po odłożeniu słuchawki usiadła na brzegu stolika i uśmiechnęła się do siebie. Nowe zadanie. Zespół oficjalnie znajdował się w rezerwie, z tym, że odprawa była wyznaczona na późne popołudnie tego dnia. Jeżeli chodzi o pozostałych dwóch członków zespołu, cieszyła ją zawsze kontakty z flegmatycznym C. W. Whitlockiem. Koledzy niemal legendy opowiadali o jego opanowaniu. To on właśnie przełamał swoje przyzwyczajenia, by pomóc jej zaaklimatyzować się w zespole, gdy po raz pierwszy przybyła do UNACO. Co więcej, zawsze traktował ją na odpowiednim poziomie intelektualnym. Inaczej niż większość mężczyzn, którzy widzieli w niej tylko ładną twarz, dobrą aby spróbować podrywu. Chociaż nigdy nie utrzymywała z Whitlockiem stosunków towarzyskich — spotykali się tylko w pracy — uważała go za jednego z niewielu prawdziwych przyjaciół. Ponownie wzmocniła głos i zniknęła w kuchni, by przygotować sobie pastrami* (**rolada wołowa, wędzona i bardzo pikantna. –przyp.*) z ryżem.

Nowy Jork był skąpany w słońcu i można by się udusić z upału, gdyby nie łagodny, wschodni wiaterek, wiejący od Atlantyku.

C. W. Whitlock wynurzył się z salonu na balkon swego położonego na szóstym piętrze mieszkania na Manhattanie, wziął parę szczypek wiszących obok przenośnego rożna i szturchnął, przez kraty grilla rozżarzone brykiety z węgla drzewnego. Były dostatecznie rozgrzane. Położył marynowane kawałki mięsa i kiełbaski na kracie grilla, po czym cofnął się i otarł pot z czoła ręcznikiem, zawiniętym na szyi. Głośny śmiech zagrzmiął w salonie — spojrzał przez drzwi i był wdzięczny, że jest na uboczu. Charles Porter był, jak zwykle centralną postacią. To nie to, że nie lubił tego

człowieka, uważał go po prostu za nudziarza. Porter, jeden z najbardziej cenionych w kraju specjalistów, wziął przed dwudziestu laty pod swą opiekę skromną, portorykańską studentkę, zwaçant się Carmen Rodriguez i wzbudził w niej zaufanie we własne siły, pozwalając jej zacząć własną praktykę niemal natychmiast po' ukończeniu akademii medycznej. Obecnie była ona jednym z najbardziej popularnych, i poszukiwanych pediatrów w Nowym Jorku. Sześć lat temu stała się panią Carmen Whitlock. Whitlock spojrział na żonę siedzącą w bujnym fotelu przy drzwiach, pokazującą twarz z profilu. Ktoś określił ją kiedyś jako "smukłą jak wierzba", opis, jak myślał, doskonale do niej pasujący. Jej oczy zamrugały do niego i figlarnie wysunęła język. Whitlock uśmiechnął się, a następnie spojrział na parę, siedzącą na sofie. Siostra Carmen, Rachela i jej niemiecki mąż, Eddie Kruger. Siostry miały podobne rysy twarzy, lecz Rachela była niższa i bardziej krępa. Kruger był typowo germański w typie. Blond włosy i niebieskie oczy. Byli dobrymi przyjaciółmi od pierwszego spotkania.

Whitlock ponownie skierował uwagę na rożen i po ruszył każdy kawałek mięsa nożem kuchennym, spraw dzając, czy są już dobrze upieczone. Obrócił kiełbaski, szturchnął brykiety, oparł ręce na poręczy i wyjrzał na Central Park, z oczyma przymrużonymi z powodu słońca, chociaż nosił okulary przeciwsłoneczne. Taki to był dzień.

Miał czterdzieści cztery lata, jasną jak na Murzyna, urodzonego w Afryce cerę. Jego dziadek był majorem w armii brytyjskiej, stacjonującej w Kenii na przełomie stuleci. Ostry nos i cienkie wargi nadawały jego kanciastej twarzy szorstkość, złagodzoną dzięki gustownie przyciętym czarnym wąsikom, które zaczął nosić gdy skończył dwadzieścia lat. Kształcił się w Anglii i po uzyskaniu stopnia magistra wrócił do rodzinnej Kenii, gdzie po krótkim okresie służby wojskowej w armii narodowej, wstąpił do wywiadu. W czasie dziesięciu lat służby w wywiadzie doszedł do stopnia pułkownika, lecz uprzedzenia zwierzchników do jego brytyjskiego pochodzenia i edukacji stały się nie do zniesienia. Wówczas zrezygnował i przyjął stanowisko zaproponowane mu w UNACO. Oficjalnie był attache kenijskiej delegacji w Organizacji Narodów Zjednoczonych i jedyną osobą spoza UNACO, która знаła prawdę, była jego żona. Jednak nie omawiał z nią istoty swojej pracy.

— Sądzę, że mistrz kucharski chętnie napiłby się piwa. — Whitlock uśmiechnął się i wziął Budweisera od Krugera. — Powiedz prawdę, masz już dość Dr. Kildare'a. — Nigdy nie utracił swego wyraźnego akcentu z ekskluzywnej, prywatnej szkoły średniej.

— Nie wiem jak Carmen może z nim wytrzymać.

- Carmen? — Whitlock prychnął — Oszczędź mnie
- trochę. Przynajmniej miałem dziś wymówkę na opuszczenie wykładu. — Wziął szczypcę, by sprawdzić mięso. — Carmen uważa go za rodzaj guru, a ja pierwszy jestem gotów przyznać, że w sposób nieoceniony przyczynił się do jej kariery. Chciałbym jednak żeby potrafił mówić jeszcze o czymś innym poza medycyną.
- Kruger wyszczerzył zęby w uśmiechu, a następnie podszedł do poręczy balkonu i obserwował dwie uprawiające jogging kobiety, poruszające rytmicznie opalonymi nogami. Gdy zniknęły,

zwrócił uwagę na grupę dziewcząt śmiejących się i chichoczących, które obrzucały się pomarańczowymi kwiatkami.

- — Powinieneś sobie kupić teleskop C. W. Mógłbyś spędzać całe dni, wpatrując się w gwiazdy.
- — Zobaczyłbym znacznie więcej gwiazd, gdyby Carmen rąbnęła mnie tym teleskopem w głowę. W każdym razie te dwie nie są wiele starsze od Rosie.
- — Nikt z nas nie staje się młodszym — Kruger odpowiedział z zadumą.— Co słysząc u Rosie? Nie widzieliśmy jej od pewnego czasu.
- Kruger położył rękę na ramieniu Whitlocka.
- — Wiem. Mieliśmy nadzieję, że przyjdzie z nami dzisiaj, ale umówiła się z przyjaciółmi na Times Square.
- — No, Eddie, trudno oczekiwać od piętnastolatki, że zrezygnuje z soboty, szczególnie takiej jak dzisiaj, żeby siedzieć z gromadą starych pierników. To zupełnie naturalne, że woli być z rówieśnikami.
- W drzwiach ukazała się Carmen, z rękami wetkniętymi w kieszenie kloszowej spódnicy.
- — Co się dzieje z jedzeniem?— Jeszcze kilka minut. Czy nauka już się skończyła?
- Przewróciła oczami i weszła z powrotem do środka. Kruger popatrzył za nią.
- — To przedziwne, kobieta pediatra, która nie ma własnych dzieci.
- — Nie wiem, dlaczego to takie dziwne. Można mieć dosyć tego dobrego.
- Telefon zadzwonił w salonie i Carmen podniosła słuchawkę drugiego aparatu w kuchni.
- — C. W., to do ciebie — krzyknęła z ręką przyłożoną do ust.
- Przeszedł do kuchni i natychmiast z wyrazu jej oczu zorientował się, kto dzwoni. Wręczyła mu słuchawkę i opuściła kuchnię bez słowa, zamykając za sobą spokojnie drzwi.
- Gdy znów się ukazał, Carmen z roztargnieniem poprawiała chryzantemy w kryształowym wazonie na stole w hallu. Gdy zbliżył się do niej, pomyślał o trzecim członku zespołu, Miku Grahamie, który tragicznie stracił swą rodzinę na rok przed jego wstąpieniem do UNACO.
- Co będzie, jeśli życie Carmen znajdzie się w niebezpieczeństwie w związku z jego działalnością w UNACO? Czy zareaguje tak, jak Graham? Porzucił tę myśl, była ona oparta wszak na domniemaniach. Gdy dla uspokojenia próbował żonę uścisnąć, wysliznęła się i wyszła na balkon, przyłączając^J się do reszty towarzystwa. Pytanie pozostało jednak gdzieś na dnie jego świadomości.

* * *

- — Pozbądźcie się tego wałkonía — warknął Mike Graham, gdy komentator radiowy poinformował, że batsman nie uchwycił już drugiej piłki. Pochylił się, oparł ręce na kolanach, wzrok utkwiał w przenośnym radiu stojącym u jego stóp i czekał na następny rzut piłką.
- — Trzeci rzut usunie batsmana — głos komentatora przebijał się przez obraźliwe okrzyki tłumu kibiców.
- — Czemu do diabła, nie sprzedali cię zespołowi "Aniołów" gdy była taka możliwość? — Graham syczał gniewnie.

- Był to kiepski sezon dla nowojorskich "Jankesów", zespołu, któremu kibicował wiernie przez trzydzieści lat. Przy czterech do jednego dla zespołu "Tygrysów" z Detroit i jeszcze tylko dwóch zagrywkach, miała to być najprawdopodobniej trzecia kolejna porażka.
- Gdy komentator zaczął analizować przeciętne wyniki "Jankesów" w tym sezonie, Graham rozglądał się powoli po otaczającej go spokojnej okolicy. Przed nim tak daleko, jak tylko można było sięgnąć wzrokiem, rozpościerało się spokojnie jezioro Champlain, otoczone przez lasy Vermont, bujne i zielone. Wspaniałe to miejsce wydawało się być na drugim końcu świata od Nowego Jorku, gdzie Graham mieszkał jeszcze przed dwoma laty. Do Nowego Jorku było 230 mil i nie licząc podróży służbowych wracał tam tylko po to, by uczestniczyć w długich i wyczerpujących biegach maratońskich. Mieszkał samotnie w drewnianym domku nad jeziorem, jedynie w towarzystwie przenośnego radia i telewizora. Najbliższym miastem było Burlington, jeździł tam pięć mil w każdy poniedziałek rano swym poobijanym, białym fordem 78 aby zrobić zakupy na cały tydzień. W stosunku do ludzi z miasta odnosił się przyjaźnie, lecz z rezerwą. Oni zaś na ogół akceptowali bez zastrzeżeń jego samotny styl życia. Nigdy nie mówił o tragedii, która skłoniła go do takiego odosobnienia.
- Miał trzydzieści siedem lat, zmierzwiłone, sięgające kołnierza, kasztanowate włosy, młodzieńczą, przystojną twarz zmacaną cynizmem, pobłyskującym w przenikliwych, jasno niebieskich oczach. Utrzymywał swe jędrne, muskularne ciało w formie, biegając godzinę każdego poranka, a następnie ćwicząc w niewielkiej szopie obok domku, który po przybyciu z Nowego Jorku przerobił na małą salę gimnastyczną.
- Sport grał ważną rolę w jego życiu. Uzyskał futbolowe stypendium z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles, a po ukończeniu studiów z tytułem naukowym z nauk politycznych, zrealizował swoje marzenia, gdy zapisał się do nowojorskich "Olbrzymów", zespołu, który popierał od dzieciństwa. Miesiąc później został odkomenderowany do Wietnamu, gdzie rana ramienia położyła kres dobrze zapowiadającej się karierze futbolowej. Został następnie zaangażowany do szkolenia członków plemienia Meo w Tajlandii i po swym powrocie do Stanów Zjednoczonych wszedł w skład elitarniej jednostki antyterrorystycznej Delta. Jego poświęcenie i kompetencja doczekały się w końcu w Delcie, po jedenastu latach, uznania: został kierownikiem grupy B, w której miał szesnastu ludzi pod swą komendą.
- W czasie, gdy wykonywał zadania w Libii, jego żona i pięcioletni syn zostali w Nowym Jorku uprowadzeni przez arabskich terrorystów. Mimo że FBI prowadziło poszukiwania, obejmujące swym zasięgiem cały kraj, nie ujrzał już nigdy więcej ani żony, ani syna. Dostał natychmiast długi urlop, by mógł się poddać terapii psychiatrycznej. Odmówił jednak współpracy z zespołem lekarskim i wycofał się na własne żądanie z pracy w Delcie w miesiąc po powrocie do czynnej służby. Za namową komendanta Deltę rozpoczął starania o pracę w UNACO i po sześciu tygodniach wyczerpujących rozmów, został zaakceptowany.
- Spławik zanurzył się pod wodę. Złapał rybę. Wyciągając ją kołowrotkiem, przysłuchiwał się radiowemu sprawozdaniu z meczu baseballowego z rosnącym poczuciem zmieszania i desperacji. Wynik nie uległ zmianie i Jankesi rzucali piłką w dziewiątej i

ostatniej serii gry. Wyciągnął bez trudności rybę na brzeg. Pięciofuntowy szczupak, właściwie nie wart zachodu. Nagle przeraźliwie zapiszczał guziczek przyczepiony do pasa. Uciszył go, a następnie zdjął z haczyka szczupaka, miotającego się u jego stóp i butem zsunął z powrotem do wody.

- Gra kończyła się wśród drwin i obelżywych przyśpiewek. Powstrzymywał się od chęci kopnięcia radia w ślad za rybą, a następnie przebiegł czterdzieści jardów do domku i wykręcił znany mu numer telefonu by potwierdzić odbiór sygnału. Z drugiego końca, zaraz po pierwszym dzwonku odpowiedział przyjazny, ale urzędowy, kobiecy głos:
- — Llewelyn i Lee, dobry wieczór.— Mike Graham, karta identyfikacyjna 1913 204.
- — Przełączam pana, panie Graham — nadeszła natychmiastowa odpowiedź.
- — Mike? — tubalny głos zahuczał na linii chwilę później.
- — Tak, słucham.
- — Kod czerwony. Wynająłem cessnę z Nashville, oszczędzi nam to wysłania samolotu od nas. Oczekuję pana na lądowisku w Burlington. Siergiej będzie oczekiwał na lotnisku Kennedygo.
- — Ruszam w drogę.
- — I Mike, niech pan weźmie trochę ciepłego ubrania. Może się przydać.
- Odłożył słuchawkę, pobiegł nad jezioro, zabrał swój sprzęt i wrócił do domku, by się spakować.

○

○

* * *

- Siergiej Kolczyński był typowym okazem nałogowego palacza. Po pięćdziesiątce, z rzadziejacymi, czarnymi włosami i w jakiś sposób smutnymi rysami twarzy, które robiły wrażenie, że dźwiga wszystkie troski tego świata na ramionach. Najdziwniejsze było, że nie odczuwał żadnej satysfakcji z palenia. Stało się ono po prostu kosztownym, nałogowym przyzwyczajeniem. Za pełnymi melancholii oczami skrywał się jednak genialny umysł.
- Po błyskotliwej karierze w KGB, w tym po szesnastu latach pełnienia funkcji attache wojskowego w różnych krajach zachodnich, został mianowany zastępcą dyrektora UNACO, po tym gdy jego poprzednika odesłano w niełasce z powrotem do Rosji pod zarzutem szpiegostwa.
- Pracował w UNACO już trzy lata i chociaż ciągle odczuwał tęsknotę za domem nie pozwalał nigdy, by to uczucie przeszkadzało mu w robocie. Jego podejście do pracy nacechowane było profesjonalizmem.
- — Ten wóz wolny, towarzyszc?
- Kolczyński spojrzał ostro na twarz zaglądnącą przez otwarte okno tylnych drzwi. Uśmiechnął się i wygramolił z białego BMW 728, rozdeptując nogą na pół wypalonego papierosa.
- — Hallo, Michale, oczekiwałem cię dopiero za dwadzieścia minut.
- Kolczyński był jedyną osobą, mówiącą do Grahama "Michale". Nie przeszkadzało mu to specjalnie. Ostatecznie, takie było jego imię.
- — Powiedziałem w Nashville, żeby dodać gazu. Szef wydawał się podniecony, gdy

rozmawialiśmy przez telefon.

- — Ma uzasadnione powody do podniecenia — odparł Kolczyński, otwierając bagażnik, by Graham mógł złożyć dwie czarne torby.
- — Kiedy jest odprawa?— Jak tylko dojedziemy do ONZ — odpowiedział Kolczyński, po czym zatrzasnął swój pas bezpieczeństwa. — Sabrina i C. W. powinni już tam być.
- — Mielicie już jakąś odprawę? Kolczyński zapalił silnik, spojrzął w boczne lusterko i odjechał od krawężnika.
- — Oczywiście, ale nie powiem ci ani słowa.— Ja nic nie mówiłem.
- — I nie powinienes. Włącz trochę muzyki, kasety są w przegrodzie na rękawiczki.
- Graham znalazł trzy kasety i obejrzał, biorąc kolejno do ręki.
- — To wszystko Mozart. Nie masz nic innego?
- — Muzyka Mozarta jest bardzo dobra przy prowadzeniu samochodu — odparł Kolczyński, zapalając kolejnego papierosa.
- Graham z wahaniem wrzucił jedną z kaset do magnetofonu, nerwowo machnął ręką usuwając dym papierosowy sprzed twarzy, a następnie swoje zainteresowanie skierował na sylwetkę miasta Nowy Jork, przypominając sobie dla zabicia czasu nazwy licznych drapaczy chmur.
- UNACO oficjalnie nie istniała. Nie było jej nazwy na tabliczkach informacyjnych w hallu ONZ i żaden z jej trzydziestu telefonicznych numerów nie figurował w nowojorskich spisach telefonów. Gdy ktoś zadzwonił pod jeden z tych numerów, to dyżurny odzywał się w imieniu "Llewelyn i Lee". Jeśli telefonujący mógł podać numer karty identyfikacyjnej lub hasło, to wówczas był przełączany na właściwy numer wewnętrzny. Jeśli to była pomyłka, nic złego się nie działo. Nie było także nic dziwnego w tym, że "Llewelyn i Lee" figurowali w miejskich spisach telefonów. Dyżurny urzędował w małym gabinecie na dwudziestym drugim piętrze budynku Narodów Zjednoczonych. Drzwi do tego gabinetu w ogóle nie były oznaczone i wejść do środka mogły "tylko upoważnione do tego osoby. Oprócz biurka i krzesła obrotowego jedynym umeblowaniem gabinetu była kanapa koloru czerwonego wina i dwa dobrane do niej fotele. Trzy ściany były pokryte tapetą w kolorze jasnokremowym i udekorowane szkicami placu Daga Hammarskjolda, zamówionymi przez samego Sekretarza Generalnego. Czwarta ściana była zabudowana boazerią z drzewa tekowego, w którą wmontowano dwie pary niewidocznych, rozsuwanych drzwi, niemożliwych do odkrycia gołym okiem. Mogły być one uruchomione za pośrednictwem maleńkich, dźwiękowych przekaźników. Drzwi po prawej stronie prowadziły do centrum dowodzenia UNACO, w którym przez całą dobę pracowali analitycy śledzący rozwój wydarzeń na świecie. Na wielkie plany i mapy nanoszono informacje o zdarzeniach w znanych punktach zapalnych, drukarki komputerowe aktualizowały posiadane materiały, a monitory po przyciśnięciu guzika pokazywały szczegółowe informacje o znanych przestępcach, dostarczając tysiące nazwisk, które zostały umieszczone w centralnym banku danych. Był to główny ośrodek nerwowy najbardziej skomplikowanych operacji UNACO. Drzwi po lewej stronie mogła otworzyć tylko jedna osoba.
- Był to gabinet dyrektora.
- Malcolm Philpot był dyrektorem UNACO od samego początku. Poprzednie siedem lat

spędził jako szef specjalnej sekcji Scotland Yardu. Miał pięćdziesiąt kilka lat, mizerną twarz i rzadkie, falujące, rude włosy. W UNACO pracowało 209 ludzi, w tym trzydziestu doskonałych agentów terenowych, wybranych spośród policjantów i agentów wywiadu na całym świecie. Dziesięć zespołów, każdy składający się z trzech pracowników, mogących przekraczać granice bez łamania prawa czy naruszania protokołu. Nie istniał tam żaden hierarchiczny porządek. Każdy zespół miał własną indywidualność i styl.

- Był to z pewnością przypadek dla Siły Uderzeniowej nr 3. Philpot znał Whitlocka najdłużej ze wszystkich swych agentów, osobiście zwerbował go do MI 5 na Uniwersytecie w Oxfordzie. Współpracował z nim ściśle jako szef, do czasu jak został przeniesiony do Departamentu Planowania Operacyjnego. Whitlock nigdy nie żył w zgodzie z nowym szefem i skorzystał skwapliwie z możliwości powrotu do pracy z Philpotem. Whitlock był mistrzem cierpliwości, nic nie mogło go rozdrażnić, co było szczególnie korzystne ze względu na trudne do opanowania napięcie między Sabriną i Grahamem. Gdy przyniesiono mu papiery Sabriny, miał początkowo wątpliwości, czy ma ona odpowiednie kwalifikacje, lecz szybko zmienił zdanie po bliższym poznaniu. Była życzliwa i inteligentna, bez śladu próżności tak częstej u pięknych kobiet. Został następnie uraczony pokazem jej umiejętności strzeleckich, zarówno do nieruchomych jak i ruchomych celów. Była bez wątpienia najlepszym strzelcem jakiego miał kiedykolwiek. Nigdy nie żałował dnia, kiedy przyjął ją do UNACO.
- Z drugiej strony, Graham ledwo prześliznął się przez sieć. Komendant Deltę porozumiał się w sprawie Grahama z sekretarzem generalnym zamiast z Philpotem. Sekretarz generalny odrzucił kandydaturę Grahama na podstawie danych z badań psychiatrycznych. Komendant Deltę poradził wówczas Grahamowi, by skontaktował się bezpośrednio z Philpotem. Philpot był wściekły, że sekretarz generalny nie porozumiał się z nim i po kilku spotkaniach z Grahamem, uchylił poprzednią decyzję, przyjmując Grahama do zespołu na okres próbny, pod warunkiem, że będzie podlegał ponownej okresowej ocenie. Graham ciągle jeszcze nie wydobrzała] psychicznie po swej tragedii, lecz udowodnił, że jest doskonałym pracownikiem. Philpot nie miał już zamiaru pozbycia się Grahama. Philpot nacisnął guzik telefonu wewnętrznego, stojącego na biurku:
 - — Saro, wpuść ich.
 - Chociaż rodzinną Szkocję opuścił jako mały chłopiec, głos jego zachował ślady celtyckiego pochodzenia. Skierował maleńki przekaźnik na drzwi i nacisnął guzik. Drzwi otwarły się. Gdy tylko weszli, zamknął je z powrotem. Wskazał dwie czarne, skórzane kanapy pod ścianą i Kulczyński usiadł pierwszy, zapalając natychmiast papierosa.
 - — Jeśli chcecie kawy lub herbaty, poczęstujcie się — powiedział Philpot, wskazując ręką na pojemnik po prawej stronie biurka.
 - — Z mlekiem, bez cukru — Graham odezwał się do Sabriny, siadając na kanapie obok Kulczyńskiego. Sabrina spojrzała na niego biorąc się pod boki:
 - — Nie jestem twoją osobistą pokojówką. Whitlock ujrzał gniew w oczach Philpota i wystąpił do przodu, z łagodzącym uśmiechem:
 - — Pozwólcie Wujowi Tomowi to zrobić. Moi przodkowie mieli bogatą praktykę w tych sprawach, dla mnie stały się one drugą naturą.

- — W porządku, ja to zrobię — zamruczała Sabrina.
- — Sabrino!
- Odwróciła się do Philpota, który wskazywał kanapę stojącą za nią. Usiadła bez słowa i potrząsnęła głową, gdy Whitlock zapytał, czy chce kawy. Whitlock nalał dwie filiżanki kawy i wrócił na swe miejsce, wręczając jedną z nich Grahamowi.
- Philpot otworzył leżące przed nim akta.
- — Jak wam mówiłem przez telefon, jest to operacja Czerwonego Kodu. Czas nam nie sprzyja. Nie mamy zbyt wiele danych na początek roboty, a oto są fakty, które znamy. Wczoraj w Linzu znaleziono włóczkę z prawie spaloną skórą na twarzy i rękach, tak, jakby znalazł się w ogniu. Przy bliższych badaniach w szpitalu okazało się, że stracił większość zębów i włosów. Wystąpiły także nieodwracalne uszkodzenia żołądka i jelit, jak również centralnego systemu nerwowego. Lekarze byli jednomyślni w swych diagnozach. Zatrucie całego organizmu promieniowaniem. Jednorazowo wchłonięta dawka pięciu grejów wywołuje śmierć w ciągu dwóch tygodni. Sekcja zwłok wykazała, że wchłoniął trzy razy więcej.
- — Co to są greje? — zapytał Graham.
- — Jest to jednostka układu SI* (**System International — międzynarodowy układ jednostek miar – przyp.*) do mierzenia wchłoniętej dawki promieniowania — odpowiedział Whitlock nie patrząc na niego.
- Philpot przytaknął, a następnie mówił dalej.
- — Udało mu się przekazać władzom kilka szczegółów, zanim zmarł. Wskoczył do pociągu towarowego w Wissembourgu na granicy francusko — niemieckiej i znalazł w wagonie sześć beczek od piwa. Gdy otworzył jedną z nich, został zasypany drobnym proszkiem, przykrył beczki brezentem i wysiadł z pociągu w Strassburgu. Trzy dni później znaleziono go w Linzu.
- — Czy lekarze zidentyfikowali radioaktywną substancję? — zapytał Whitlock.
- — Pluton IV.
- — Używany do produkcji broni jądrowej — dodał Whitlock ponuro.
- — Tak więc beczki mogą być obecnie gdzieś w Europie — powiedziała Sabrina.
- Philpot wcisnął porcję tytoniu do fajki i zapalił z uwagą, zanim spojrzał na Sabrinę.
- — Mała poprawka. Te beczki mogą być obecnie gdziekolwiek na świecie. Muszą być odnalezione i to szybko.
- Kolczyński wstał i przeszedł przez pokój zanim odwrócił się do pozostałych.
- — Ta uszkodzona beczka jest jak bomba zegarowa Słyszeliście co się stało, gdy włóczęga wszedł w kontakt z częścią jej zawartości. Wyobraźcie sobie konsekwencje, jeśli cała zawartość beczki ulotni się w powietrze. Wszyscy jeszcze pamiętają Czarnobyl. Jest absolutnie niezbędne uniknięcie następnej nuklearnej katastrofy.
- Philpot zaczekał chwilę, zanim zabrał głos, podkreślając w ten sposób słowa Kolczyńskiego.
- — Mike, Sabrina, będziecie pracowali razem przy poszukiwaniu tych beczek. I na

litość boską, zakopcie topór wojenny.

- Oboje przytaknęli posępnie.
- — A co z wykryciem nadawcy ładunku? — zapytał Graham, przerywając krótkie milczenie.
- — Waszym jedynym zadaniem jest odnalezienie plutonu — Philpot wskazał cybuchem fajki na Whitlocka. — Przy odrobinie szczęścia może C. W. natrafi na coś. Przepuściliśmy serię programów przez komputer w Centrum Dowodzenia i jesteśmy prawie pewni, że pluton pochodzi z zakładów atomowych niedaleko Monachium z Zachodnich Niemczech. Są to jedyne zakłady odzyskiwania paliwa nuklearnego w Europie Zachodniej specjalizujące się w produkcji plutonu IV stopnia utleniania. Dla niepoznaki będziesz występował w roli podróżującego dziennikarza; zobacz co można tam wykopać. Początkowe śledztwo, jak dotąd, nic w zakładach nie wykryło. Nie ma informacji o żadnych przesyłkach ani o kradzieży, tak więc najwyraźniej mamy do czynienia z profesjonalistami.
- Kolczyński wziął z biurka Philpota trzy koperty i wręczył każdemu z nich. Zawierały one standardowy zbiór materiałów, przygotowywanych na każdą operację UNACO. Opis zadania (do zniszczenia po przeczytaniu), bilety na samolot, mapy miejsca przeznaczenia, kontakty (ewentualnie), i określone sumy pieniędzy we właściwej walucie. Nie było żadnego limitu wysokości kwot pieniężnych, które mogły być wydatkowane w czasie wypełniania zadania. Niemniej po wszystkim, każdy pracownik miał obowiązek rozliczyć przed Kolczyńskim swoje wydatki w formie zestawienia, załączając odpowiednie rachunki uzasadniające całe rozliczenie.
- Pedantyczny stosunek Kolczyńskiego do zestawień wydatków spowodował iż powstały żarty wśród agentów, że lepiej stracić życie, niż zgubić rachunek.
- Graham podniósł swoją kopertę.
- — C. W. jedzie do Monachium. A my dokąd?
- Philpot wypuścił dym w górę. — Do Strassburga.

○ ***Rozdział czwarty,***

- Strassburg, stolica Alzacji, leży we Francji tuż nad granicą niemiecką, na wyspie utworzonej przez dwie odnogi rzeki Ill. Jest to malownicze miasto, z brukowanymi ulicami i domami z pruskiego muru, nad którymi góruje wieża katedry, gotycka budowla, zbudowana z czerwonego piaskowca z Wogezów, o wysokości ponad 320 stóp. Katedra, którą można dojrzeć z najdalszych okolic Alzacji, jest traktowana przez Alzatzyków jako dumny symbol ich dziedzictwa.
- Sabrina stała przed hotelem na Placu de la Gare i patrzyła na strzelistą sylwetkę katedry, na tle ciemnego, posępnego nieba. Myślami wędrowała przez ostatnie kilka godzin, które minęły od odlotu z lotniska J. F. Kennedygo w Nowym Jorku. Lotowi do Paryża towarzyszyły okresowe nawroty kołysania samolotu, i dlatego nikomu z nich nie udało się n a dłużej zasnąć. Przed wylądowaniem przypomniano pasażerom, by swe zegarki przesunęli o sześć godzin do przodu, dostosowując je do czasu kontynentalnego, co do zmęczenia dodało jeszcze dezorientację. Piper Chieftain, należący do UNACO, oczekiwał

na lotnisku Orly, by polecieć z nimi do Strassburga.

- Mimo ogromnego zmęczenia, nikomu z nich nie przyszło nawet do głowy, by trochę pospać. Gdy tylko zarejestrowali się w hotelu Vendome wybranym ze względu na sąsiedztwo stacji kolejowej każde z nich wzięło długi, odświeżający prysznic, po czym spotkali się w jadalni na spóźnionym śniadaniu.
- Widok Grahama wyrwał ją z zamyślenia. Przeszli piechotą kawałek drogi dzielący ich od dworca. Tam Sabrina podeszła do punktu informacyjnego, by zapytać o drogę do gabinetu zawiadowcy. Nigdy nie uczyła się mówić po alzacku, w dialekcie przypominającym stary język wysokoniemiecki, wobec czego zaczęła rozmowę posługując się bezbłędnym niemieckim. Urzędnik z informacji spytał ją nawet z jakiej części Niemiec pochodzi. Odpowiedziała, że z Berlina, to miasto poznała bowiem dobrze w minionych latach.
- Gabinet zawiadowcy stacji był położony w miejscu pozwalającym na doskonałą obserwację ruchliwej hali dworca. Zapukała do drzwi. "Herein" — rozległ się rozkazujący głos z wnętrza gabinetu.
- Otworzyła drzwi. Był to obszerny pokój, cały wyłożony dywanem, biurko z drzewa lękowego i trzy fotele z imitacji skóry, pod ścianą na prawo od drzwi. Półki po obu stronach okna były zapchane segregatorami, spisami telefonów i rozkładami jazdy.— Entschuldigen Sie, Herr Brummer? — powiedziała do siwowłosego mężczyzny stojącego przy oknie. Odwrócił się do niej:
 - — Ja, kann ich Ihnen helfen?
 - Graham podniósł rękę zanim zdążyła odpowiedzieć:
 - — Sprechen Sie Englisch? — zapytał.
 - Brumer przytaknął — Oczywiście, czym mogę służyć?
 - — Nazywam się Mike Graham. To jest Sabrina Carver.
 - — Rozumiem, powiedziano mi, że mam państwa oczekiwać. Mam tu listy przewozowe, które was interesują — wskazał na pięć pękatek segregatorów, leżących na biurku. — Wszystkie ładunki załadowane lub wyładowane w Strassburgu w okresie ostatnich dziesięciu dni.
 - Graham spojrział z konsternacją na stos papierów.
 - — Macie tu bardzo duży ruch.
 - — Tak jest, panie Graham. Ze względu na swe strategiczne położenie Strassburg stał się centrum kolejowym Europy. Mamy także ciągle rosnący zespół portowy, tak, że ponad połowa ludności miasta pracuje w transporcie. Jak pan widzi, musimy utrzymać ciągły ruch dla maksymalizowania dochodów.
 - Sabrina otworzyła pierwszy segregator i przekartkowała kilka pierwszych listów przewozowych.
 - — Czy wszystkie są po francusku?
 - — Tak. Ułatwia to pracę kontrolerom, którzy przyjeżdżają dwa razy do roku z Paryża na rewizję. Żaden z nich nie mówi po alzacku.— Dzięki Bogu za tych paryskich kontrolerów. Jak są gromadzone listy przewozowe na załadowywanie i wyładowywanie towarów?

Razem czy osobno?

- — Osobno, lecz oddzielnie dla każdego dnia. Ułatwia to ich odnalezienie. Wszystkie listy przewozowe określają także miejsce ostatecznego przeznaczenia ładunku. To dla celów ubezpieczenia, rozumiecie państwo.
- — Dziękujemy za pomoc — powiedziała Sabrina z uśmiechem.
- — Jeśli czegoś państwo potrzebujecie, nie krępujcie się prosić.
- — To prosimy o kawę — powiedział szybko Graham.— Natychmiast ją państwu przyślę.
- — I o możliwość jakiegoś odosobnienia na czas pracy — dodał Graham. — Jeśli będziecie państwo mnie potrzebowali, można się ze mną skontaktować przez telefon, numer wewnętrzny 7.
- Sabrina poczekała, aż Brummer opuścił pokój, po czym wybrała długopis ze stojaka na biurku i zaczęła pisać na kartce papieru.
- — Co to jest? — zapytał podejrzliwie.
- — Tonnelets a' biere et tonneaux a'biere — to po francusku oznacza beczki lub baryłki piwa. Ty przecież nie znasz tego języka, nieprawdaż?Skrupulatne badanie każdego listu przewozowego okazało się nudne i zabierające masę czasu. Dotyczyło to szczególnie Grahama, który nie rozumiał nic z tego, co czytał. Pogodził się w końcu z wkuwaniem na pamięć przetłumaczonych przez Sabrinę słów, mając nadzieję, że w którymś z listów przewozowych natknie się na pasujący do nich zapis. Było to jednak pobożne życzenie. Udało im się pokonać znużenie, gdyż robili regularnie co godzinę przerwę na kawę, a gdy po południu przyniesiono lunch — wyraz uprzejmości Brummera — byli wdzięczni za posiłek i wytchnienie. Lunch składał się z “garbure”, gęstej zupy jarzynowej, a następnie cielęciny “a la forestiere” i “pot -au- chocolat” na deser. Chociaż przez chwilę kusił ją obfity deser czekoladowy, Sabrina powstrzymała się całą siłą woli i oddała deser Grahamowi. Po lunchu niechętnie powrócili do pracy nad papierami. O 3²⁰ Sabrina zamknęła ostatni segregator. Wstała, przeciągnęła się, po czym podeszła do okna i wyjrzała na ruchliwą halę dworca.
- — Już kończysz?
- Uchwycił pozostałe jeszcze listy przewozowe w dwa palce dla oszacowania ich ilości.
- — Pozostało jeszcze pięćdziesiąt.
- — Daj mi, będzie szybciej. Ty weź narzędzia ze skrytki na dole.
- Jeden z pracowników UNACO złożył poprzedniego dnia ich broń w skrytce bagażowej na dworcu. Klucz dostarczono do hotelu przed ich przyjazdem. Był to ogólnie przyjęty sposób postępowania w UNACO.— Skąd ten pośpiech? — Oczy jego zwężyły się. — Znalazłaś coś?
- Wzruszyła ramionami. — Być może. Daj mi ten segregator.
- — Podobno pracujemy razem.
- Zmęczonym ruchem przetarła oczy. — Mam swoje powody. Musieliśmy przejrzeć wszystkie listy przewozowe, bez względu na to, co już znaleźliśmy. Gdybym ci powiedziała wcześniej o zapisie, który znalazłam, uspiłoby to twoją czujność,

wprowadzając w stan fałszywego samozadowolenia. To przecież ty opowiadałeś przy śniadaniu o niebezpieczeństwie dekoncentracji.

- — Twoja wiara we mnie jest wzruszająca — stwierdził krótko. — To dotyczy obu stron, Mike — odpowiedziała, wytrzymując jego wzrok.
- Powstrzymał gniew i wyszedł z gabinetu. Hala dworcowa była zatłoczona, usiłował trzymać nerwy na wodzy gdy popychali go pasażerowie śpieszący do wyjść na perony, gdy przez megafon ogłaszano kolejne pociągi. Gdy dotarł wreszcie do skrytki, okazało się, że wokół niej koczuje grupa studentów, a ich plecaki i torby walają się po nie sprzątniętej podłodze. Wyjął kopertę z kieszeni kurtki, rozdarł ją i wyrzucił klucz na dłoń. Otworzył właśnie skrytkę i wyjął niebieską torbę firmy ADIDAS. Jednak gdy chciał odejść, okazało się, że przejście blokuje atrakcyjna nastolatka w zniszczonych džinsach i workowatej bluzce w kwiaty. Mętne spojrzenie jej oczu wskazywało, że była pod wpływem narkotyków. Zaofiarowała mu niedopałek papierosa, wytrącił go jednak z rozdrażnieniem z jej palców i skierował się w głąb hali dworca. Wówczas spostrzegł zbliżającego się żandarma. Przez chwilę sądził, że żandarm widział cały incydent — instynktownie chwycił mocniej torbę. Musiałby się długo tłumaczyć, gdyby kazał mu ją otworzyć. Żandarm zatrzymał się przed rozrzuconymi na podłodze bagażami i szturchnął najbliższy plecak nogą, polecając studentom ułożyć bagaże w jednym miejscu pod ścianą. Gdy studenci podchodzili, aby zabrać swój bagaż, żandarm obserwował ich, wrywkowo sprawdzając paszporty i bilety kolejowe. Graham dostrzegł strach na twarzy dziewczyny skulonej pod ścianą, z nerwowo rozbieganymi oczami. Podeszedł do miejsca, w którym kucnęła i postawił ją na nogi.
- — Mówisz po angielsku? — zapytał szybko. Przytaknęła.
- — Załóż to — powiedział, wciskając jej w dłoń swoje okulary słoneczne.
- Spojrzała na żandarma.
- — Pan chyba nie zamierza...
- — Załóż je — przerwał z irytacją. — A teraz, gdzie jest twój bagaż?
- — Pomarańczowy plecak.
- Graham wrzucił plecak na ramiona i spostrzegł, że żandarm go obserwuje.
- — To mojej córki, czy coś jest nie tak? Nigdy się nie dowiedział, czy żandarm go zrozumiał czy nie, ale odczuł ulgę, gdy został przepuszczony krótkim ruchem ręki.
- Kim pan jest? — zapytała nastolatka, gdy poprowadził ją do środka hali dworcowej.
- — Nieważne. Ile masz lat? Spuściła głowę. — Osiemnaście.
- — Studentka?
- — Princeton.
- — Jesteś młoda, ładna i najwyraźniej inteligentna, po jakiego diabła usiłujesz zniszczyć swoje życie? Wystarczy wyrok, żeby zrobić z ciebie kryminalistkę. Będziesz później nosiła to piętno przez całe życie. Naprawdę nie warto.
- — Zniszczył mi pan narkotyk — powiedziała miękko. Wyciągnął rękę. — Jesteś już

bezpieczna. Oddaj moje okulary.

- Zdjęła je i oddała. — Dziękuję, mam dług wobec pana.
- — Masz dług wobec siebie samej — wetknął okulary do kieszeni bluzy i wtopił się w kłębiący się tłum podróżnych. Gdy wrócił, Sabrina spojrzała na niego:
- — Długo cię nie było.
- Skrzywił się. — Tam jest jak w dżungli. — pokazał na segregator, leżący na jej kolanach. — Znalazłaś coś?
- — Tylko ten jeden zapis.
- Położył torbę na stole i stanął za krzesłem by popatrzeć jej przez ramię na zapis, który wskazywała palcem.
- — Na marginesie jest zapisana liczba dziewięć — powiedział.
- — Nie zapomnij, że włóczęga był podczas przesłuchania pod wpływem dużej dawki środków uśmierzających. Nawet jeśli doliczył się sześciu beczek, to czy można być pewnym, że nie było ich tam więcej, umieszczonych w innej części wagonu?
 - — Gdzie zostały załadowane — zapytał.
 - — W Monachium. Zostały wyładowane tutaj przed pięcioma dniami. Na tutejszy adres.
 - — Zgadza się to z czasem, w którym włóczęga wskoczył do pociągu. To może być jednak również mylny ślad.
 - — Być może, ale to jest jedyny ślad, jaki mamy.
 - Otworzył torbę, wyjął dwa futerały, przystosowane do zawieszania na ramionach, i położył je na stole, a następnie sięgnął do torby ponownie po dwa pistolety, owinięte kawałkami zielonego sukna. Były to beretty 92, pistolety używane powszechnie w armii Stanów Zjednoczonych. Beretta 92 była zawsze ulubionym pistoletem Sabriny, natomiast Graham w skrytości ducha wolał zawsze colta 45, pierwszy pistolet, jakiego używał w Wietnamie. Zamienił go na berettę po rozpoczęciu pracy w UNACO. Wszyscy pracownicy UNACO mogli wybierać sami broń osobistą. Chociaż początkowo używał colta 45, był jeden bardzo ważny powód, dla którego zamienił go na berettę: pojemność jej magazynka — piętnaście pocisków, w porównaniu z siedmioma w colcie. W trudnej sytuacji osiem dodatkowych pocisków mogło oznaczać różnicę między życiem a śmiercią. I nie tylko dla niego samego.
 - Po zamocowaniu futerału na ramionach i włożeniu magazynka do beretty, Sabrina sprawdziła torbę, by upewnić się, czy została ona także zaopatrzona w licznik radioaktywności. Był tam przenośny licznik Geigera-Mullera, jedno z najbardziej popularnych i niezawodnych urządzeń tego typu na świecie. Było to jednocześnie jedno z najtańszych urządzeń, co przede wszystkim było powodem, że Kolczyński go kupił. Uśmiechnęła się do siebie. Kolczyński był przyzwyczajony do nieszkodliwych kpin ze strony agentów z powodu ciągłych prób obcinania wydatków. Gdy jednak chodziło o poważne sprawy, nigdy dla ratowania budżetu organizacji nie zaryzykowałby życia któregokolwiek z nich. On tylko żądał — i otrzymywał — artykuły najwyższej jakości, zawsze po zniżonych cenach, dzięki mądrym wygrywaniu jednych producentów przeciwko drugim.

- — Gotowa?
- Skinęła głową. — Masz jakiś plan?
- — Jeszcze nie. Obejrzyjmy najpierw to miejsce.
- Jak się okazało, pod adresem wskazanym w liście przewozowym stał trzypiętrowy dom na Quai des Pecheurs, którego obraz odbijał się jak w zwierciadle w spokojnych wodach rzeki Ill. Białe ściany kontrastowały żywo z czarnymi żaluzjami podniesionymi nad licznymi oknami. Ciężkie zasłony zakrywające mansardowe okna, wystające z dachu pokrytego niemalowaną blachą falistą, wzmagaly jeszcze odpychające wrażenie.
- — Z pewnością coś tam ukrywają — powiedział Graham, wychodząc z wynajętego renault GTX.
- — Sądzę, że w tych okolicznościach, powinniśmy wykorzystać nasz kontakt — rzekła w końcu Sabrina.
- Spojrzał na nią ponad dachem samochodu marszcząc brwi pytająco. — Jakich okolicznościach?
- — Nie możemy po prostu wejść, żądając oprowadzenia z przewodnikiem, bez oficjalnego nakazu przeszukania.
- — Znasz zasady, Sabrino: używamy kontaktu tylko wówczas, gdy jest to absolutnie niezbędne. Z tym poradzimy sobie sami.
- — Jak? Nie zamierzasz chyba wdrzeć się szturmem, jak słoń do składu porcelany? Wiesz jak kłął Kolczyński, gdy dostał rachunek, kiedy ostatnio tak zrobiłeś.
- — Nie, mam na myśli coś bardziej subtelnego. Studentka w rozpaczliwym położeniu.
- — Powinam odgadnąć. Dobra, zobczymy.
- Minutę później skręciła w wąską, boczną uliczkę obok domu i wjechała na wybrukowane podwórze, otoczone ze wszystkich stron wyblakłym, białym murem, na którym farba łuszczyła się obrzydliwie, odsłaniając szarawy tynk spod spodu. Wyszła z samochodu i zastukała kołatką w czarne, drewniane drzwi. Przesłona "judasza" odchyliła się i ktoś o młodej twarzy przyjrzał się jej bacznie. Wyjaśniła mu swe kłopotliwe położenie po francusku, wskazując od czasu do czasu na stojący za nią renault. Gdy mówiła, wychylił się nad kratką, by lepiej ją widzieć. Obcisłe džinsy, wpuszczone w brązowe, skórzane botki i wspaniała figura. Jeszcze nie wierząc w swoje szczęście, otworzył drzwi by ją wpuścić. Już wewnątrz długiego mrocznego korytarza, wyciągnęła kserokopię listu przewozowego z kieszeni i wręczyła mu. Lubieżny grymas przybladł, a następnie zniknął zupełnie — przeszył ją spojrzeniem pełnym złości, że tak łatwo dał się podejść. Oczy mu błysnęły i uśmiechnął się lekko zanim zwrócił się ponownie do niej i głośno zakwestionował prawdziwość oryginału faktury. Niezgrabne usiłowania odwrócenia jej uwagi wystarczyły za sygnał ostrzegawczy. Odczekała do ostatniej chwili, po czym odwróciła się by stawić czoła zbliżającemu się człowiekowi. Gdy chwycił ją za klapy, zacisnęła obie pięści razem i wepchnęła między jego ręce, aż napotkała jego twarz, zmuszając go do rozluźnienia uchwytu. Wówczas uderzyła mocno w grzbiet nosa. Wrzasnął z bólu i upadł na kolana, chroniąc złamany nos zakrwawionymi rękami.
- Chłopak sięgnął ręką za drzwi, lecz gdy jego palce zwały się na rękojeści skrytego w

pochwie noża, Graham pojawił się za nim i przycisnął lufę beretty do jego pleców. Zamarł wtedy ze strachu i opuścił rękę. Graham odepchnął go od wejścia i sięgnął ku drzwiom, by wyjąć nóż z pochwy. Wyciągnął go do chłopca, rękojeścią do przodu, prowokując do odebrania noża. Sabrina wmieszała się odbierając Grahamowi nóż i wpuszczając do cholewki swego buta.

- — Czy odczytałeś coś na zewnątrz? — zapytała, wyjmując licznik Geigera-Mullera z torby, którą przyniósł.
- Potrząsnął głową. — Jest czysty.
- Przekręciła licznik i skierowała czujnik na drzwi i podłogę dookoła. Strzałka nawet nie drgnęła. Gdy zbliżyła się do chłopca, ten zawahał się i cofnął, zamarł jednak na miejscu, widząc groźne spojrzenie Grahama. Spróbowała najpierw zbadać chłopca, a następnie jego skomlącego kolegę. Oba odczyty były negatywne.
- — Mówisz po angielsku, chłopcze? — zapytał Graham. Chłopak oparł się plecami o ścianę, z oczami pełnymi przerażenia.— Parlez vous anglais? — przetłumaczyła Sabrina. Chłopak potrząsnął głową. Zapytała go o beczki od piwa. Pokazał na schody w końcu hallu.
- — Co z nim? — zapytał Graham, wskazując na uderzonego mężczyznę.
- — Nigdzie się szybko nie ulotni.
- Drewniane schody prowadziły na dół do wąskiego korytarza oświetlonego pojedynczą, zwykłą żarówką, dyndającą na końcu kawałka przetartego przewodu. Jedyne drzwi, zabezpieczone kłódką, mieściły się na końcu korytarza. Podeszła do drzwi, lecz licznik znów niczego nie odczytał. Powiedziała chłopcu, by otworzył drzwi, lecz on potrząsnął tylko głową.
- Graham, który rozumiał rozmowę dzięki gestykulacji Sabriny, wskazującej na kłódkę, popchnął chłopaka brutalnie w kierunku drzwi. Gdy chłopak odwrócił się, ujrzał skierowaną na siebie lufę beretty. Pogrzebał przy pasie, by odpiąć klucze, jego ręce drżały, gdy starał się otworzyć drzwi. Trzy razy próbował utrafić w otwór kłódki kluczem zanim mu się udało. Upuścił kłódkę na podłogę, otworzył pchnięciem ciężkie drzwi i sięgnął do wewnątrz, by zapalić światło. Sabrina weszła za nim do pomieszczenia, ciągle nie mogąc nic odczytać z licznika Geigera-Mullera. Setki pojemników z piwem zgromadzono pod trzema pobielonymi ścianami, czwarta, najdłuższa ściana cała była zakryta szeregiem drewnianych półek, na których leżały butelki z krajowymi i importowanymi winami.
- Chłopak poprowadził ich przez sklepienie z cegieł do drugiego pomieszczenia. Było wypełnione kartonowymi pudłami, z których wiele było otwartych i widać było ich zawartość. Whisky. Wskazał na dziewięć beczek od piwa, stojących na środku tego pomieszczenia. Sabrina przejechała licznikiem przez te beczki. Strzałka nie ruszyła się. Wyłączyła licznik i ukucnęła obok beczek, by odczytać etykiety.
- — Cztery butelki jasnego, pięć ciemnego piwa. I jedno i drugie pochodzi z Monachium. To przemyt.
- — Cholerny nielegalny szynk — Graham warknął ze złością.
- — A więc mylny trop, mimo wszystko.

- Tak, mam jedynie nadzieję, że C. W. natknie się na coś bardziej konstruktywnego.

* * *

- Whitlock natknął się na coś bardziej konstruktywnego i właśnie starał się zweryfikować autentyczność swego odkrycia. Jego samolot wystartował z Nowego Jorku w trzy godziny po odlocie samolotu do Paryża. Pogoda nad Atlantykiem już się nieco poprawiła, wobec czego mógł spać większą część podróży. Po wylądowaniu na lotnisku we Frankfurcie nad Menem, odebrał z okienka Hertza klucze do golfa i przejechał autostradą A 66 dwadzieścia cztery mile dzielące go od Monachium, gdzie zatrzymał się w hotelu Europa na Kaiserstrasse. Podobnie jak dla Grahama i Sabriny, również dla niego pozostawiono w skrytce na dworcu głównym torbę, zawierającą licznik Geigera-Mullera i jego ulubiony pistolet, browning Mk2. Na tym dworcu spędził trzy pracowite godziny, sprawdzając listy przewozowe na wszystkie ładunki nadane na dworcu towarowym w ciągu ostatnich dziesięciu dni.
- Jeden z listów przewozowych ściśle odpowiadał temu, czego poszukiwał. Sześć metalowych beczek, załadowanych w Szwajcarii na pociąg, który zatrzymał się w Strassburgu dokładnie tego dnia, o którym mówił włóczęga. Chociaż nie był to wystarczający dowód, że chodzi o te same beczki, które znalazł włóczęga, wszystko jednak wskazywało, że nie był to zwykły zbieg okoliczności. Był tylko jeden pewny sposób sprawdzenia wszystkiego — wizyta pod adresem, wskazanym na liście przewozowym, w celu sprawdzenia radioaktywności.
- Zapadła już noc, gdy Whitlock przejechał przez most Heussa na Renie i skręcił w Rampenstrasse, mrużąc oczy za przyciemnionymi okularami, gdy próbował odczytać numery, często przybłakłe i niewyraźne, na szeregu magazynów, biegnących nad brzegiem rzeki. Odnalazł magazyn, którego numer odpowiadał zapisowi w liście przewozowym, leżącym obok niego na sąsiednim siedzeniu i powoli zatrzymał się. Chwycił torbę z tylnego siedzenia i wysiadł. Tylko pięć innych samochodów parkowało obok jasno oświetlonej, włoskiej restauracji po drugiej stronie ulicy. Nie tylko wyglądała krzykliwie, ale także z kuchni wzbijały się w powietrze smrodliwe zapachy. Podeszedł do magazynu. Niemalowane drzwi były zamknięte na kłódkę. Nad nimi z trudem odczytał nazwisko "Strauss", napis został bowiem w znacznym stopniu zatarty pod wpływem zmiennej pogody. Rozejrzał się, wyjął z kieszeni pilnik do paznokci i zaczął pracować
- nad kłódką. W chwilę później była otwarta. Zdjął łańcuch zabezpieczający drzwi i otworzył jedno skrzydło dostatecznie szeroko, by wśliznąć się do środka. Po wypróbowaniu kilku przełączników, udało mu się zaświecić żarówkę w dalekim kącie magazynu. Zardzewiałe haki zwisały ze staroświeckich, żelaznych belek, szyby w oknach zostały dawno powybijane, a spłowiałe ściany pomazane sprośnymi rysunkami. Nawet cementowa podłoga popękała ze starości i kępy chwastów wyrosły ze szczelin. Całe to miejsce cuchnęło opuszczeniem i zaniedbaniem. Otworzył torbę, wyjął licznik Geigera-Mullera i uruchomił go. Urządzenie natychmiast zaczęło pracować, przy czym odczyt wzmacniał się lub słabł w miarę, jak poruszał się po magazynie. Wyłączył licznik, upewniony, że beczki były przynajmniej przez jakiś czas w tym pomieszczeniu zmagazynowane.

- — Was wünschen Sie
- Whitlock odwrócił się. Mężczyzna stojący w przejściu dobiegał trzydziestki, miał tłuste, jasne włosy i brudny fartuch zwisający luźno na tłustym brzuchu. Whitlock pomyślał o włoskiej restauracji i podszedł, by przyjrzeć się nieznajomemu lepiej. Sprawiał wrażenie przytłaczającej słabości. Whitlock wierzył mocno w fizjonomikę, a jego instynkt rzadko go zawodził.
- — Czy mówi pan po angielsku? — zapytał Whitlock.
- — Trochę. Musimy mówić po angielsku, mamy tu mnóstwo Anglików. Whitlock przyjął, że "tu" oznaczało Niemcy, a nie restaurację. Z pewnością żaden turysta nie odważyłby się wejść do niej. Z drugiej zaś strony...
- — Sądzę, że pan pracuje w restauracji po drugiej stronie ulicy?
- Mężczyzna potaknął.
- — Jak dawno?
- — Blisko dwa lata.
- Whitlock sięgnął do kieszeni, wyciągnął paczkę banknotów obracając ją powoli w rękach. Słaby zawsze jest najłatwiejszy do przekupienia. Nienawidził łapówek, ponieważ był to rodzaj wydatków najtrudniejszych do wyjaśnienia Kolczyńskiemu.
- — Poszukuję informacji i mogę dobrze zapłacić.— Kto pan jest? Brytyjski policjant?
- — Jeśli pan mi zapłaci, to ja będę odpowiadał. W przeciwnym razie, niech pan pozwoli, że ja będę zadawał pytania.
- — Co pan chce wiedzieć? — zapytał mężczyzna, wycierając dłonie w fartuch i przez cały czas nie spuszczać oczu z banknotów w rękach Whitlocka.
- — Czy widział pan kogoś kręcącego się w tym magazynie w ciągu ostatnich sześciu miesięcy?
- Mężczyzna zwilżył usta językiem i skinął twierdząco.
- — Czasami przychodzą jeść w mojej restauracji. Jest ich trzech. Jeden był w restauracji tylko raz, ale jestem pewien, że to on jest szefem. Pozostali dwaj — spojrzał na dach usiłując znaleźć właściwe słowa — jak wy to mówicie, bali się go. Moja żona twierdzi, że on jest przystojny. — Wzruszył ramionami, jakby jej opinia była niezupełnie słuszna.
- — Jak on wygląda?
- — Duży, czarnowłosy mężczyzna. A oczy ma dwóch różnych kolorów. Jedno brązowe, drugie zielone. Widziałem, gdy płacił rachunek. Mówi dobrze po niemiecku, ale nie tu się urodził.
- — Czy rozpoznał pan jego akcent?— Nie.— A pozostali dwaj?
- — Jeden jest nieduży i ma krótkie rude włosy. Drugi to Amerykanin. Blondyn jak i ja. Ma wąsiki.
- — Czy słyszał pan kiedykolwiek jak wymieniali swoje nazwiska?
- Mężczyzna potrząsnął głową.
- — Zawsze siadają w rogu. Chcą być sami.— Czy coś się działo wokół magazynu?
- — Widziałem, że samochód ciężarowy przyjeżdża tu czasami. To wszystko.

- — Czy był jakiś napis na nim?— Nie zauważyłem.
- Whitlock odliczył kilka banknotów z paczki. Mężczyzna chwycił je i wcisnął do kieszeni.
- — Co to jest? — zapytał, widząc, że Whitlock wkłada licznik Geigera-Mullera do torby.
- Whitlock zamknął torbę i podniósł się.— Niech pan mi zapłaci, to odpowiem.
- — Jest pan sprytny.
- — Tak?
- Whitlock poczekał, aż mężczyzna opuści magazyn a następnie wyszedł za nim i założył kłódkę na łańcuch.
- — Proszę, niech pan wejdzie do mojej restauracji. Zrobię panu dobrą lazanię* (**Makaron zapiekany z kawałkami mięsa, sera, itp –przyp.**).
- — W języku angielskim jest takie powiedzenie. “Gdy jesteś w Rzymie, czyń jak Rzymianin”. Ale my jesteśmy w Niemczech.
- — Pan nie lubi lazanii? Whitlock spojrzał na restaurację.
- — Jak pan powiedział, jestem sprytny.
- Wrócił do golfa i wziął list przewozowy z siedzenia przy kierowcy. Ostateczne przeznaczenie ładunku było zapisane starannie czarnym atramentem w dolnym lewym rogu kartki. Lozanna.

* * *

- Whitlock zadzwonił do nich natychmiast po powrocie do hotelu, gdy jednak Sabrina skontaktowała się z dworcem w Lozannie, usłyszała, że ostatni wieczorny pociąg już odszedł. Oboje z Grahamem zgodzili się, że niewiele zdołają już zrobić tego wieczoru. Gdy Graham zatelefonował z meldunkiem do Głównej Kwatery UNACO, został powiadomiony, że cessa będzie oczekiwała na nich o szóstej rano następnego dnia by przewieźć ich do Genewy, gdzie znajduje się najbliższe Lozanny lotnisko.
- Oboje wcześniej poszli spać.
-

Rozdział piąty

- Cessa wylądowała na lotnisku Cointrain w Genewie o siódmej trzydzieści. Graham wynajął najszybszy samochód oferowany przez Hertza, BMW 735, by pojechać nim do oddalonej o siedemdziesiąt mil Lozanny. Sabrina sądziła, że posiadając wiele medali z wyścigów samochodowych, ma najlepsze kwalifikacje do prowadzenia samochodu. Graham nietaktownie przypomniał jej niemal zgubny wypadek w Le Mans. Powściągnęła gniew, nie był to bowiem ani czas, ani miejsce na rozpoczynanie sporu. Pozwoliła mu prowadzić.
- Po godzinie dojechali do dworca w Lozannie, gdzie zawiadowcę uprzedzono by ich oczekiwał. Przeprowadził kilka rozmów z telefonu wewnętrznego, po czym oznajmił z pewnością

ulgą, że udało mu się wytropić dyżurnego, który nadzorował załadunek pociągu towarowego poprzedniego dnia. Graham poprosił go, by nie wzywał dyżurnego do gabinetu. Wierzył mocno w psychologię własnego terenu. Zawsze rozluźniał on świadków i czynił bardziej prawdopodobnym przypomnienie sobie drobnych szczegółów, które mogłyby zostać zapomniane lub przeoczone w obcym otoczeniu. Sprawdził jak to działa, gdy pracował w Delcie.

- Dyżurny stał na peronie z rękami wetkniętymi w kieszenie kombinezonu.
 - — Czy mówi pan po angielsku? — zapytał Graham.
 - Dyżurny skinął głową z wahaniem.
 - — Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań — powiedziała Sabrina.
 - — Dlaczego mnie?
 - — To w związku z pana pracą — odpowiedział zwięźle Graham.
 - — No, jeśli stawiacie to w ten sposób... — dyżurny zachichotał nerwowo.
 - — Rozpoznaje pan ten list przewozowy? — zapytała Sabrina, pokazując list otrzymany od zawiadowcy stacji.
 - Dyżurny wskazał na nazwisko, zapisane w prawym górnym rogu. — To ja. Dieter Teufel. Teufel znaczy diabeł. Dieter Diabeł, szczególnie dla kobiet.
 - — Co mnie obchodzi pańskie prywatne życie — warknął Graham. — Więc miał pan do czynienia z tym właśnie wczorajszym ładunkiem?
 - — To moje nazwisko, nieprawdaż?
 - — Nie potrzebuję pańskiego sarkazmu, chłopcze.— Byłem tu, ale...— Ale? — podpowiadała Sabrina.
 - — Mógłbym stracić pracę — powiedział Teufel, patrząc na swoje niewyczyszczone buty. — Powinienem wiedzieć, że nic z tego nie wyjdzie.
 - — Jest pan i tak na progu jej utracenia, jeśli nie zacznie pan dawać odpowiedzi.
 - — Przestań, Mike — Sabrina patrzyła na pochyloną głowę Teufla. — Niech pan zrozumie, nie interesujemy się tym, czy pan złamał jakieś wewnętrzne regulaminy. Chcemy tylko wiedzieć co się stało z ładunkiem.
 - — Właściwie nie wiem — odpowiedział Teufel, stukając w roztargnieniu czubkiem buta w beton peronu.
 - — Przyrzekam, że to nie wyjdzie poza nas troje — powiedziała Sabrina.
 - — Przyrzeka pani?— Przyrzekam — odparła z przekonującym uśmiechem.
 - — Na czterdzieści minut przed odejściem pociągu podszedł do mnie ten mężczyzna i zapytał, czy chciałbym zarobić pięćset franków. Naturalnie chwyciłem się takiej szansy.
 - — Co to za mężczyzna? Czy widział go pan przedtem? — zapytał Graham.
 - — Nigdy go przedtem nie widziałem. Dobrze zbudowany, czarnowłosy, mówił dobrze po niemiecku. On wiedział skądś, że pracuję na tym odcinku, podał mi numer wagonu i powiedział, żebym się do niego nie zbliżał. Powiedział, że w wagonie jest jego prywatny ładunek i że chce go rozładować sam. Wiem, że to niezgodne z przepisami, ale nie zamierzałem sprzeciwić się przy tej sumie pieniędzy.

- — I Co wtedy? — naciskała Sabrina.— Biała ciężarówka podjechała tyłem do wagonu.— Czy miał jakichś pomocników? — zapytał Graham.
- — Widziałem tylko kierowcę, ale mogli być także inni we wnętrzu wagonu.
- — Niech pan opisz kierowcę — powiedział Graham.
- Teufel wzruszył ramionami. — Niewiele go widziałem. Pamiętam, że miał wąsiki. Było w tym jednak coś dziwnego. Gdy ciężarówkę załadowano, podjechała do wagonu innego pociągu. Musiała tam stać co najmniej godzinę. Potem powróciła do poprzedniego wagonu i znów podjechała do niego tyłem. Oba pociągi odjechały mniej więcej w tym samym czasie.
- — Czy sprawdzał pan któryś z wagonów przed odjazdem?
- — Nie, proszę pana, ale sprawdziłem potem listy przewozowe. Oba wagony były w nich wykazane jako puste.
- — Dokąd szły pociągi? — zapytał Graham.
- — Ten z Monachium do Rzymu. Nie jestem pewien, dokąd szedł drugi. Sprawdzę, jeżeli pan sobie tego życzy.
- — Niech pan sprawdzi — powiedział Graham.
- Teufel zniknął w budce i wrócił minutę później. — Drugi pociąg jechał do Zurichu przez Fryburg i Berno. W tej chwili utkwiał we Fryburgu. Jakieś trudności techniczne. Zapisałem także numery kolejne obu wagonów, jeśli może to państwu pomóc.
- — Czy ładunki zostały przeniesione we Fryburgu na inny pociąg? — zapytała Sabrina.
- — Nie, pociąg ma opuścić Fryburg dzisiaj późnym popołudniem. Ładunki cały czas są w pociągu.
- — Tak więc nie podszedł pan do żadnego z tych wagonów towarowych? — zapytała Sabrina.
 - — Trzymałem się z daleka, potrzebowałem pieniędzy.
 - — Dziękujemy za pomoc i niech się pan nie martwi, nie powiemy zawiadowcy stacji o wczorajszym.
 - — Dziękuję — zamamrotał Teufel, po czym uśmiechnął się ze zrozumieniem do Grahama. — Ma pan szczęście, że ma pan takiego pięknego pomocnika.
 - — Partnera — powiedziała Sabrina ostro.
 - Teufel dotknął swej czapki przepaszająco. — Proszę mi wybaczyć, mam dużo roboty.
 - Sabrina obserwowała go gdy zniknął w budce. — Tak więc przestępstwo czasami się opłaca.— Jak to rozumiesz? — zapytał Graham, gdy wracali w kierunku głównej hali dworca.
 - — Zostałby napromieniowany, gdyby nie wziął łapówki i wszedł do wagonu.
 - — Prawda — powiedział Graham i zachichotał do siebie.
 - — O co chodzi?
 - — Pomocnik. Podoba mi się to.

- — Jeszcze jak — odpowiedziała i wskazała na dworcową kawiarnię — Chodź, zafunduję ci śniadanie.
- Wziął jajka na bekonie i kielbaski. Ona wybrała kontynentalne śniadanie, zastępując dwiema kromkami świeżej chałki konwencjonalny rogalik.
- — Jakie wnioski wyciągasz z ostatnich zdarzeń? — zapytał Graham, gdy usiedli przy jednym z niewielu wolnych stolików. Zamieszała starannie kawę zanim odpowiedziała.— Dowiedzieli się o uszkodzeniu beczki i musieli ją w tajemnicy naprawić. Dlatego właśnie wóz ciężarowy podjeżdżał tyłem do wagonu towarowego.
- — Nie mówiąc już o tym, że ktoś w białym ubraniu ochronnym musiałby wzbudzić sensację na dworcu — dodał Graham między dwoma łykami.
- — Muszą zdawać sobie sprawę, że są poszukiwani, bo po co inaczej taki kamuflaż?
- — Niekoniecznie. Mamy do czynienia z zawodowcami. To zupełnie naturalne, że chcą zatrzeć ślady po niepowodzeniu z beczką.
- Nadział na widelec ostatni kawałek kielbasy i zanurzył w rzadkim żółtku jajka. — Który pociąg służy twoim zdaniem do kamuflażu?
- — Pierwszy, jadący do Rzymu — odpowiedziała bez wahania.
- — Dałaś się nabrać — powiedział z ustami pełnymi jedzenia.
- — Naprawdę, a skąd taka pewność?
- — Intuicja.
- — Intuicja? Oczywiście, powinnam była o tym pomyśleć — powiedziała z sarkazmem.
- Graham uderzył gniewnie pięścią w blat stołu. Para siedząca przy sąsiednim stoliku spojrziała na niego, lecz odwrócili natychmiast wzrok, gdy odpowiedział spojrzeniem. Pochylił się i zaczął stukać w stół palcem. — Miałem już sześćoletnie doświadczenie w rozumieniu przestępców, gdy ty ukończyłaś Sorbonę, jako rozpuszczony mały berbec.
- — Rozpuszczony mały berbec. Dziwne, jak doszliśmy do tego. A co o reszcie mojej drogi życiowej? Mała, bogata dziewczynka, która dzięki wpływom ojca dostała się do FBI i która wyszłaby za kogoś ze śmietanki towarzyskiej Miami, gdyby nie przyszła na czas interwencja pułkownika Philpota, który został zmuszony do zaofiarowania jej pracy w UNACO. Mógłbyś się zabawiać Mike w inny sposób, ten zaczyna być nudny.
- — Prawda zawsze boli.
- — Ty to powinieneś wiedzieć — natychmiast pożałowała swych słów — przepraszam Mike, nie chciałam tego powiedzieć.
- — Nie powiedziałabyś tego, gdybyś nie chciała powiedzieć. — Przesunął rękami po twarzy. — Czy możemy wrócić do naszej sprawy?
 - — To mogłoby być niespodziewane szczęście.
 - — Co mogłoby być tym niespodziewanym szczęściem? — odsunął talerz.

- — Różnica w naszych poglądach. Powinniśmy sprawdzić oba pociągi.
- — Słusznie, ale potrzebujemy drugiego licznika Geigera, a nie ma czasu czekać, aż nam go przyślą.
- — Weź ten licznik, nie powinnam mieć trudności z kupieniem drugiego.
- — No dobra, siedząc tu tracimy czas — powiedział i wstał.
 - A szef nam ciągle przypomina, że jest to przypadek Czerwonego Kodu. Przysłowiowy wyścig z czasem.

* * *

Napis na wjeździe na boczną drogę, odchodzącą od A 643 pięć mil za Monachium, ostrzegał przed konsekwencjami jakie mogą nastąpić, jeśli jakieś nieupoważnione osoby będą starały się nielegalnie przedostać do Zakładów Odzyskiwania Paliwa Nuklearnego, oddalonych o jedną milę drogi.

Whitlock skręcił w boczną drogę, przejechał obok napisu i gdy przedostał się na szczyt wzniesienia, zobaczył zakłady leżące przed nim. Otoczone były murem, wysokim na dziesięć stóp i zwieńczonym drutem kolczastym, przez który — jak odkrył to później — można było puścić prąd jednym przekręceniem przełącznika. Trzy szpetne wieże chłodnicze górowały nad licznymi, pudełkowatymi budynkami, każda z nich wydzielala pióropusze gęstego, szarego dymu, który unosił się w nisko wiszące złowróżebne, deszczowe chmury. Gdy zatrzymał się przed zaporą, pomyślał o olbrzymich ilościach niskotoksycznych trucizn, wyrzucanych codziennie do atmosfery przez skąpe korporacje chemiczne, nie zwracające uwagi na bezpieczeństwo i dobrobyt przyszłych pokoleń. Niewiele trapiły się swoją rolą w niszczeniu powłoki ozonowej, postępując w podobny sposób jak Watykan z wewnętrznym zepsuciem, zmiatając wszystko pod dywan i udając, że nie istnieje. Zawsze go przygnębiało, że oba bloki — wschodni i zachodni — mogły przeznaczać tak olbrzymie sumy z budżetu na to, co uważał za całe zło przemysłu nuklearnego, podczas gdy miliony ludzi w krajach trzeciego świata żyły w nędzy. Jakikolwiek jednak pytania naprawdę chciałby zadać w zakładach odzyskiwania paliwa nuklearnego, to jednak nigdy nie pozwoliłby, żeby osobiste uczucia miały wpływ na realizację zadania.

Z budki za zaporą wyszedł strażnik i zbliżył się do golfa. Whitlock zauważył kaburę pistoletu przy pasie strażnika, po czym spojrział na dobermana na smyczy, siedzącego posłusznie obok. Opuścił szybkę w drzwiach samochodu i pomyślał chwilę o swoim szwagrze Eddim Krugerze, który nauczył go trochę niemieckiego. Nie było to dużo, ale wystarczyło.

— Dzień dobry. Nazywam się Whitlock, z New York Timesa. Mam umówione spotkanie — zrobił pauzę i popatrzył na nazwisko w dole listu, który przekazano mu na dworcu kolejowym — K. Schendel. Dziewiąta rano!

Strażnik przejechał palcem po napisanym na maszynie spisie nazwisk, odnalazł nazwisko, którego szukał i poprosił Whitlocka o jakiś dowód. Wystarczył mu jego paszport. Wszedł do budki, by zatelefonować do recepcji. Otworzył zaporę, a Whitlock pomachał mu przyjaźnie ręką gdy przejeżdżał drogą prowadzącą na parking dla gości.

Biuro recepcyjne było urządzone w taki sposób by wywierać wrażenie na gościach. Importowany z Ameryki dywan koloru suszonych grzybów, trzypiętrowy, kryształowy, czeski żyrandol, brązowe, skórzane fotele i zasłony z gnieczonego weluru, upięte ozdobnie po obu stronach dużych okien, które wychodziły na parking samochodowy.

Podszedł do obramowanego dębem okienka recepcjonistki i odwzajemnił jej uśmiech.

— Mam umówione spotkanie z panem Schendlem o godzinie dziewiątej.

— Nie z panem ale z panią Schendel. Karen Schendel — rozległ się za nim kobiecy głos po angielsku. Gdy się odwrócił, od razu pomyślał, że również jej zadaniem było wywieranie wrażenia na przybyszach. Jej czarne włosy były zawinięte w kok, podkreślając wspaniałe rysy i piękną szyję oraz kontrastując jak gdyby z żakietem i spódnica w drobne prążki. Jej ruchy były pełne wdzięku i elegancji, miała pewny uścisk dłoni, co nie umniejszało w niczym kobiecości.

— Przepraszam — powiedział Whitlock, decydując się pozostać przy angielskim. Jej angielski wydawał się o wiele lepszy od jego chropowatego niemieckiego.

— Za co? — zapytała się, marszcząc czoło.

— Za przypuszczenie, że jest pani mężczyzną.

— To naturalne, że mężczyźni tak przypuszczają. Proszę do mojego gabinetu. Zamierzałam właśnie zamówić kawę.

Gabinet, położony przy korytarzu, biegnącym prosto z biura recepcyjnego, był obszerny i subtelnie kobiecy. Pastelowe ściany tworzyły gustowne tło dla oprawionych rycin Sary Moon, świeże kwiaty ułożone były w kryształowym wazonie, a różowy abażur zdobił małą lampę stojącą na biurku. Wskazała na fotel z białej skóry przed biurkiem, a następnie usiadła w swoim krześle i sięgnęła po telefon.

— Herbatę czy kawę?

— Wszystko jedno, to co pani pije.

— Dlaczego mężczyźni są zawsze tacy wymijający. To przecież nie taki trudny wybór. Herbatę czy kawę?

— Kawę — odpowiedział, po czym, gdy ją zamawiała, nachylił się, by spojrzeć bliżej na fotografię piegowatego chłopca, stojącą w ramce na biurku. — Miły chłopak.

— Mój syn, Rudi — powiedziała, odkładając słuchawkę. — On i jego ojciec utonęli przy Costa Brava cztery lata temu.

— Przykro mi — powiedział Whitlock.

— Dziękuję.

— Jak długo była pani mężatką?

— Och, nie mieliśmy ślubu. Cielęca miłość. Poznałam Ericha, gdy miałam piętnaście lat. Do tego roku bylibyśmy razem dziewiętnaście lat.

— Mogę z całym przekonaniem powiedzieć, że nie Wygląda pani na więcej niż dwadzieścia pięć lat.

Zaśmiała się. — Mam wrażenie, że pójdzie nam razem bardzo dobrze, panie Whitlock.

— C. W., bardzo proszę?

— Co oznaczają te inicjały?

— Nic, to są po prostu inicjały.

Nigdy nie wybaczył rodzicom tego, że nazwali go Clarence Wilkins. Karen naląła kawę, gdy tylko ją przyniesiono i poczęstowała Whitlocka mlekiem i cukrem.

— Jaki artykuł chce pan napisać? — zapytała.

— Mam nadzieję, że uzyskam możliwość kontaktu z pracującymi tu ludźmi. Tak wiele już napisano o technicznej stronie tego przemysłu, że opinia publiczna ma skłonność Uważać za oczywiste wysokie kwalifikacje ludzi, którzy w tym przemyśle pracują.

— Innymi słowy, chodzi o czynnik ludzki?

Whitlock przytaknął. — Ponieważ wszyscy mamy jeszcze w pamięci Czarnobyl, wydaje się, że jest to dobry pomysł pokazanie, że pracownicy przemysłu nuklearnego to tacy sami ludzie, jak my wszyscy. Mają rodziny, domy i tak samo dręczy ich możliwość wycieków promieniowania, jak każdego innego człowieka.

— Dręczy to ich bardziej niż innych. Jeśli zdarzy się wypadek, to nie tylko utracą swoje źródła utrzymania, ale jako pierwsi zostaną napromieniowani — przerwała, by łyknąć trochę kawy. — Ale dlaczego przyjechał pan właśnie do Monachium?

— W ostatnich latach zostaliśmy wprost zalani potokiem historyjek o amerykańskim przemyśle nuklearnym. Ludzie chcą poczytać coś innego. A ponieważ Monachium znajduje się w samym środku Europy, jest szczególnie ważne i kontrowersyjne jako siedziba zakładów przemysłu nuklearnego. Pył radioaktywny z tych zakładów mógłby skazić cały kontynent.

— Dziennikarski melodramat — powiedziała uśmiechając się. — Jak długo zamierza pan tu pozostać?

— Dwa, trzy dni — odpowiedział.

— To dobrze, będę mogła panu osobiście pokazać jak konsekwentne są nasze przepisy bezpieczeństwa. Niestety, będę dzisiaj prawie cały czas zajęta, mam odczyt dla grupy japońskich biznesmenów. Będę więc musiała przekazać pana w ręce mojego asystenta. Da on panu ogólny wgląd w sprawę, a pan potem będzie mógł zdecydować, o co jeszcze pytać ludzi. Zorganizuję panu te wywiady.

— Brzmi nieźle — odpowiedział Whitlock.

— Zdobędę dla pana odznakę — “dozometr” — powiedziała, sięgając po telefon.

— Co takiego? — zapytał Whitlock, udając ignorancję.

— Jest to odznaka, zawierająca pasek błony fotograficznej. Używa jej cały personel zatrudniony w zakładach. Gdy film się później wywołuje, to stopień ściemnienia określa wchłoniętą dawkę promieniowania. — Odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się przepraszająco. — Przykro mi, że muszę już iść, ale przyrzekam, że będę do pana dyspozycji jutro.

— Obowiązek wzywa — powiedział z wymuszonym uśmiechem.

Zapisała coś na kartce z notatnika i przesunęła ją po biurku do niego. “Niech mnie pan zaprosi na dziś wieczór!”

Spojrzał na nią ze zdziwieniem i zauważył, że pewność siebie znikła z jej oczu. Wyglądała na wystraszoną.

— Tak myślę, czy ma pani czas dziś wieczorem?

— Tak — odpowiedziała, nadając głosowi ton pewnego

wahania.

— Może pójdziemy razem coś zjeść? — zapytał, składając kartkę papieru i wpuszczając ją do kieszeni marynarki.

— Wspaniale. — Myśli pan o jakimś konkretnym miejscu?

— Decyzję zostawiam pani.

— Grill reński u Hiltona jest najlepszy w mieście.

— Ósma wieczór? — zapytał.

— Z radością czekam na to spotkanie. Proszę teraz wybaczyć, muszę przejrzeć kilka rzeczy, zanim przybędą moi słuchacze. Mój asystent zaraz tu będzie.

Po jej wyjściu osunął się wygodnie w fotelu.

O co tu, do diabła, chodzi?

* * *

Przejazd samochodem z Lozanny do Fryburga zabrał Sabrinie czterdzieści minut. Potrzebowała następnych piętnastu aby dotrzeć do oddalonej boczniczy kolejowej, gdzie jak powiedział Teufel, dyżurny ruchu w Lozannie, powinna znaleźć poszukiwane wagony. Zaparkowała wypożyczonego audi-coupe przed ogrodzeniem z metalowej siatki i sięgnęła do torby, zawierającej licznik Geigera-Mullera, który udało jej się kupić po licznych rozmowach przez telefon ze sprzedawcami w Lozannie. Mroźny wiatr uderzył ją w twarz, gdy otworzyła drzwi samochodu. Zapięła kurtkę pod samą szyję i naciągnęła kaptur na głowę. Brama była zamknięta na kłódkę od wewnątrz. Nasunęła paski torby na ramiona, z łatwością wspięła się na ogrodzenie i, gdy była już w połowie drogi w dół po drugiej stronie, zwinnie zeskoczyła na ziemię. Przykucnęła obok całego szeregu wagonów towarowych i spojrzała dookoła. Po prawej stronie magazyn towarów, po lewej dwie linie torów kolejowych i zardzewiały wagon towarowy, którego koła ledwo było widać z plątaniny wybijającego zielska. Cała okolica była zupełnie pusta. Przeniosła swą berettę z futerału zawieszzonego na ramieniu do kieszeni kurtki i zaczęła się posuwać wzdłuż szeregu wagonów towarowych, szukając numeru, który zapisał Teufel.

Był narysowany białą farbą na wagonie towarowym, czwartym w kolejności. Wyjęła licznik Geigera-Mullera z torby, nie mogła jednak uzyskać żadnego odczytu przez zamknięte drzwi. Przejechała palcami wzdłuż wąskiego rowka między skrzydłami drzwi, sprawdzając czy nie ma tam jakiegoś drutu — na wypadek (mało prawdopodobny) pułapki w wagonie.

Jej obawy były bezpodstawne — otworzyła drzwi. Kątem oka dojrzała, że coś się w mroku poruszyło i sięgała właśnie po berettę, gdy coś silnie uderzyło ją w ramię, wytrącając licznik Geigera-Mullera z ręki, który uderzył w zardzewiały wagon. Okazało się że ma rozbite zewnętrzne szkło i wygięty anodowy czujnik. Ryzy, zdziczały kot patrzył na nią, bijąc gniewnie ogonem na obie strony. Odczekała, aż odszedł pełnym godności krokiem zanim zebrała resztki licznika Geigera-Mullera i wrzuciła je do torby. Uśmiechnęła się ponuro, lecz triumfująco, gdy ponownie spojrzała do wnętrza otwartego wagonu towarowego. Jedyń jego zawartością było sześć metalowych beczek do piwa. Wdrapała się do wagonu, by im się bliżej przyjrzeć, pamiętając o utrzymaniu dystansu, który uważała za bezpieczny.

Na wszystkich sześciu korkach były plomby i nie było na nich żadnego znaku, iż któryś z nich był uszkodzony. Nawet mistrzowski spawacz musiałby pozostawić jakieś ślady swej roboty. Musiała w tym być jakaś pułapka.

Kula uderzyła w najbliższą beczkę. Rzuciła się na podłogę i przetoczyła w bezpieczne miejsce za wpół otwartymi drzwiami, trzymając mocno berettę w odzianej w rękawiczkę dłoni. Chociaż strzelec przyszpilił ją do podłogi, nie stanowił dla niej bezpośredniego zagrożenia. Serce biło jej ze strachu, gdy powoli spoglądała przez ramię.

Kula wyrwała strzępiastą dziurę w boku beczki, nie było jednak śladu śmiertelnego plutonu, który — jak sobie wyobrażała — powinien sączyć się w powietrze. Odetchnęła głęboko z ulgą. Te beczki były więc tylko dla zbiccia ich z właściwego tropu. Mike miał rację. Z kąta, pod jakim kula przebiła beczkę, można się było zorientować, iż wystrzelona została z okolic magazynu.

Nie mogła skorzystać z drzwi wagonu towarowego jako drogi ucieczki, wystawiłaby się bowiem na kule snajpera. Zauważyła, że jedna z drewnianych belek w przeciwległej ścianie była wyłamana, wskutek czego w kącie wagonu powstała dziura wielkości piłki futbolowej. Rozwiązywało to tajemnicę, w jaki sposób kot dostał się do wnętrza. Oparła się o ścianę i szurając siedzeniem dżinsów po podłodze, zaczęła przesuwać się w kierunku dziury, ciągle łypiąc oczami na otwarte drzwi, dla upewnienia się czy ciągle jeszcze jest niewidoczna z magazynu. Wilgotne drzewo było już spróchniałe, co umożliwiło jej wyłamanie dalszych kawałków belki, jakby to były kawałki rozmokłego kartonu. Belka leżąca wyżej była mocniejsza, ale gwoździe puściły gdy kopnęła ją silnie obcasem buta. Kopnęła jeszcze raz, tym razem odbijając ją parę stóp od złączenia z przyległą ścianą. Trzecie kopnięcie rozłupało belkę tak, że mogła ją odłamać. Spojrzała przez dziurę, nie widziała jednak nic oprócz ogrodzenia, odległego o trzydzieści jardów.

Spocona ze strachu wyśliznęła się przez dziurę. Następnie weszła pod wagon towarowy i zaczęła powoli czołgać się na brzuchu między dwoma liniami szyn. Co prawda, nie mogła być przez nikogo widziana, ale i sama nie widziała magazynu, ani, co ważniejsze, miejsca, w którym siedział snajper.

Miała już tylko kilka stóp do zderzaków, gdy szczur przebiegł przed nią i chociaż szybko cofnęła głowę, jego mokry ogon zaszorował ją po policzku gdy zniknął w luce między dwoma odcinkami zardzewiałych szyn. Zagryzła dolną wargę, by stłumić okrzyk i poczuła ciarki przechodzące po skórze. Gdzie podział się ten przeklęty kot, gdy był najbardziej potrzebny? Zawsze dumna była ze swojej śmiałości i odwagi. Jednak jednego rodzaju strachu nigdy nie mogła przezwyciężyć — strachu przed szczurami, który związany był z wypadkiem, jaki miał miejsce gdy była trzyletnim dzieckiem.

Została przez niedopatrzenie zamknięta w nie używanej piwnicy i jedynym dźwiękiem jaki słyszała, kuląc się ze strachu w ciemnym kącie, było nieustanne skrobanie szczurów biegających wokół niej po cementowej podłodze. Gdy w końcu została dwie godziny później uwolniona, okazało się, że szczury wyżarły brzeg jej sukienki.

Skrzywiła się boleśnie, gdy uczuła pieczenie na policzku i oderwała rękę od twarzy. Nie zdając sobie z tego sprawy, pocierała skórę w miejscu, które poprzednio dotknął ogon szczura. Zaczęła ponownie czołgać się do przodu, zerkając oczami na szyny po obu stronach. Szczury rozmnażają się jak króliki. Dotarła do zderzaków i wysunęła się spod wagonu towarowego, pewna, że snajper jej nie widzi. Dotyczyło to jednak obu stron. Magazyn był oddalony co najmniej o dwadzieścia jardów i

nie miała już żadnej osłony.

Odetchnęła kilka razy głęboko, wyskoczyła z ukrycia i zaczęła biec zygzakiem przez otwartą przestrzeń. Pierwsza kula uderzyła w ziemię wyrzuwając garść piachu. Niemal natychmiast następna padła tuż przed nią. Rzuciła się do przodu, lądując ciężko, po przebyciu kilku ostatnich stóp, na skorodowanych, żelaznych drzwiach.

Pomasowała delikatnie obojczyk i usiłowała uspokoić swój rozdygotany oddech. Druga kula padła tak szybko po pierwszej że obie nie mogły być wystrzelone przez tego samego człowieka.

Orientowała się mniej więcej, gdzie był pierwszy snajper, mógł on jednak zmienić miejsce. Drugi snajper mógł być wszędzie. Wiedziała, że próba wejścia do środka przez otwarte drzwi równałaby się samobójstwu. Przesunęła się więc ostrożnie za róg budynku, starając się nisko schylać pod pogruchotanymi drzwiami, by uniknąć wykrycia.

Po drugiej stronie magazynu były dwie pary drzwi. Jedna częściowo otwarta, z framugą wypaczoną przez lata zaniedbań. Tylko jedna droga wiodła do środka. Przycisnęła się do ściany parę cali od drzwi i przy pomocy kawałka zardzewiałej rury, leżącej u jej stóp, otworzyła je. Grad pocisków natychmiast posypał się na ziemię dokładnie przed drzwiami, potwierdzając jej najgorsze obawy. Ubrojeni byli w półautomaty, a nie w zwykłe karabiny. Widoczność we wnętrzu magazynu była bardzo ograniczona, lecz to co zobaczyła, wzbudzało jej nadzieję. Był to pierwszy hit szczęścia tego popołudnia. Spłowiały, żółty samochód wywrotka stał kilka stóp od drzwi, w odległości skoku.

Rzuciła się przez drzwi i wylądowała bezpiecznie pod osłoną wywrotki, zanim pierwszy pocisk zagrzechotał za nią. Ktoś gwałtownie zaklął po niemiecku, po czym nastąpiła cisza. Niemiec znajdował się gdzieś na pomoście w kształcie litery H, po drugiej stronie magazynu. Drugi snajper przykucnął za zardzewiałym warsztatem, blisko głównego wejścia. Dwie czarne Hondy stały tuż przy warsztacie. Początkowo wpadła jej do głowy myśl, by je unieszkodliwić, wątpiła jednak, czy mogłaby oddać celne strzały bez wysuwania głowy. Usłyszała kroki na pomoście i spojrzała badawczo w półmrok, starając się określić dokładnie ruchy Niemca. Było za ciemno, by mogła cokolwiek dojrzeć, lecz z miejsca, w którym się znajdował, dwadzieścia stóp wyżej, wyraźnie było widać jej sylwetkę na tle otwartych drzwi. Zbliżał się, by ją zabić.

Zagryzła wargi niespokojnie, badając wzrokiem ciemność przed sobą i rozpaczliwie starając się dostrzec jakiś ruch. Tego właśnie potrzebowała, by uzyskać szansę przeciwdziałania. Seria strzałów spoza warsztatu nagle podziurawiła jak rzeszoto ścianę za nią, nie czyniąc jej jednak krzywdy. Zobaczyła Niemca w ostatniej chwili. Klęczał, opierając lekko półautomatyczny karabin FN FAL o balustradę. Lufa skierowana była prosto na nią. Nie miała czasu na celowanie, oddała więc jeden za drugim cztery strzały. Jeden z pocisków uderzył go w ramię. Krzyknął, upuszczając karabin, który stuknął głośno o betonową podłogę. Oczekiwała, że zostanie przygwożdżona skoncentrowanym ogniem do ziemi, co da Niemcowi szansę odwrotu. Zamiast tego, drugi strzelec skierował swoją broń w nic nie podejrzewającego rannego Niemca i zastrzelił go.

Następnie zasypał pociskami przód wywrotki, przepychając jeden z motocykli przez drzwi. Kopnął

starter motocykla i odjechał, cały czas strzelając jak oszalały za siebie. Gdy dotarła do drzwi był już poza zasięgiem ognia. Weszła ostrożnie po skorodowanych stopniach na pomost i uklękła obok Niemca, przyciskając berettę do jego karku. Nie było pulsu. Wrzuciła berettę do kieszeni kurtki, przekreśliła trupa na plecy i ściągnęła czarną kominiarkę.

Miał blisko czterdzieści lat, rzadkie, brązowe włosy i nieregularną, ogorzałą twarz. Przeszukała jego kieszenie, lecz nie znalazła nic poza zapasowym magazynkiem do FN FAL. Wytarła magazynek o swą kurtkę, zdjęła mu skórzane rękawiczki i przycisnęła jego palce do obu stron błyszczącej powierzchni magazynka. Jeśli był notowany jako przestępca, UNACO powinno mieć odciski palców. Wpuściła ostrożnie magazynek do kieszeni kurtki i zasunęła zamek. Zeszła po schodkach i podniosła leżący na podłodze FN FAL. Usunęła magazynek i rzuciła go na stertę drewnianych pak porzuconych w rogu magazynu, po czym ukryła karabin pod stosem gruzu w pokieroszowanej wywrotce.

Poczuła, że jest obserwowana, odwróciła się do drzwi, z berettą ściśniętą mocno w wyprostowanej ręce. Natychmiast jednak opuściła pistolet. Dwaj chłopcy nie mieli więcej niż po sześć lat, a oczy ich były pełne strachu, gdy patrzyli na pistolet.

— Kręcicie tu film? — zapytał jeden z nich niewinnie po francusku.

Schowała berettę do kieszeni. Ręce jeszcze jej drżały, gdyż pomyślała, jak blisko była oddania strzału, gdy się odwracała. Podeszła do drzwi i wyprowadziła dzieci z magazynu.

— Tak, kręcimy film — powiedziała po francusku, po czym kucnęła przy nich, kładąc ręce lekko na ich ramionach. — Jak się nazywacie?

— Marcel.

— Jean-Paul. A jak pani na imię?

— Sabrina.

— Pani jest naprawdę gwiazdą filmową — zapytał Marcel.

Potaknęła, a następnie położyła palec na ustach.

— Nie mówcie nikomu, robimy zdjęcia w tajemnicy.

— A gdzie kamery? — zapytał Jean-Paul, rozglądając się dookoła.

— Będą tu później, po południu. Teraz mamy tylko próbę.

— Czy pani będzie w telewizji? — zapytał Marcel.

— W przyszłym roku — odpowiedziała z uśmiechem.

— Widzisz, mówiłem, że to film — powiedział Jean-Paul i dał kuksańca Marcelowi.

— Widziałem tu któregoś dnia jakiegoś pana. On też mówił, że nakręca film. — Jean-Paul dał Marcelowi drugiego kuksańca. — Pani tu nie było, pani była chora.

Sabrina popatrzyła na chłopca. — Co to za pan?

— On powiedział, żebym nikomu nic nie mówił, ale sądzę, że wszystko jest w porządku, jeśli mówię, bo pani też gra w filmie. Nie był taki miły jak pani.

— Mówił kim jest?

Jean-Paul potrząsnął głową. — Mógłbym się założyć, że to ciemny typ.

Sabrina zdecydowała się rozegrać swoją rolę. — Sądzę, że wiem o kim myślisz. Duży mężczyzna z czarnymi włosami?

— Tak, czy to ciemny typ? Sabriny przytaknęła. — Co on robił?

— On i jeszcze jeden ładowali beczki w jeden z wagonów, które tam stoją. Mówił, że to jest odcinek filmu.

— Jak dawno te wagony tam stoją? — zapytała Sabrina, próbując wciągnąć ponownie Marcela w rozmowę. Wzruszył ramionami i spojrzał na Jean-Paula.

— Od czasu gdy się tu bawimy.

— A jak dawno się bawicie?

Wzruszył ramionami ponownie. — Już dawno.

— Czy będzie pani tu jutro? — zapytał Jean-Paul.

— Jeszcze nie wiem — skłamała. — A wy?

— My codziennie się tu bawimy — odpowiedział Jean-Paul, a potem popchnął Marcela i odbiegł w kierunku ogrodzenia. Marcel popatrzył spode łba i pobiegł za nim.

Poczekwała, aż zniknęli z widoku i wróciła do magazynu. Niemiec był za ciężki i nie mogła ściągnąć go na dół po schodkach. Niechętnie zdecydowała się zepchnąć go z pomostu. Podłożyła ręce pod niego i przerzuciła go przez krawędź pomostu. Natychmiast zrobiło jej się niedobrze, gdy ciało uderzyło o betonową podłogę. Szybko się opanowała i zeszła po schodkach, pilnie szukając w magazynie miejsca nadającego się do schowania ciała. Zwróciła uwagę na szereg zardzewiałych, stalowych beczek, lecz szybko zdecydowała się nie brać ich w rachubę. Nawet gdyby była w sianie

wrzucić go do jednej z nich, co było wątpliwe, nie było żadnej gwarancji, że beczka wytrzyma jego ciężar i nie pęknie. Postrzępiony, brązowy brezent, wpakowany w kąć magazynu?

Było to miejsce, które aż prosiło się, żeby tam zajrzeć, a ponadto, niepokoiło ją, co mogło zamieszkiwać pod tym brezentem.

Obraz szczura przebiegł jej przez myśl i instynktownie potarła policzek grzbietem dłoni. Warsztat? Przykucnęła i nagle otworzyła drzwiczki, oczekując, że szafka została zamieniona w legowisko małych szczurów. Było tam pełno pajęczyny, ale nie było ani jednego szczura. Cała przestrzeń była przedzielona na dwie części żelazną półką, którą udało się jej ruszyć z miejsca i wyjąć. Wówczas przeciągnęła ciało do warsztatu i upchnęła w szafce, głową do przodu. Zmieściło się całe, z wyjątkiem lewej ręki.

Niezależnie od wszystkiego co robiła, nie mogła zapobiec wynurzeniu się ręki na podłogę. Z dużym wysiłkiem udało jej się w końcu zamknąć lewą stronę drzwiczek, po czym wepchnęła rękę martwego mężczyzny na jego pierś i na siłę przymknęła drugą stronę drzwiczek, wsuwając resztki pilnika w dwa ucha, przez które kiedyś przesuwano zasuwkę dla zamknięcia drzwi. Rzuciła trochę gruzu przed szafkę, wyjęła FNFAŁ z wywrotki i ukryła w długiej, pustej rurze, mieszczącej się nad pomostem. Następny był motocykl. Był zbyt duży, by można go było ukryć w magazynie, wyprowadziła go więc na zewnątrz i schowała w wagonie towarowym, w którym były metalowe beczki od piwa. Znalezienie go było tylko kwestią czasu, lecz nie mogła zrobić nic więcej w tak krótkim czasie.

Uklękała obok uszkodzonej beczki i zajrzała przez strzępiastą dziurę, zrobioną przez kulę. Beczka była pusta. Sprawdziła wówczas jej ciężar i porównała z ciężarem pozostałych pięciu beczek. One również były puste. Zeskoczyła z wagonu towarowego, zamknęła drzwi, wzięła swą torbę i pobiegła w kierunku ogrodzenia. Przekaze raport Philpotowi natychmiast po powrocie do hotelu.

* * *

Pociąg jadący do Rzymu dotarł do Montreaux z opóźnieniem, ponieważ niewielka lawina zablokowała tory kolejowe pięć mil dalej. Powinien przyjść do Martigny, gdzie zaplanowano postój, dwadzieścia pięć mil na południe od Montreaux, z pięćdziesięciu minutowym opóźnieniem.

Graham już zaplanował, że będzie w Martigny na dziesięć minut przed planowanym przybyciem pociągu. Gdy dotarł na dworzec, dowiedział się, że ma jeszcze godzinę czasu. Postanowił przeczekać ją w kawiarni dworcowej i był przy trzeciej filiżance kawy, gdy przez megafon ogłoszono, że pociąg się zbliża.

Wziął swoje dwie czarne torby i wyszedł na peron, obserwując jak pociąg wtacza się na dworzec.

Zablokowane koła piszczały, ślizgając się po szynach i pociąg stanął w końcu w kłębach syczącej pary. Odnotował w pamięci ilość wagonów osobowych i towarowych: sześć wagonów osobowych i osiem towarowych.

Podszedł do konduktora i uderzył go po ramieniu.

— Jak długo pociąg ma tu stać?

— Dwadzieścia minut — odpowiedział konduktor i odszedł szybko, by pomóc komuś przy bagażu. Oko Grahama pochwyciło jakiś ruch, obejrzał się i zobaczył mężczyznę, stojącego na stopniach tylnego wagonu osobowego. Mężczyzna przekroczył nieco czterdziestkę. Był mocno zbudowany, miał czarne jak smoła włosy, szesane do tyłu i surową, groźną twarz. Wyszedł z wagonu najwyraźniej nie zwracając uwagi na otoczenie, przeszedł wzdłuż wagonów towarowych, zatrzymując się przy ostatnim z nich. Otworzył dużą kłódkę i rozsunął drzwi.

Z wagonu towarowego wyszedł mężczyzna wysoki na sześć stóp, kilka cali wyższy od pierwszego, z twarzą pełną szram i farbowanym blond warkoczem, dyndającym groteskowo z ogolonej całkiem głowy. Czarnowłosy zasunął drzwi, lecz nie zamknął ich na kłódkę.

Graham zaczekał, aż obaj mężczyźni zasiedli w kawiarni, a następnie poszedł peronem do wagonu towarowego. Rozejrzał się, zadowolony, że nikt nie zwraca uwagi na jego podejrzaną zachowanie. Uchylił nieco drzwi i zajrzał do środka. Dokładnie naprzeciwko niego leżał nylonowy, kolorowy śpiwór, najwyraźniej używany w charakterze poduszki. Poczł uderzający smród moczu i zastałego potu z wnętrza wagonu. Graham powstrzymał narastające mdłości i otworzył szerzej drzwi, by zobaczyć co jeszcze znajduje się w wagonie.

Zaplombowana, drewniana skrzynia, dwanaście stóp na sześć, a na jej przedniej stronie napis farbą: "WERNER FRACHT, ERHARDSTRASSE, MUNCHEN".

Położył torbę wewnątrz wagonu towarowego i uruchomił licznik Geigera-Mullera, nie wyjmując go z torby. Licznik zaczął wydawać monotonne trzaski. Wagon towarowy był skażony promieniowaniem.

Usłyszał kroki zbliżające się z tyłu po żwirze.

— Cosa desidera? — mężczyzna o zaczerwienionej twarzy miał pięćdziesiąt kilka lat, gęste, siwe wąsy i parę kwarcowych szkieł, ulokowanych na bulwiastym nosie. Ubrany był w wyblakłą niebieską bluzę i spodnie, rękawy i kłapy były wykończone czerwoną lamówką.

— Co pan mówi? — zapytał Graham, zasuważąc niedbale ściągacz torby.

— Pytałem, czego pan tu szuka. To jest własność prywatna.

— Rzeczywiście? A ja myślałem, że pociągi są do użytku publicznego.

Mężczyzna starał się uporządkować z wysiłkiem swe myśli i tłumaczyć je na angielski.

— To prawda, ale ten wagon jest własnością prywatną.

— Teraz to ma sens — Graham wskazał na skrzynię. — A czyje to jest?

— To ja zadaję pytania! Co pan tu robi?

— Patrzę.

— Patrzy pan? Czy jest pan pasażerem?

Graham przytaknął. — A pan kim jest?

— Konduktorem. Proszę pokazać mi bilet.

— Oczywiście, gdy będę w pociągu.

Graham wziął swe torby i poszedł do kawiarni, gdzie rozmiął kilka franków szwajcarskich, a następnie przeprowadził rozmowę telefoniczną z jednego z automatów, lokując się tak, by mógł obserwować dwóch mężczyzn, których opisywał właśnie Philpotowi. Odłożył słuchawkę po otrzymaniu nowych instrukcji.

Ma pozostać w pociągu za wszelką cenę. Gdy przez megafon oznajmiono o odjeździe pociągu, obaj mężczyźni opuścili kawiarnię. Czarnowłosa mężczyzna zamknął ponownie swego kompana w wagonie towarowym, nakładając kłódkę na jego drzwi, po czym rozejrzał się. Konduktor pośpiesznie podszedł do niego.

— Przepraszam pana, prosił pan by go powiadomić, jeśli ktoś będzie węszył koło wagonu, kiedy pan będzie w kawiarni — powiedział konduktor z podnieceniem po włosku.

— Tak? — zabrzmiało to niedbale.

— Był ktoś, jakiś Amerykanin.

— Pięknie. Co on robił?

Konduktor zdjął swą czapkę z daszkiem i podrapał się w zamyśleniu w sztywne włosy. — Miał coś ukrytego w torbie. Nie mogłem zobaczyć co to było, ale wydawało śmieszne, trzeszczące dźwięki.

— A gdzie on jest teraz?

— W pociągu, proszę pana. Czy chce pan, bym go obserwował?

— Jeśli będę chciał, to powiem.

— Tak jest, proszę pana — odpowiedział konduktor uniżenie.

— Niech pan wskaże tego Amerykanina mojemu przyjacielowi w pociągu. Niech pan mu powie, że opowiedział mi pan już wszystko.

— Tak jest, proszę pana.

Mężczyzna wyjął dwa banknoty i wetknął je w kieszeń bluzy konduktora.

— Dziękuję panu — odrzekł konduktor i odszedł pośpiesznie.

Przynęta w postaci niezamkniętego wagonu towarowego, została połknięta. Plany musiały ulec odpowiedniej zmianie i oznaczało to przede wszystkim zajęcie się pewną niezakończoną sprawą na dworcu w Lozannie.

* * *

Perspektywa kolacji przy świecach z angielską pielęgniarką, która przybyła jako turystka, spowodowała, że Dieter Teufel przez cały dzień co chwila spoglądał na zegarek. Gdy pozostawało mniej niż dwadzieścia minut do końca pracy, zdecydował wreszcie, jak się ubierze na tę niecodzienną okazję. Niebieski lniany garnitur od Rosera Marca i kremowa koszula Christiana Diora. Nie mógłby nigdy pozwolić sobie na kupno tego typu modelowych ubiorów ze swej skromnej płacy. Mając jednak pieniądze, które otrzymał za wprowadzenie w błąd tego Amerykanina i jego pięknej asystentki czy raczej partnerki, przynajmniej raz w życiu mógł być rozrzutny. Musiał tylko ściśle wypełnić instrukcje. Nie miał pojęcia, o co w tej sprawie chodziło, nie mógł jednak skarżyć się, dostał dobrą zapłatę. A według czarnowłosego mężczyzny, otrzyma jeszcze więcej.

Obserwował zbliżający się pociąg pasażerski z Interlaken. Był on pełen najmniej lubianego przezeń typu pasażerów: YUPPIES* (**Pokolenie dawnych hippisów, dobrze urządzone materialnie i dostosowane do sposobu życia amerykańskiej klasy średniej. –przyp.*), wyposażeni w drogi sprzęt narciarski, opowiadający kłamliwe historyjki o swojej brawurze, a właściwie wykrzykujący je do krewnych na peronie. Przeszedł obok grupy oczekujących krewnych (zawsze stanowiło dla niego tajemnicę, dlaczego ludzie uparcie machali na powitanie już wtedy, gdy pociągu jeszcze nie było widać) i spojrzął ostro na kilkunastoletnią dziewczynę, która uderzyła goniehcący, lecz boleśnie łokciem w bok.

Lokomotywa była już tylko o pięć jardów, gdy poczuł mocne pchnięcie czyjąś ręką w krzyż, zachwiał się i upadł na tory, a jego krzyk nagle zamilkł, gdy znikł pod hamującymi z piskiem kołami.

* * *

Karen Schelden weszła do hallu hotelu Hiltona punktualnie o ósmej wieczór. Whitlock, który przez ostatnie dziesięć minut obserwował wyjście siedząc wygodnie w fotelu, wstał i potrząsnął jej wyciągniętą ręką.

— Dziękuję, że pan przyszedł — powiedziała z uśmiechem. — Obawiałam się, że po moim występie dziś rano może pan potraktować mnie jak osobę niespełna rozumu.

— Ależ nie, chociaż przyznaję, że byłem zbity z tropu i zaciekawiony. Muszę powiedzieć, że wygląda pani uroczo dziś wieczór.

Miała na sobie turkusową, jedwabną suknię, a świeżo umyte, czarne włosy spływały na jej wąskie ramiona.

— Dziękuję — powiedziała miękko, bawiąc się nerwowo perłami.

— Cóż, czy najpierw dobrniemy do końca z naszymi sprawami, czy może woli pan już teraz napić się czegoś?

— Przejdźmy do restauracji, tam będziemy mogli swobodniej rozmawiać.

Maitre d'hotel rozpromienił się widząc ją: — Ah guten Abend, Fraulein Schendel.

— Guten Abend, Franz. Mam nadzieję, że pan Whitlock zamówił dla nas stół — powiedziała, taktownie przechodząc na angielski.

— Proszę, niech pani nie zmusza się do angielskiego tylko z mojego powodu. Mówię po niemiecku, tyle tylko, że mojemu niemieckiemu wiele jeszcze brakuje, by był poprawny.

— Mówił pan znakomicie po niemiecku, panie Whitlock, gdy rozmawialiśmy poprzednio — powiedział Franz.

— Chciałbym w to wierzyć. Ćwiczyłem wiele razy jadąc tu samochodem — odpowiedział Whitlock z uśmiechem. Karen zachichotała. — Ukryte talenty.

— Pewne talenty udoskonalają się w ten sposób — odpowiedział Whitlock, gdy szli za Franzem w kierunku dwuosobowego stołu w rogu restauracji.

— Czy często pani tu przychodzi? — zapytał Whitlock, gdy przyjęto ich zamówienie.

— Służbowo, gdy firma płaci. W zasadzie nie lubię jeść kolacji poza domem. Może panu trudno w to uwierzyć, ale najbardziej lubię włożyć się po domu w dzinsach i swetrze i jeść bolońskie spaghetti. Sądzę, że tak naprawdę to jeszcze nie dorosłam.

— Gdzie nauczyła się pani angielskiego?

— W Wielkiej Brytanii. Po ukończeniu uniwersytetu

w Monachium pojechałam tam na trzy lata, jako asystentka w laboratorium, najpierw w Dounreay, potem w Calder Hall. Sprawami kontaktów z prasą zainteresowałam się dopiero po powrocie do Niemiec.

— Jak długo pracuje pani w biurze prasowym?

— Już pięć lat, przez ostatnie dwa lata jako kierownik biura prasowego tu, w Monachium. Także moim zadaniem jest zatrudnianie pracowników — jednak poza personelem technicznym. Strażnicy, sprzątaczkę, kierowcy i tym podobni.

Kelner pokazał butelkę wina. Whitlock skinął głową. Karen patrzyła na kelnera, który otwierał butelkę na kredensie.

— Jak długo pracuje pan w New York Timesie?

— Prawie cztery lata.

— To zna pan prawdopodobnie mojego przyjaciela, Johna Marsha?

Potrząsnął głową. — Nie mogę powiedzieć, że znam, ale proszę pamiętać, że nie jestem etatowym pracownikiem. Nigdy nie byłem członkiem zespołu.

— Oczywiście, w liście polecającym napisano, że pan tylko współpracuje z pismem. Jak mówią dziennikarze, pracuje pan jako "stinger".

— Tak — odpowiedział Whitlock, odwzajemniając jej uśmiech.

Kelner powrócił z otwartą butelką wina i nalał Whitlockowi trochę dla spróbowania. Po uzyskaniu aprobaty, napełnił oba kieliszki i zostawił butelkę w kubelku z lodem.

— Tak naprawdę, to nie jest pan dziennikarzem, prawda? — powiedziała spokojnie.

Whitlock poczuł się przyparty do muru. Żołądek podskoczył mu do gardła, wiedział jednak, że może uniknąć zdemaskowania, tylko wówczas, gdy zachowa spokój. — Jest pani intrygującą osobą. Dziś rano potajemnie przekazuje mi pani notatkę, bym panią zaprosił na kolację. Teraz twierdzi pani, że tak naprawdę wcale nie jestem dziennikarzem, chociaż moje listy uwierzytelniające zostały

dokładnie sprawdzone przez dyrektora pani zakładów, zanim zezwolił mi zbliżyć się do nich. Czuję się jakbym rozpadał się we własnych oczach. Gdy wieczór dobiegnie końca nie będę wiedział kim jestem i co robię. Czy pani nie pracuje czasami dla KGB?

Zignorowała jego umiarkowany sarkazm. — Gdyby pan pracował dla Times'a to powinien pan znać Johna. Píše dla nich codziennie na temat show-businessu. Jest typowym ekstrawertykiem, zna wszystkich i wszyscy znają jego. — Spostrzegła zwątpienie w jego oczach — Gdy dowiedziałam się, że pan przyjeżdża, zrobiłam dyskretny wywiad na pana temat w gazecie. John nigdy o panu nie słyszał.

Przestała mówić, gdy kelner zbliżył się i podał zamówione dania, po czym podjęła rozmowę ponownie po jego odejściu.

— Pan prawdopodobnie sądzi, że ja to wszystko zmyślam. Jeśli pan chce możemy zatelefonować do Johna, będzie pewnie robić ostatnie poprawki do swojej kolumny do jutrzejszego porannego numeru. Może pan z nim sam porozmawiać.

Whitlock wpatrywał się w talerz, apetyt nagle go opuścił.

— Do tego, gdyby pan naprawdę był dziennikarzem, wiedziałby pan, co naprawdę oznacza słowo "Stinger". A pan nie wie. "Stinger" to nie jest po prostu dziennikarz bez etatu, współpracujący z różnymi gazetami — to jest korespondent ulokowany gdzieś poza siedzibą pisma, którego kontakty na miejscu dają mu przewagę w zdobywaniu informacji, nad reporterem wysyłanym bezpośrednio z redakcji pisma.

— A skąd pani wie tyle o dziennikarstwie?

— Chodziłam z Johnem na randki, gdy przebywał w Berlinie. Miał być korespondentem zagranicznym pisma, lecz zamiast gromadzić codziennie korespondencje jak inni dziennikarze, został opętany polowaniem na tak zwanych szpiegów i spędzał większość czasu podróżując między Wschodnimi i Zachodnimi Niemcami w nadziei, że natknie się na jakąś bombową sensację.

— I natknął się?

Położyła dłoń na ustach, starając się nie śmiać z pełnymi ustami.

— Przepraszam — powiedziała po przełknięciu. — Opublikował całą historię, ze zdjęciami, które miały dowieść jej prawdziwości, o tym, jak amerykański generał wręczał podobno dokumenty pięknej agentce KGB na moście Kennedygo w Hamburgu. Agentka KGB okazała się być dziwką z Reeperbahnu a dokumenty setkami marek za wyświadczoną usługę. Johna ściągnięto z powrotem do Nowego Jorku, gdzie dostał do dyspozycji kolumnę, poświęconą show-businessowi, dla uchronienia przed popełnieniem dalszych głupstw.

Whitlock uśmiechnął się grzecznie. Ciągle jeszcze kręciło mu się w głowie na myśl o tym, w jaki

sposób, krok za krokiem, rozszyfrowała historyjkę mającą dać mu osłonę — tak, że w końcu nic nie był w stanie ukryć. Nic takiego nigdy nie zdarzyło się w UNACO. Czuł się upokorzony. Został rozszyfrowany przez ładną buzię, czy raczej przez to, co się za nią znajdowało. Gdy patrzył jak jadła, uświadamiał sobie, co należałoby zrobić, gdyby zamierzała go publicznie zdemaskować. Sięgnął ręką w kierunku zawieszzonego na ramieniu browninga MK 2...

— Najbardziej ciekawi mnie, w jaki sposób udało się panu uzyskać zgodę kogoś takiego, jak wydawca New York Times'a, na poparcie wymyślonej przez pana historyjki?

Mógłby odpowiedzieć jej jednym słowem. Philpot. Miał ukryte podejrzenie, że Philpot zatrudniał pracowników, których jedynym zadaniem było wygrzebywanie różnych niedyskrecji personalnych o osobach, które mogłyby być przydatne dla UNACO. Wykorzystywał później te niedyskrecje dla różnych form szantażu, uzyskując w ten sposób to, czego potrzebował. Była to tylko jego teoria, ale zawsze był zdumiony — podobnie jak i inni agenci — w jaki sposób Philpot mógł stwarzać tak solidną dokumentację dla fałszywych historii, stanowiących osłonę ich działalności i to w tak krótkim czasie. Solidną, to prawda, ale tylko do dzisiaj...

— Czy nie smakuje panu Sauerbraten? — Franz zapytał z niepokojem spoglądając nad ramieniem Whitlocka — prawie jej pan nie tknął.

— Przeciwnie, moje gratulacje dla szefa kuchni. To tylko lekki atak niestrawności — spojrzał na Karen — nadkwasota, jak sądzę.

— Może mógłbym coś na to panu dać?

— Nie, dziękuję, proszę po prostu zabrać talerz.

— A może chciałby pan zjeść coś innego — zapytał Franz, zabierając talerz z ociąganiem.

— Kawę i koniak — szybko powiedziała Karen. — Dwa razy? — zapytał Franz.

Whitlock przytaknął.

Poczekala, aż zostaną sami, położyła łokcie na stole, opierając podbródek na dłoniach.

— Wiem, jak pan musi się czuć, ale ja chciałam się upewnić, czy nie jest pan czasem dziennikarzem polującym na jakiś temat.

— Mam nadzieję, że jest pani zadowolona.

— Jestem zadowolona, że nie jest pan dziennikarzem. Nie wiem, dla kogo pan tak naprawdę pracuje, ale musi to być bardzo wpływowa organizacja, jeśli omotała wydawcę New York Times'a.

Gdy podano kawę i koniak, sięgnęła do torebki, wyjęła złożoną kartkę papieru i wręczyła mu ją.

— Co to jest? — zapytał, biorąc od niej kartkę.

— Proszę spojrzeć.

Rozłożył papier. Był to powiększony rysunek miniaturowego mikrofonu, znakomicie odtworzonego, który w rzeczywistości nie był większy od kostki cukru.

— Podłuch. Co to ma wspólnego ze mną?

— Ten mikrofon był przyczepiony pod moim biurkiem. Znalazłam go przypadkiem, kilka miesięcy temu. Z tego powodu podałam panu właśnie dziś rano kartkę. Musiałam z panem pomówić całkiem swobodnie.

Potała policzek, opuściła ręce a jej oczy napełniły się łzami.

— Jest pan moją ostatnią nadzieją, C. W.

Podał jej chustkę do nosa z górnej kieszeni marynarki i obserwował uważnie, gdy wycierała oczy. Zniknęła gdzieś śmiała, pewna siebie kobieta, a na jej miejscu było niepewne, zatrwożone dziecko. Albo naprawdę była uczciwa, albo diabelnie dobrze grała. Postanowił to wyjaśnić.

— Przepraszam — powiedziała, ściskając w rękach chustkę — jestem taka bezradna.

— Chce pani o tym rozmawiać? Trzymając w dłoniach filiżankę kawy spojrzała mu prosto w oczy.

— Zna pan oczywiście określenie "manko". Pochylił się z uwagą.

— Chodzi o niewyjaśniony niedobór w magazynie?

— Tak, jest to różnica między zapisami w księdze inwentarzowej, a tym, co rzeczywiście znajduje się w magazynie.

— O czym właściwie pani mówi?

— Że zniknął materiał nuklearny, bez żadnego odzwierciedlenia tego w ewidencji magazynowej.

— Czy zgłosiła pani odpowiedni raport na ten temat? Oparła się plecami o krzesło.

— Nie mogę składać raportów na temat podejrzeń, a nic więcej poza podejzreniami nie mam w tej chwili.

— Dlaczego pani mi o tym mówi? Skąd przekonanie, że może mi pani zaufać?

— Potrzebuję czyjejś pomocy, pan jest moją jedyną szansą. Nie mogę mieć zaufania do pracowników zakładu. Nie mogę być pewna, że nie byli zamieszani w zniknięcie materiału

nuklearnego. Poza tym, był już jeden zamach na moje życie.

— Wiedzą, że pani coś podejrzewa?

Kelner wrócił z dzbankiem świeżej kawy z ekspresu i uzupełnił filiżanki. Karen dodała trochę cukru do kawy i zamieszała ją łyżeczką.

— Przechowywałam w biurku dziennik, zawierający wszystkie moje myśli i podejrzenia. Pewnej nocy dziennik ten ukradziono. Dwa dni później ktoś manipulował przy hamulcach mojego samochodu.

— Czy składała pani raport na ten temat?

— Oczywiście, lecz dyrektor zakładów był przekonany, że z tym mieli coś wspólnego Przyjaciele Ziemi. Nigdy nie wierzyłam w tę teorię. Mogą oni mieć poglądy bardzo odległe od naszych, nie są jednak sabotażystami. Nie. To była robota kogoś z wewnątrz.

Łyknęła trochę kawy.

— Dostali się także do mnie do mieszkania, kiedy byłam w pracy. Niczego nie wzięli, przestawili tylko kanapę. W ten sposób chcieli dać mi znać, że mogą dosięgnąć mnie, kiedy tylko zechcą. Boję się C. W., naprawdę się boję.

W myślach miał zamęt, spowodowany jej dziwnym zachowaniem. Czuł się jak bokser bliski porażki, bezlitośnie rzuwany na liny, który nagle widzi, że z narożnika przeciwnika rzucono ręcznik. Nigdy nie zdarza się to w boksie. Znowu pomyślał o swoich wątpliwościach co do niej. Czy ona gra? Czy jest tak naprawdę członkiem zespołu odpowiedzialnego za kradzież plutonu? Czy jest przynętą, która ma zwabić go do pułapki? Czy też przeciwnie, jest uczciwa w tym co mówi? Czy rzeczywiście zwraca się do niego jak do ostatniej deski ratunku? Czy naprawdę boi się o swoje życie? Były to pytania, nad którymi łamał sobie głowę i które wprowadzały niepokój. Jednocześnie zdawał sobie sprawę z tego, że właśnie ona może mu pomóc w ujawnieniu kradzieży w zakładach. Musi się jej trzymać, niezależnie od tego, po czyjej stronie naprawdę była.

— Pan mi nie wierzy, prawda?

— To pani słowa — odpowiedział bez przekonania.

— A pan unika odpowiedzi na moje pytanie. Wytarł usta serwetką.

— Nie mogę powiedzieć, że pani nie wierzę.

— Klasyczna odpowiedź. Przyjeżdża pan do zakładów odzyskiwania materiałów nuklearnych udając dziennikarza, chociaż w rzeczywistości wykonuje pan jakieś tajne zadania dla potężnej organizacji, być może dla jakiegoś rządu. Nie wierzę, że naraża się pan na te wszystkie kłopoty po to, by sprawdzić czy mur zachowuje pion. Oboje wiemy, po co pan tu jest. Sądziłam, że pomogę panu,

mówiąc to, co powiedziałam. Chcę panu pomóc C. W., czy pan tego nie widzi? —

pochyliła się naprzód i schwyciła go za przeguby rąk. — Gdyby pluton dostał się w niewłaściwe ręce, to skutki tego byłyby katastrofalne. Dałoby to również przeciwnikom energii nuklearnej dodatkowe argumenty przeciwko nam. Uśmiechnęła się przeprasząco i puściła jego ręce.

— Wierzę żarliwie w przyszłość tego przemysłu. Jakie jednak będziemy mieli szansę, kiedy kilku żądnych bogactw osobników będzie wykorzystywał ten przemysł dla realizacji swoich szaleńczych celów?

— Czy może pani dać mi listę pracowników, którzy pani zdaniem brali udział w kradzieży?

— To będzie pierwsza rzecz, jaką przygotuję dla pana rano.

— Zamierzam pisać reportaż, dla którego tu przyjechałem.

— Oczywiście, musi pan zachować maskę, pod którą się pan ukrywa.

— Jak już pani powiedziałem wcześniej, jestem nieetatowym dziennikarzem. Artykuł powinien ukazać się w Times'ie kilka dni po moim powrocie do Nowego Jorku. Być może pani przyjaciel będzie mógł przysłać pani odpowiedni numer gazety.

Poprosił o rachunek. Gdy Franz podszedł, Karen zręcznie zabrała rachunek z talerza i podniosła rękę, by uciszyć protesty Whitlocka.

— Przynajmniej to mogę zrobić. Poza tym to firma płaci.

Po wyjściu do sali recepcyjnej hotelu, wzięła go pod rękę i podeszli do windy, by zjechać do podziemnego parkingu. Drzwi rozsunęły się i natychmiast odczuli zmianę temperatury. Owinęła szalem ramiona, gdy zimne, nocne powietrze zawirowało wokół nich.

— Gdzie pani zaparkowała?

— W rogu, tylko tam mogłam znaleźć miejsce — odpowiedziała — dziś wieczór jest duży ruch, być może jakaś konferencja.

Nie zauważyli czarnego mercedesa, który niepostrzeżenie wyjechał z parkingu za nimi. Stopa kierowcy wzmacniała nacisk na pedał gazu, samochód posuwał się do przodu, stopniowo wzmagając szybkość. Gdy był już tylko dwadzieścia jardów od nich, kierowca docisnął pedał gazu do dechy. Whitlock odepchnął Karen z drogi samochodu, a sam rzucił się na maskę BMW. Mercedes przemknął obok, omijając go o cale. Kierowca obrócił kierownicę, jak tylko samochód dotarł do końca stojących na parkingu samochodów. Samochód zarzuciło, lewy koniec tylnego zderzaka wygiął się w błysku iskier, odbijając się od ściany. Kierowca zmienił bieg i odjechał w górę zjazdu na parking, rozbijając barierę we wjeździe, po czym zniknął w ulicach miasta.

Whitlock pospieszył do Karen, skulonej pod słupem, z głową ukrytą w ramionach. Kucnął przy niej i położył rękę lekko na jej ramieniu. Objęła rękami jego szyję i przycisnęła twarz do jego piersi. Wyczuł, że ktoś znajduje się za nimi i sięgnął po swojego browninga. Gdy spostrzegł mundur, opuścił rękę.

— Czy nic się państwu nie stało? — zapytał z niepokojem pracownik obsługujący ruchomą barierę.

— Dziękujemy, wszystko jest w porządku. Odszedł, by poinformować swych przełożonych, którzy ze swej strony wezwą policję.

— Czuje się pani dobrze? — zapytał Whitlock, pomagając jej się podnieść.

— Wszystko w porządku — odpowiedziała załamującym się głosem — a co z panem?

— Przeżyję — odpowiedział z kwaśnym uśmiechem — czy widziała pani już kiedyś ten samochód?

— Nigdy. Czy zdążył pan spojrzeć na kierowcę?

— Nie. Wszystko to działo się zbyt szybko — skłamał.

Nie widział zbyt dużo. Kaukaska twarz, częściowo zakryta kapeluszem. Nie było to wiele, ale postanowił zatrzymać tę informację dla siebie.

— A numer samochodu?

— Zakryty maskującą taśmą — odpowiedział.

— Nie ma żadnego powodu żebyśmy nadal tu tkwili. Wcale nie potrzebujemy tego, by w sprawę została jeszcze wmieszana policja. Zrobię panu trochę kawy u siebie w domu — powiedziała, wyjmując z torebki kluczyki do samochodu.

— Dziękuję, ale wolę wrócić do hotelu i namoczyć ramię w gorącej kąpieli. Trochę już sztywnieje. Poza tym ma pani przygotować ten spis podejrzanych. Samochód nie wróci tu już dzisiaj w nocy.

Pocałowała go lekko w policzek — jestem panu to dłużna.

— Nic nie jest mi pani dłużna. A teraz chodźmy. Przyjdę do pani rano.

Idąc do swego wozu, układał już raport dla Philpota. Sprawą najważniejszą będzie staranne sprawdzenie Karen Schendel.

Gdy wyjechał z bocznego parkingu, kierowca czarnego mercedesa, zaparkowanego w cieniu po drugiej stronie drogi, wysunął się na ulicę i pojechał za golfem w bezpiecznej odległości.

Rozdział szósty

Largo Antiks był to mały, nie rzucający się w oczy sklep z antykami na rogu Beethovena i Dreikonigstrasse w Zurichu. Prowadziło go dwóch łysiejących mężczyzn w okularach — obaj w wieku blisko czterdziestu lat i żaden z nich nie nazywał się Largo. Ich rozległa wiedza o antykach spowodowała, że sklep stał się jednym z najbardziej znanych i dochodowych antykwariatów w całym kantonie.

Obaj pracowali dla UNACO.

Sklep skrywał główną kwaterę UNACO w Europie. Został zakupiony dzięki subwencji udzielonej przez Narody Zjednoczone w 1980 roku. Warunkiem udzielenia subwencji było dyskretne przekazywanie wszystkich zysków na rachunek w pewnym banku szwajcarskim, wykorzystywany wyłącznie przez UNICEF.

Gdy Philpot, a za nim Sabrina i Kolczyński weszli do sklepu, nad drzwiami rozległ się dźwięk dzwonka. Stojący za ladą ekspedient powitał ich uprzejmym skinieniem głowy, a jego oczy skierowały się ku części sklepu niewidocznej z wejścia. Philpot zrozumiał ten gest i oglądał antyki, dopóki samotny klient nie opuścił sklepu. Wówczas ekspedient przeprowadził ich przez wejście znajdujące się za ladą, wyjął z kieszeni przekaźnik dźwiękowy i skierował go na pustą szafę biblioteczną pod przeciwległą ścianą. Uruchomił przekaźnik — szafa obróciła się do przodu, odsłaniając znajdujący się za nią betonowy korytarz. Na Sabrinie zawsze robiły wrażenie obrotowe szafy biblioteczne — przypominało to film Borysa Karloffa i było znacznie bardziej interesujące niż banalna boazeria w gabinecie Philpota, w głównej kwaterze budynku ONZ. Dalej poszli sami wzdłuż korytarza — ekspedient wrócił do sklepu, przedtem starannie maskując przejścia. W korytarzu znajdowało się pół tuzina nie oznakowanych drzwi, a za każdymi z nich był dźwiękoszczelny pokój.

W tych pokojach wysoko kwalifikowani pracownicy UNACO obsługiwali najnowocześniejsze i najbardziej skomplikowane systemy komputerowe — wszystko w walce o zahamowanie alarmującego wzrostu przestępczości. Philpot zaprowadził ich do jasnoniebieskich drzwi na końcu korytarza. Nacisnął przycisk. Umieszczony nad drzwiami obiektyw sprawdził po kolei ich twarze zanim drzwi się otworzyły. Za nimi znajdował się przytulny gabinet Jacquesa Rusta, kierownika operacji UNACO na Europę. Rust przy pomocy zdalnej regulacji zamknął drzwi, uruchomił swój zmechanizowany fotel na kółkach i podjechał do nich.

Był to czterdziestodwuletni Francuz, o wyrazistej, przystojnej twarzy i błyszczących, niebieskich

oczach. Spędził czternaście lat we francuskiej Service de Documentation Exterieur et de Contre — Espionage, po czym został zwerbowany przez Philpota jako jeden z pierwszych agentów terenowych w 1980 roku, jak tylko powstała UNACO. Pracował w parze z Whitlockiem. Gdy Philpot uzyskał oficjalną zgodę na zwiększenie ilości agentów terenowych z dwudziestu na trzydzieści osób, dołączył do nich Sabrinę, tworząc pierwotny skład "Siły Uderzeniowej nr 3". W niecały rok później, Rust i Sabrina pełniąc rutynową służbę wywiadowczą w dokach Marsylii, dostali się pod zmasowany ogień bandy przemytników narkotyków. Rust został trafiony w kręgosłup, czego rezultatem był paraliż od pasa w dół. Początkowo zaoferowano mu wysokie stanowisko w centrum dowodzenia w ONZ, gdy jednak kierownik operacji na Europę zginął w wypadku samochodowym (który, wbrew pierwotnym przypuszczeniom, okazał się rzeczywiście wypadkiem, a nie aktem sabotażu), Philpot, ku zdumieniu wielu ludzi ze swojego zespołu, mianował Rusta, a nie Kolczyńskiego, na miejsce zmarłego kierownika. Był to przebiegły i mądry wybór, a związki między Zurichem a Nowym Jorkiem stały się tak mocne, jak nigdy przedtem.

— Panie pułkowniku, oczekiwałem pana dopiero jutro — powiedział Rust, podając ręce obu mężczyznom. — Trzeba mnie było powiadomić, że przyjecie wcześniej, wysłałbym po was samochód na lotnisko.

Philpot usiadł w fotelu, opierając laseczkę o ścianę. Po ukończeniu szkoły wojskowej w Sandhurst z odznaczeniem, którego mu wszyscy zazdrościli, wziął udział w walkach w Korei. Tam usiłując uratować ранego kolegę, sam odniósł poważne obrażenia. W rezultacie utykał na lewą nogę.

— Wybraliśmy poranny rejs Swiss Air. Sabrina wyjechała po nas na lotnisko.

Sabrina ucałowała Rusta w oba policzki i łagodnie pogłaskała po włosach.

— Ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie strzygi włosów tak krótko. Podkreśla to twoje coraz wyższe czoło.

— Jak zawsze, pełna komplementów — odpowiedział Rust oziębło.

— Mam tu coś dla ciebie — rzekła, wręczając mu zaplombowany w plastikowej torebce magazynek do FNFAŁ

— są na nim odciski palców. Twoi chłopcy nie powinni mieć trudności z wykryciem nazwiska tego, kto te ślady pozostawił.

Rust zatelefonował, by ktoś przyszedł po magazynek. Odłożył słuchawkę i spojrzał na nich:

— Czy ktoś chce kawy, zanim rozpoczniemy pracę? Cała trójka odmówiła.

— Coś już się wydarzyło od czasu, gdy otrzymałem wczoraj wasz teleks. Lawina śnieżna zablokowała tory kolejowe pod Sion i według pierwszych meldunków, nie oczyszczą ich przed świtem. Oznacza to, że" pociąg zostanie tam przez noc.

— Dlaczego mam wrażenie, że jest to coś więcej niż zbieg okoliczności? — zapytał Philpot, wystukując tytoń z fajki na stojącą przy nim popielniczkę.

Rust uśmiechnął się.

— O tej porze roku śnieg na Wildhorn jest bardzo sypki i niewiele trzeba, żeby sprowokować lawinę. Sądziłem, że trzeba nam będzie trochę dodatkowego czasu, aby dojść do jakichś wniosków. Chociaż, sądząc po teleksie, wysłedziliście już ten pluton.

— Być może — powiedział Kolczyński, wtrącając się po raz pierwszy do rozmowy. — Licznik Geigera-Mullera ujawnił pewien stopień napromieniowania, ale przecież i tak wiedzieliśmy, że beczki były załadowane na ten właśnie wagon towarowy. Obecnie jest w tym wagonie zaplombowany ładunek należący do Wenera. Nie wiemy jednak, czy w tym ładunku są beczki. Jeśli zaczniemy działać za wcześnie i wskażemy palcem na Stefana Wenera bez wystarczających dowodów, a później okaże się, że nie mieliśmy racji, to facet ma dość wpływów, aby skompromitować UNACO na pierwszych stronach wszystkich gazet w Europie.

Na biurku zapaliło się światło i po sprawdzeniu obrazu na monitorze Rust uruchomił drzwi. Wręczył plastikową torebkę biało ubranemu technikowi i polecił natychmiast zameldować gdy odciski palców zostaną zidentyfikowane.

— Nie sądzę, by on to zrobił — powiedziała Sabrina, gdy technik wyszedł.

— Co? — zapytał Philpot trzymając zapalniczkę nad cybuchem fajki.

— Stefan. On nie jest mściwy. Jestem pewna, że gdyby wiedział iż chodzi o sprawy bezpieczeństwa międzynarodowego, nie sprzeciwiłaby się otwarciu tego ładunku.

— Stefan? — zapytał Rust, wznosząc brwi. — Nie wiedziałem, że jesteśmy z nim na ty.

— Zaprosił mnie kilka razy, gdy studiowałam na Sorbonie.

— Nigdy nie wspominałaś, że go znasz — powiedział Philpot ostro.

— Byłam z nim na kilku przyjęciach, to wszystko.

— Jak dobrze go znasz?

— Nigdy z nim nie spałam, jeśli o to panu chodzi — odpaliła gniewnie — byliśmy przyjaciółmi, to wszystko. Nie widziałam go od wyjazdu ze Szwajcarii pięć lat temu.

— Co to za człowiek? — zapytał Kolczyński.

— Ambitny — odpowiedziała — bardzo ambitny. Całe jego życie to praca.

Zadzwoił telefon i Rust chwycił słuchawkę. Podniósł kciuk do góry, odłożył słuchawkę i manewrując swym fotelem na kółkach przedostał się za biurko. Wpuścił swój kod bezpieczeństwa do komputera IBM połączonego z centralnym bankiem danych, ulokowanym gdzieś w tym samym budynku.

— Sprawa posuwa się naprzód — powiedział, gdy odpowiedni zapis pojawił się na monitorze — to są ślady palców niejakiego Kurta Rauffa.

— Co wiemy o nim? — zapytał Philpot.

— Wy Brytyjczycy macie specjalne określenie na takich ludzi. Międzynarodowy “złodziej mleka”.

— A więc jednym słowem drobny łajdak — powiedział Philpot z odcieniem irytacji w głosie.

— W co był zamieszany?

— W różne drobiazgi. Zaliczył pewną ilość wyroków, niewysokich zresztą. Kradzieże kieszonkowe, oszustwa czekowe, defraudacje.

— Chyba to nie ten uzbrojony po zęby snajper — powiedziała Sabrina.

— Nie tak szybko, cherie — odpowiedział Rust, podnosząc palec. — Wygląda na to, że w ciągu ostatnich czterech lat awansował do pierwszej ligi. Był zamieszany w przemyt broni dla takich jak Dauphin, Giselle i Umbretti.

— Działanie dla każdego z nich, wymaga brawury — powiedział Philpot, przygryzając cybuch w zamyśleniu.

— Udało się coś znaleźć w sprawie dwóch mężczyzn, których Mike widział w pociągu?

— Natknęliśmy się na kilka nazwisk. Większość z nich jest na liście, którą wasi chłopcy sporządzili w ONZ. Wyznaczyłem kilku ludzi, którzy przeprowadzają śledztwo.

— Czy mogę spojrzeć na ten teleks? — zapytała Sabrina. Rust wskazał na teleks, leżący na biurku. Przeczytała go, po czym spojrzała na Philpota.

— Nie powiedział pan, że czarnowłosa mężczyzna ma każde oko innego koloru.

— Co? — odpowiedział Philpot w zdumieniu.

— C. W. nic panu nie mówił?

— Nie rozmawiałem z nim. Telefonował w nocy i rozmawiał z oficerem dyżurnym. Od tego oficera uzyskałem opis mężczyzny.

— Jacques, mógłbyś... przerwała, widząc rosnącą zawziętość na twarzy Rusta.

— Jedno brązowe, drugie zielone, n'est-ce pas? Skinęła głową powoli. Rust spojrział na monitor.

— On się nazywa Joachim Hendrique.

— Bałaszyka — wyszeptał Kolczyński ze spopieloną twarzą.

— Bałaszyka? Szkoła KGB przygotowująca terrorystów dla trzeciego świata? — zapytał Philpot, patrząc na Kolczyńskiego.

Kolczyński przytaknął. — Prowadzona przez Departament V. Wydział, którego boją się nawet w samym KGB.

— Tu nie ma żadnej wzmianki o Bałaszyce — powiedział Rust po dokładnym przyjrzeniu się monitorowi.

— Nic dziwnego. Informacje o absolwentach Bałaszyki mają tylko najwyżsi rangą członkowie Departamentu V. Całe to miejsce jest okryte głęboką tajemnicą.

— To skąd pan o tym wie? — zapytał Philpot.

— Hendrique ma opinię najlepszego ucznia ze wszystkich, którzy kiedykolwiek ukończyli Bałaszykę. Tego rodzaju informacje mają tendencje do przeciekania do innych członków hierarchii KGB. Przypadkiem — celowo, jeśli mnie pan rozumie.

— Czy jego nazwisko było w spisie podejrzanych? — zapytał Philpot.

Rust potrząsnął głową. — Jedyne jego fotografie, jakie mamy, to zamazane, migawkowe zdjęcia zrobione przez agenta w Nikaragui. Rysy twarzy były tak niewyraźne, że nie można było włączyć tych fotografii w program komputera. Program identyfikacyjny może wybrać twarze znajdujące się już w banku pamięci.

— Jednak wiedziałeś kim on jest, w momencie, kiedy powiedziałam o jego oczach — powiedziała Sabrina, coraz bardziej zaciekawiona.

— Usiłował kiedyś mnie zabić. Miało to miejsce jeszcze wtedy, gdy pracowałem w SDECE. Otrzymaliśmy poufną informację o transporcie kokainy, która miała być przywieziona do Nicei na południowo-amerykańskim statku. Dzięki temu byliśmy w stanie zatrzymać całą bandę podczas rozładunku i to bez większego oporu. Kilku członkom gangu udało się przedrzeć przez kordon. W pościgu za jednym z nich wpadłem do magazynu. On tymczasem zdołał zawrócić i zaatakować mnie od tyłu. Wytrącił mi pistolet z dłoni i pchnął na ścianę, wbijając lufę pistoletu w żołądek. Miał zaciągniętą na twarz kominiarkę, widziałem więc tylko jego oczy. Jedno brązowe, drugie zielone.

Nacisnął spust ale magazynek był pusty. Niemal każdego przestępcę w tej sytuacji ogarnęłaby panika. A on się po prostu roześmiał. Uderzył mnie rękojeścią pistoletu, i następne, co pamiętam, to było odzyskanie przytomności wśród kolegów, pochylonych nade mną z z troskaniem. Jemu udało się uciec. Nigdy, do końca życia nie zapomnę tych oczu.

— Jeżeli nie widziałeś jego twarzy...

— To jednak bardzo rzadki przypadek, by oczy były dwóch różnych kolorów, a ponadto on ma charakterystyczną budowę ciała — powiedział Rust, przerywając Kolczyńskiemu w połowie zdania. — To jest ten sam człowiek, Siergieju, gotów jestem zaryzykować swoją karierą, że się nie mylę.

— Co tu mamy o nim? — zapytał Philpot, wskazując na monitor.

Rust przeczytał teleks, tłumacząc ważniejsze szczegóły z francuskiego na angielski.

— Urodził się w Czadzie w 1947 roku. Wychowywali go misjonarze. W wieku piętnastu lat uciekł na morze i zdobył sławę dobrego lecz sadystycznego boksera. Następnie pokazał się w Amsterdamie w 1967 roku, jako członek najbardziej buntowniczej części wspólnoty hippisów i odgrywał znaczną rolę w prowokowaniu starć między nimi a policją. Nigdy go nie złapano. Ukrył się, i nic nie było o nim słyhać do 1975 roku, kiedy do CIA dotarła informacja, że szkoli żołnierzy marksistowskiej MPLA w Angoli. Z Angoli pojechał do Nikaragui, gdzie walczył po stronie sandinistów, aż do upadku Somozy w 1980. Od tego czasu był zamieszany w różne nielegalne operacje przemytu broni w Europie. Wiadomo także, że handluje narkotykami w Amsterdamie i wokół Amsterdamu. Plotki głoszą, że mieszka na łodzi, gdzieś na terenie Jordanu. Ulubioną jego bronią jest Orzeł Pustyni 35t, zawsze ma go przy sobie oraz strzelba franki spas. Jest jeszcze jedna sprawa nie odnotowana w jego dossier. Nigdy nie wykonuje zadań osobiście. On tylko zatrudnia wykonawców i dba, by cała operacja przebiegała zgodnie z planem.

— Trzeba mu oddać sprawiedliwość za wybór broni, szczególnie Orła Pustyni — powiedziała Sabrina.

— Czy znasz nazwisko jego kompana? — zapytał Kolczyński.

Rust otworzył akta, leżące na biurku i przebiegł palcem po spisie podejrzanych. Jedno nazwisko przyciągnęło jego wzrok i podał je do komputera: "Akkid Milchan. Trzydzieści siedem lat. Sześć stóp, pięć cali wzrostu. Egipcjanin. Niemowa. Ma szramy na twarzy po wybuchu na pokładzie liberyjskiego tankowca w 1979 roku. Mieszka również w Amsterdamie i od 1982 roku, od czasu do czasu, pracuje dla Hendrique'a. "

— Przynajmniej wiemy już coś o przeciwniku. Jacques, powiedziałaś, że ten Rauff był zamieszany w różne sprawy z takimi ludźmi jak Dauphin, Giselle i Umbretti. Sprawdź, czy któryś z nich miał kontakty z Hendrique'm w ciągu ostatnich miesięcy. Chciałbym także, żebyście sprawdzili Wenera, ale, na litość boską, zróbcie to dyskretnie.

Philpot podszedł do mapy Europy, rozwieszanej na ścianie, podczas gdy Rust podniósł słuchawkę telefonu, by wydać rozkazy.

— Sabrino?

Poderwała się zwinnie na nogi i podeszła do niego z rękami wetkniętymi w kieszenie workowatych spodni.

— Pociąg utkwił w Sion — powiedział, stukając końcem fajki w nazwę miasta na mapie.

— I będzie tam stał do rana — dodała.

— Właśnie — powiedział, spoglądając na nią tak, jak wielki aktor dramatyczny patrzy na figlarną subretkę, która właśnie wygłosiła słowa swej roli.

— Wiem, że to był ciężki dzień, chcę jednak by pani pojechała jeszcze dziś wieczór samochodem do Sion. W pociągu ma pani zarezerwowane miejsce sypialne, będzie pani mogła przespać się trochę, gdy tam dotrze. Ostatnie wydarzenia dowodzą, że Mike potrzebuje wsparcia.

— Pan sądzi, że Stefan jest w to zamieszany, czy tak?

— Niekoniecznie, ale jestem przekonany, że ładunek zawiera beczki.

— Skąd ta pewność, panie pułkowniku?

— Instynkt. — Uśmiechnęła się. — Mówi pan dokładnie to, co Mike.

Rust wyjechał swym fotelem na kółkach zza biurka i zatrzymał się na środku pokoju.

— Nie jesteście głodni? Znam małą restaurację tuż za rogiem, w której podają wspaniałe chaucroute garnie.

— Jestem głodny jak wilk — powiedział Philpot, po czym zwrócił się do Sabriny:

— Niech pani zje coś z nami przed odjazdem.

— Dziękuję panie pułkowniku, ale przegryzę coś w drodze do Sion.

— Friture de perchettes na maśle? Twoja ulubiona potrawa, chérie — powiedział Rust, całując końce palców.

— Innym razem, Jacques. Chcę dotrzeć do Sion możliwie jak najwcześniej.

Rust założył marynarkę i powiódł ich korytarzem, a następnie przez boczne wejście, na ulicę. Sklep z antykami był już zamknięty. Sabrina zaciągnęła suwak kurtki, gdy wyszli na chłodne,

wieczorne powietrze i pogrzebała w kieszeniach w poszukiwaniu kluczy do audi-coupe.

— Chodź, odprowadzę cię do samochodu.

Philpot uśmiechnął się do niej uspokajająco, po czym zniknął z Kolczyńskim za rogiem, w poszukiwaniu restauracji.

— Czy chcesz, żeby cię popchnąć?

— To przypomni nam dawne czasy, gdy osłaniałaś mnie z tyłu — odpowiedział Rust z grymasem.

— I patrz, co z tego wynikło — powiedziała gorzko. Obejrzał się na nią:

— Dlaczego nie możesz pogodzić się z tym, że to nie była twoja wina? Gdybyś wystawiła głowę, by mnie wesprzeć ogniem, nie pchałabyś dzisiaj tego fotela na kółkach. Wiesz doskonale, że nigdy nie winiłem cię za to, co się stało tamtej nocy. Było to po prostu ryzyko, które musimy podejmować. Poza tym, dlaczego ilekroć się spotykamy, musi się pojawić właśnie ta dyskusja między nami?

Nie odezwała się.

— Jak się czuje Mike? — zapytał, przerywając milczenie.

— Bardzo dobrze — odparła z roztargnieniem.

— Przekaż mu moje pozdrowienia — powiedział, gdy doszli do audi-coupe.

— Przekażę — otworzyła drzwi samochodu, uściśnęła go i szybko weszła do środka.

Odczekał, aż audi-coupe wmieszał się w wieczorny ruch uliczny, po czym pojechał do restauracji. Philpot i Kolczyński siedzieli tuż przy okratowanym wejściu do małego koktajl-baru.

— Nie powinniście tu siedzieć z mojego powodu — powiedział, dając znak ręką barmanowi. Znaczyło to, że prosił o podanie tego, co zwykle.

— Oszczęda ci to przedzierania się przez te wszystkie stoły i krzesła — odpowiedział Kolczyński.

— To jest moja własna Monza — powiedział Rust, wyciągając ramiona.

— Ile czasu trzeba aby przyszły te informacje o Wernerze i pozostałych? — zapytał Philpot.

— Otrzymam je, jak tylko do nas dotrą. Podejrzewasz Wenera?

— Rzeczywiście sędzę, że jego firma jest jakoś w to wszystko zamieszana. Jeśli okaże się, że również on osobiście jest w to zamieszany, to mam przecucie, że będzie diabelnie trudno mu to

udowodnić.

— Herr Stefan Werner.

Gdy ogłoszono tę zapowiedź, wszystkie głowy odwróciły się automatycznie. Werner był już bliski pięćdziesiątki, niski, krępy, z rzadkimi, kasztanowatymi włosami i starannie przyciętymi, rzyżymi wąsikami, kończącymi się spiczasto nad kącikami ust. Miał w sobie jakiś czar, który czynił go jednym z najbardziej pożądanym kandydatów na męża w Europie. Wszedł do wspaniałej sali balowej i objął wzrokiem całe otoczenie, oszacowując w myśli bogactwo gospodarzy. Zignorował cętkowaną, marmurową posadzkę, neodoryckie kolumny i gęsto rzeźbiony, dębowy sufit. Interesowała go tylko kolekcja obrazów, wiszących na ścianach, pokrytych dębową boazerią. Domy można spłacać stopniowo, obrazy kupuje się, płacąc natychmiast. Uważał to za dobry sposób wyłaniania pretendentów do śmietanki europejskiej elity bogactwa.

Gospodyni odeszła od grupy przyjaciół i pospieszyła w jego kierunku z wyciągniętymi ramionami. Objęli się na chwilę. Była wnuczką zapomnianego pruskiego arystokraty. Wraz z mężem posiadali kiedyś piękny, szesnastowieczny zamek na wzgórzu obok Assmannshausen w dolinie Renu. Sprzedali go jednak, by nabyć obecną swą rezydencję na przedmieściach Berlina. Utrzymywali, że jest to stopień wyżej w hierarchii towarzyskiej. W głębi duszy nie zgadzał się z nimi.

— Tak się cieszę, że udało ci się przyjść dziś wieczorem, Stefanie. Wiesz, jak jesteś dobrze widziany przez niezamężne panie.

— Pochlebiasz mi, Mariso — odpowiedział Werner ze sztucznym uśmiechem — wiesz dobrze, jak wysoko cenię twoje przyjęcia. Żałuję tylko, że miałem już wcześniej umówione spotkanie, inaczej mógłbym przyjść tu znacznie wcześniej.

Od wielu lat doskonalił się w sztuce taktownego kłamania.

— Najważniejsze, że przyszedłeś. Sądzę, że byłeś w teatrze.

— Właściwie w filharmonii. Berlińscy filharmonicy i Chór Chłopięcy z Schonberg wykonywali "Mesjasza" Haendla. Przegapiłem ich gdy byli tu poprzednim razem.

— Wygląda na to, że ci się podobało — powiedziała, przeprowadzając go przez salę.

— To mało powiedzieć "podobało się". Raczej — wprawiło w zachwyt — odpowiedział i sięgnął po kieliszek szampana z niesionej przez kelnera tacy..

Pochwycił koniec szeptanej za nim rozmowy na temat jego bogactwa i był zdumiony słysząc, że jest oceniany na sto pięćdziesiąt milionów funtów. Gdyby przemnożyli tę sumę przez trzy, byłiby bliżej prawdy.

Był właścicielem Linii Wenera, światowej potęgi okrętowej dysponującej 140 statkami, a

ponadto w okresie ostatnich czterech lat zaangażował się w przemysł stoczniowy. Udało mu się uzyskać spore udziały w tym przemyśle dzięki wykupieniu małych, walczących o byt firm i połączeniu ich pod kierownictwem doświadczonego zarządu, odpowiedzialnego tylko przed nim. Dzięki ścisłej współpracy firmy stoczniowej z liniami okrętowymi, udawało mu się skutecznie zwalczać konkurentów. Oferował bowiem ich klientom takie warunki, którym żadna inna firma nie mogła sprostać. Rozmiary jego sukcesów można było ocenić po ilości ciężko walczących o byt konkurentów, których po kolei wykupywał, zwiększając jeszcze swą potęgę.

— Stefan, prawie zapomniałam ci powiedzieć. Jest tu ktoś, kto chce cię poznać.

Z pewnością znów jedna z jej samotnych przyjaciółek, które zawsze znajdą sposób by znaleźć się na liście zaproszonych gości, gdy istnieje pewność, iż on będzie uczestniczyć w przyjęciu. Wiedział, że zrobiła to z najlepszego serca, on jednak znów musiał poznawać jedną z tych kobiet, których zainteresowanie dla jego osoby kończyło się na stanie jego rachunku bankowego.

W każdym razie jego pozycja w społeczeństwie była zbyt wysoka, by ją przyciemnić nierozważnymi zdradami jakiejś żony, znudzonej sukcesami męża. Widział już bardzo wielu znanych europejskich przemysłowców, zrzuconych z piedestału dziennikarskimi rewelacjami o próżności ich żon, wyrzucających pieniądze na supererotycznych, kolejnych żigolaków. Stan kawalerski pasował mu doskonale.

— Przyjechał przed godziną i powiedział, że chce się pilnie z tobą zobaczyć. Powiedział, że mam ci powtórzyć: "Brazylia, 1967", a ty już zrozumiesz.

— Gdzie on jest. Mariso? — zapytał, chwytając ją za rękę.

— Ulokowałam go w gabinecie. Czy to Rosjanin? — zapytała, akcentując ostatnie słowo.

— Tak, mój stary przyjaciel.

— Podejrzewam, że jest z KGB — powiedziała chichocząc.

Jego oczy zwęziły się groźnie, lecz szybko opanował się i uśmiechnął:

— Oglądasz za dużo nocnych filmów. Nie, po prostu działamy w tej samej dziedzinie interesów.

— Czy jest żonaty? — zapytała z figlarnym błyskiem w oku.

— Nie, wątpię jednak, czy znalazłabyś tu wiele chętnych do zrezygnowania z rozkoszy Zachodu, w zamian za rosyjską daczę.

— Może udało by się namówić go do... zdrady. Czy takiego słowa używają w podobnych przypadkach?

— Wątpię, żeby ci się udało namówić go do tego.

— Polecę komuś ze służby, by zaprowadził cię do gabinetu.

Lokaj przeprowadził go przez hali do wyłożonych fornirem drzwi i otworzył je.

— Czy przynieść panu coś?

— Nie, dziękuję.

Lokaj ukłonił się grzecznie i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Benin uścisnął Wenera i odsunął się na odległość ręki.

— Dobrze wyglądasz chłopie.

— Stać mnie na to — odpowiedział Werner z uśmiechem.

Podszedł do kredensu:

— Szkockiej?

— Proszę — Benin rozsunął pluszowe zasłony i spojrzał na jasno oświetlony ogród.

— Czy możemy tu bezpiecznie rozmawiać? Werner nalał dwie szklanki whisky i wręczył jedną Beninowi.

— Zupełnie bezpiecznie. Są jakieś wiadomości o mężczyźnie, którego widział Hendrique? Albo o tym z zakładów w Monachium?

— Jeszcze nie, ale zaangażowałem cały zespół, który pracuje na okrągło całą dobę. Tak że znalezienie odpowiedzi to tylko sprawa czasu.

Benin podszedł do biurka i spojrzał nieuważnie na stojącą na nim fotografię rodzinną, po czym odwrócił się do Wenera.

— Przyjechałem tu, aby prosić cię o osobiste kierowanie operacją rozładunku pociągu.

— A Hendrique? — zapytał Werner.

— Będzie wykonywał twoje polecenia.

— Wiesz przecież, jak niezależny...

— Będzie robił, co mu każą — Benin przerwał ostro, po czym zniżył głos — tolerowałem jego brak subordynacji w przeszłości, ale on doskonale wie, co mu się przydarzy, jeśli nie będzie tym

razem posłuszny. Sądzę, że będzie w pełni współdziałał z tobą.

— To będzie pierwszy raz — powiedział Werner ze zdziwieniem — jak to zrobiłeś?

— Zgromadziłem dossier dotyczące jego interesów z narkotykami i bronią z okresu ostatnich kilku lat. Jeśli wyłamie się z postawionych przed nim zadań, zatroszczę się o to, by dossier dotarło we właściwe ręce.

— W ręce władz?

— Od kiedy on odczuwa jakikolwiek strach przed prawem?

— Z pewnością słyszałeś o napadzie przed kilku laty na wenezuelski frachtowiec w pobliżu Amsterdamu, kiedy jakaś banda, udająca policję przechwyciła złoto wartości miliona funtów?

— Hendrique?

— Tak jest. On myślał, że ładunek został przygotowany przez mało znaczącego holenderskiego gangstera, który chciał się na siłę wpakować do amsterdamskiego syndykatu. Nie mógł się gorzej pomylić. To był ładunek mafii.

Werner zagwizdał po cichu.

— Mafia niezwłocznie wydała wyrok na gang. On ciągle jeszcze obowiązuje. — Benin popatrzył, jak Werner zapala papierosa, po czym ciągnął dalej:

— Przed opuszczeniem Wschodniego Berlina rozmawiałem telefonicznie z Hendrique. Pociąg wyrusza z Sion jutro o dziesiątej rano. Staje później w Brig. Jest to ostatni postój przed Tunelem Simplońskim. Wsiądź tam do pociągu, Hendrique oczekuje ciebie.

— W ciągu godziny będę miał do dyspozycji helikopter zaopatrzony w paliwo i gotowy do lotu.

— Jeszcze jedno — powiedział Benin i podniósł walizeczkę, stojącą przy krześle. Wręczył ją Wernerowi.

Werner wiedział, co jest w środku, chociaż nigdy jej przedtem nie widział. Przełknął nerwowo ślinę i otworzył ją. Zawierała srebrne pudełko nie większe od kieszonkowego kalkulatora. Leżało ono w samym środku gąbczastego łożyska.

— W wieczko wbudowany jest miniaturowy komputer.

Werner rzucił na niego okiem. Wąski, czysty ekran nad szeregiem cyfr od jednego do dziewięciu.

— Jakie są współrzędne?

— Jeden — dziewięć — sześć — siedem — odpowiedział Benin.

— Powiniennem się domyśleć — odparł Werner i sięgnął do klawiszy z cyframi.

— Nie dotykaj tego!

Werner poderwał rękę jakby klawiatura znajdowała się pod napięciem elektrycznym.

Benin uśmiechnął się przepaszająco:

— Może być uruchomione tylko raz. Werner czuł, jak krople potu spływają mu po czole i wytarł je, zanim dosięgły twarzy.

— Można tego użyć tylko w ostateczności.

— Poddaję się — powiedział Werner i zamknął walizeczkę po zapamiętaniu kombinacji cyfr. Benin wyciągnął rękę:

— Życzę szczęścia, przyjacielu.

Werner odwzajemnił uścisk dłoni. Gdy Benin wyszedł

z pokoju, ulokował walizeczkę obok krzesła, po czym nalał sobie czystej whisky z karafki stojącej na kredensie.

* * *

Graham rzucił książkę na przeciwległą kuszetkę i poszedł do wagonu restauracyjnego. Było pusto — w środku był tylko kelner o sennych oczach, który patrzył na niego jakby popełnił jakieś wykroczenie.

— Kawę — powiedział Graham i usiadł.

Kelner spojrzał na niego bez zainteresowania i zniknął w uchylonych drzwiach.

Gdy spadła lawina, pociąg opuścił już Sion. Licząc się z możliwością dalszych, mniejszych lawin, pociąg zawrócił pod osłonę stacji kolejowej. Tam powiedziano pasażerom, że pozostaną na stacji całą noc. Restauracja dworcowa przyrzekła, że będzie otwarta aż do północy, a wagon restauracyjny miał pracować całą noc, wydając lekkie przekąski i napoje, wszystko na koszt kolei.

Graham spojrział na zegarek. Prawie pierwsza w nocy. Kelner postawił przed nim na stoliku dymiącą filiżankę kawy, rozlewając przy tym trochę na spodeczek.

— Czy czyny boże muszą nam ukazywać jak śmiertelni jesteśmy?

Graham obejrzał się, zaskoczony rozlegającym się za nim głosem. Hendrique, który wsiadł ponownie do pociągu na poprzedniej stacji, Vetroz, wyglądał przez okno, znajdujące się za Grahamem.

— Przepraszam, jeśli panu przeszkodziłem. Widzę, że jest pan anglojęzyczny?

— Tak.

— Czy nie ma pan nic przeciwko temu, bym się przysiadł? — zapytał Hendrique, wskazując dwa krzesła naprzeciwko Grahama.

— Niech pan siada.

Hendrique strzelił palcami, by obudzić drzemiącego kelnera. — Cameriere! Un cappuccino, per favore.

Kelner zlął ze stołka barowego i zniknął za uchylonymi drzwiami.

— Pan jest Włochem?

Hendrique odsunął jedno z krzesel od stołu i usiadł. — Nie, ale jest to jeden z języków, którymi w ciągu lat nauczyłem się mówić.

— Jestem pod wrażeniem — rzekł Graham z lekko skrywanym sarkazmem — a iloma językami pan włada?

— Kilkoma — odpowiedział Hendrique wzruszając ramionami. — Uważam, że mogę mieć lepszy kontakt z ludźmi, jeśli znam ich język. A jak tam u pana? Interesuje się pan językami?

— Tylko jednym. Amerykańskim.

Hendrique odczekał, aż kelner podał kawę i opuścił wagon restauracyjny, po czym powiedział:

— Wygląda pan na człowieka, który lubi stawiać czoła różnym wyzwaniom.

Graham poczuł się zaintrygowany.

— Być może.

— Wymyśliłem pewną grę pozwalającą urozmaicić nudne chwile. Jej istota polega na tym, że

wykorzystując umiejętność bluffowania trzeba doprowadzić przeciwnika do kapitulacji. Jest w tym jednak pewien haczyk. Gramy nie na pieniądze, lecz na ból. Mięczaki uważałyby tę grę za sadystyczną. Ja widzę w niej próbę charakteru i siły woli. Interesuje to pana?

— Jeżeli, jak pan powiedział, wyglądam na człowieka, który lubi stawiać czoła wyzwaniom...

— Pięknie. — Hendrique wstał. — Przyniosę grę ze swojego przedziału. Będę z powrotem za chwilę.

Zaledwie Graham skończył pić kawę, Hendrique już powrócił z walizeczką z brązowej skóry. Położył ją na stole i otworzył. Po wyjęciu zawartości zamknął walizeczkę i postawił na podłodze obok krzesła.

Gra składała się z drewnianej tablicy grubej na dwa cale, o powierzchni piętnaście na osiem cali. Tablica była podzielona na dwie równe części wskaźnikiem, biegnącym przez całą jej długość, na którym oznaczono liczby od jednego do dziesięciu. Po każdej stronie wskaźnika był zestaw trzech światełek, ułożonych jedno pod drugim, oraz metalowy przycisk wystający nieco nad powierzchnię tablicy. Pod każdym z tych przycisków przyłączono do obwodu elektrycznego, za pomocą długiego przewodu, metalową bransoletkę.

Hendrique, używając dwóch klamerek znajdujących się na jego końcu podłączył go do źródła energii elektrycznej znajdującego się nad ich głowami. Wtyczkę zamocowaną na drugim końcu przewodu włożył w gniazdko z boku tablicy.

— Zasady gry są bardzo proste. Każdy z nas zakłada na przegub metalową bransoletę, po czym dłonią drugiej ręki naciska metalowy przycisk. Gdy tylko przycisk zostanie wciśnięty, uruchamia obwód elektryczny i gra się zaczyna.

Hendrique przebiegł palcem wzdłuż wskaźnika.

— To informuje o napięciu prądu przebiegającego przez obwód w danej chwili. Cyfra "jeden" zapala się automatycznie po uruchomieniu obwodu i napięcie prądu wzrasta stopniowo, w miarę jak zapalają się coraz większe liczby. Od jednego do pięciu palą się światła zielone, od sześciu do ośmiu bursztynowe, dziewięć i dziesięć — czerwone. Sądzę, że kolory same się tłumaczą. Zwycięża ten, kto potrafi przetrzymać swego przeciwnika i dłużej utrzymać dłoń na przycisku. Gdy tylko przegrywający zdejmie rękę z przycisku, światło po jego stronie gaśnie. I to wszystko.

— Ile czasu upływa między zapaleniem się kolejnych liczb?

— Pięć, sześć sekund. Jest to ujemna strona tej gry, kończy się ona bardzo szybko.

— Jest to jednak bardzo pomysłowe — powiedział Graham.

— O wiele lepsze niż gra w Monopoly.

Hendrique zdjął obrus i przymocował tablicę do stołu czterema silnymi przyssawkami. Obaj zatrzasnęli bransolety na przegubach rąk i zamknęli je na klucz, po czym położyli miniaturowe kluczyki na środku tablicy. Hendrique skinął głową i obaj nacisnęli dłońmi metalowe przyciski. Graham natychmiast poczuł, że coś go szczypie w dłoń i że to szczypanie szybko obejmuje całą rękę, nawet klatkę piersiową. Hendrique patrzył na niego, ale Graham bardziej był zainteresowany tym, co pokazywał wskaźnik. Gdy kolor światła z zielonego zamienił się w bursztynowy, napięcie prądu wzrosło gwałtownie. Graham nie mógł się powstrzymać i instynktownie oderwał rękę od przycisku. Nie był przygotowany na gwałtowny wstrząs, jaki odczuł w drugiej ręce. Przewód był jednak tak krótki, że mógł odsunąć tę rękę tylko kilka cali od tablicy.

— Przepraszani — powiedział Hendrique, co brzmiało niezbyt przekonująco. — Zapomniałem powiedzieć panu: przegrywający naraża się na dodatkową karę w postaci wstrząsu powodowanego elektrodą na wewnętrznej stronie bransolety.

— Nic to nie pomaga, jeśli jest się mądrym po szkodzie — powiedział Graham krótko.

— I jeszcze coś. Kolejne wstrząsy są za każdym razem trzykrotnie silniejsze. Jeśli ma pan kłopoty z sercem, powinniśmy natychmiast przerwać grę. Wstrząs dziewięć razy silniejszy od tego, który pan odczuł, mógłby pana zabić. Zdarzyło się to już kiedyś.

— Grajmy dalej.

— Początkowo nie wytłumaczyłem w sposób właściwy zasad gry, tak więc powinniśmy zacząć od nowa...

— Nie potrzebuję niańki — wtrącił Graham. — Wygrał pan jedną grę.

— Jak pan sobie życzy — odpowiedział Hendrique.

Kolor wskaźnika zamienił się z zielonego na bursztynowy. Oczy Grahama trochę się zwięziły, nie osłabła jednak intensywność jego spojrzenia. Hendrique nie potrafił wytrzymać wzroku Grahama, odwrócił oczy, nieświadomie osłabiając siłę nacisku na metalowy przycisk. Wstrząs przeszedł przez jego ramię, chwycił za bransoletę, jakby chciał ją zerwać z przegubu ręki. Zamknął oczy aż ustało łomotanie w głowie i wytarł wierzchem dłoni pot z czoła.

— Wygrałem tę grę — powiedział Graham z wyraźnym zadowoleniem.

Hendrique odetchnął kilka razy głęboko, lecz nic nie odpowiedział. Pierwszy raz przegrał grę od czasu, gdy trzy lata temu wynalazł to urządzenie. Usiadł prosto i położył rękę na przycisku — dłoń szczypała go jeszcze w rezultacie doznanego wstrząsu.

W ostatniej grze doszli do ośmiu. Hendrique, nauczony świeżym doświadczeniem, skoncentrował się nie na twarzy Grahama, ale na wskaźniku. Graham także obserwował wskaźnik i skrzywił się raczej z irytacji niż z innych powodów, gdy zielona piątka zamieniła się na bursztynową szóstkę.

Gdyby Hendrique ostrzegł go na samym początku, że napięcie prądu wyraźnie wzrasta przy zmianie kolorów, gra mogłaby być już zakończona. Siedem, osiem. Zagryzł wargi gdy granica bólu zdawała się przełamywać z każdą mijającą sekundą. Czerwona dziewiątka. Ręka zaczęła mu dygotać, a oczy łązawić. Przez chwilę ogarnęło go dziwne uczucie wspólnych losów z Hendrique. Chwila ta minęła. Czerwona dziesiątka. Grzbiet Grahama wygiął się z bólu i musiał użyć całej woli by nie oderwać dłoni od przycisku. Zamglony bólem przelotnie dostrzegł Hendrique'a. Jego głowa była odchylona do tyłu, usta otwarte w milczącym jęku. W ułamku sekundy Graham uzyskał pewność, że wygrał. Hendrique znajdował się na krawędzi klęski. W tym przekonaniu Graham zebrał siły i oderwał rękę od przycisku.

Nic więcej nie pamiętał.

Po odzyskaniu świadomości Graham siedział jeszcze przez pewien czas w opustoszałym wagonie restauracyjnym, masując delikatnie czoło drżącymi palcami i starając się w ten sposób opanować pulsowanie w skroniach. Gdy wreszcie wstał, nogi miał niepewne i musiał w drodze do drzwi trzymać się blisko stołów, opierając się na nich od czasu do czasu. Trzymając się mocno poręczy przeszedł do następnego wagonu i poruszał się powoli korytarzem, aż dotarł do swego przedziału. Otworzył drzwi i potykając się, wszedł do środka.

Drzwi między przedziałami natychmiast się otworzyły i weszła Sabrina, z berettą w dłoni. Podeszła do drzwi zewnętrznych, spojrzała na pusty korytarz, po czym zamknęła je, przekręcając klucz.

— Piłeś? — to była jej pierwsza reakcja na widok Grahama kryjącego głowę w dłoniach.

Podniósł gwałtownie głowę, zaskoczony jej głosem i aż skręcił się z bólu spowodowanego nagłym poruszeniem.

— Co ty tu robisz?

— Jestem twoją partnerką, nie pamiętasz o tym?

— Wiesz, co mam na myśli — warknął i znów ból przeniknął jego głowę.

— Szef kazał mi wracać — odpowiedziała i przykucnęła przy nim.

— Co się stało?

— Moja głowa — wymruczał.

Przeszła do swego przedziału i po chwili wróciła ze szklanką wody i dwoma proszkami przeciwbólowymi.

— Myślałem, że nie używasz nigdy takich proszków — powiedział patrząc na jej dłoń.

— Ale tobie są potrzebne, a mogę się założyć, że nie wzięłeś ich ze sobą.

Wziął od niej proszki i połknął, popijając wodą. Po tym usiadł i zamknął oczy. Usiadła naprzeciwko i podniosła książkę, którą poprzednio czytał. Jeszcze jeden James Hadley Chase. Nie należał do jej ulubionych autorów. Nie czytywała prawie thrillerów, nazbyt przypominały jej o robocie.

— Nie spodobało by ci się.

— Wiem — odrzekła i upuściła książkę na kuszetkę. — Co się stało z twoją głową?

Opowiedział jej o pojedynku z Hendrique. Gdy skończył potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

— To nie jest pierwszy raz, kiedy ryzykujesz życie, by stawić czoło jakiemuś wyzwaniu i jestem pewna, że nie ostatni.

— Czy ty nic nie rozumiesz? Tu nie chodzi o wyzwanie, lecz o psychologię tkwiącą u jego źródeł. Jeśli w takim pojedynku jeden na jednego biorą udział ludzie mniej więcej tak samo silni fizycznie, zwycięża zawsze ten, który ma większą siłę woli. Dla przykładu, weźmy dwóch bokserów. Jeśli obaj są tak samo silni i mają taką samą wagę, zwycięża ten, który lepiej przygotował się psychicznie do walki. Biegłość i doświadczenie nic nie znaczą, jeśli zawodnik nie jest odpowiednio przygotowany psychicznie przed wyjściem na ring. Przestraszony zawsze prowadzi do porażki.

— Przecież przegrałeś, więc co jest warta twoja teoria?

— Nie przegrałem lecz pozwoliłem mu wygrać. To olbrzymia różnica. Ja tylko odwróciłem tę teorię.

— Innymi słowy, jesteś przekonany, że mógłbyś go pokonać, gdybyście jeszcze raz rozpoczęli pojedynek. Tylko, że on myśli, iż może pokonać ciebie.

— Nareszcie — powiedział.

— Co by się jednak stało, gdybym to ja była na twoim miejscu?

Spojrzał na nią. — Tylko ty możesz odpowiedzieć na to pytanie.

Rozważyła jego słowa i wstała. — Daj, zobaczę twoją rękę.

— Moją rękę?

— To miejsce gdzie elektroda dotykała skóry.

— To nic takiego — wymamrotał, ale podciągnął rękaw podkoszulka i pokazał zaczerwienione

miejsce na wewnętrznej stronie przegubu.

Opatrując zranienie opowiedziała mu o ostatnich wydarzeniach w Zurichu, uzupełniając jego wiadomości o Hendriquer i Milchanie, jak również przekazała instrukcje Philpota.

— A Jacques przesyła ci pozdrowienia — zakończyła i zabezpieczyła bandaż kawałkiem plastra.

Usiadł i masował skronie z zamkniętymi oczami.

— Lubisz go bardzo, prawda?

— Zawsze go lubiałam, od kiedy tylko zaczęliśmy razem pracować.

— Czy... — ciągnął, otwierając oczy. — Zresztą nieważne.

Takiego Grahama nigdy przedtem nie widziała. Wydawał się bardziej otwarty, niż zwykle. Sądziła, że była to tylko przejściowa słabość, zdecydowała się jednak podtrzymać rozmowę tak długo, jak to będzie możliwe.

— Chciałeś zapytać, czy było coś między mną a Jacqu-es'em?

— To nie moja sprawa.

— Dlaczego nie? Jesteś przecież moim partnerem, na miłość boską — odpaliła. Skrzywił się. — Nie krzycz.

— Przepraszam — powiedziała, uśmiechając się ze skruchą. — A więc nie, nic nie było między nami. On zastępował mi brata, którego nigdy nie miałam, był zaufanym człowiekiem, do którego mogłam się zwrócić po radę w potrzebie.

— Czy w ogóle był jakiś mężczyzna w twoim życiu?

— Tak, był Rutger Hauer — powiedziała i zachichotała. — Nic specjalnego, nie. Miałam kilka przejściowych związków po opuszczeniu Sorbony. Obecnie praca zabiera prawie cały mój czas.

— Czy nie myślisz nigdy o tym, by wyjść za mąż?

— Nie znajduje się to szczególnie wysoko na mojej liście priorytetów. Sądzę jednak, że mogłabym zmienić zdanie gdybym trafiła na właściwego człowieka.

— To jest właśnie to. Właściwa osoba. Rozumiała, co mu chodzi po głowie. Nigdy przedtem nie rozmawiał z nią na temat swojej żony i syna.

— Carrie była właściwą osobą — powiedział w końcu.

— Gdzie ją poznałeś?

— W "Elaines".

— Bar na drugiej Alei?

— Tak, byłem tam z kilkoma chłopakami z Delty. Dostaliśmy właśnie urlop po nieudanej operacji "Orli Pazur", to jest usiłowaniu uratowania amerykańskich zakładników z naszej ambasady w Teheranie, w 1980 roku. Była tam z kilkoma koleżankami od Van Cleefa i Arpela — tam wtedy pracowała. Udało nam się namówić, by usiadły z nami, a ona znalazła się obok mnie. Zaczęliśmy rozmawiać i zgodziła się pójść ze mną na kolację następnego dnia wieczorem. Pobraliśmy się w pięć miesięcy później.

Jego uśmiech był smutny.

— Była właściwie nieśmiała. Miało to swoje korzenie w jej dzieciństwie, kiedy koledzy ze szkoły przedrzeźniali jej jąkanie się. Wyrosła z tego jąkania w wieku osiemnastu lat, pojawiała się jednak później, gdy podnieciła się czymś za bardzo.

— Kiedy urodził się wasz syn?

— Niemal dokładnie w rok po ślubie. Zawsze chciała, żeby Mike poszedł na uniwersytet i został lekarzem lub prawnikiem. Ja natomiast chciałem by wyrósł na dobrego gracza w piłkę. Wziąłem go po raz pierwszy na mecz "Olbrzymów" gdy miał trzy lata. Przyczepił się do tego jak kaczką do wody i potem wymuszał na mnie godzinami, bez końca opowiadania o różnych sposobach gry, szczególnie, gdy oglądaliśmy jakiś mecz w telewizji. Zawsze myślałem sobie, że któregoś dnia będę mógł się odwrócić do faceta, siedzącego obok mnie na stadionie "Olbrzymów" i powiedzieć — "Tam gra mój chłopak". Byłbym najbardziej dumnym ze swego syna ojcem w historii tych gier.

— Czy był podobny do ciebie?

— Tak, jakby skórę zdjąć, według mojej matki. — Wyjął portfel, otworzył i wręczył jej fotografię. — To jest ostatnia fotografia jaką im zrobiłem. Była jeszcze w aparacie, gdy... ich porwano. Niewiele brakowało, żebym jej nie wywołał, teraz jednak jestem bardzo zadowolony, że to zrobiłem. Mam powiększenie tej fotografii na mojej szafce nocnej.

Popatrzyła na fotografię i natychmiast zrozumiała, co go pociągało w Carrie. Na fotografii siedziała po turecku. Sabrina oceniła, że mogła mieć ponad pięć stóp wzrostu. Smukła, drobna postać o jasnej, mlecznej cerze. Miała duże, brązowe, piękne oczy, które pisarze w latach pięćdziesiątych oceniali jako "dostatecznie głębokie, by utopił się w nich mężczyzna". Mike junior stał obok niej w podkoszulku "Olbrzymów", z piłką pod pachą. Miał śmiałą, figlarną twarz, a jego piękne, blond włosy, spływały mu prawie do ramion.

— Musiał być z niego niezły ananas — powiedziała, zwracając mu fotografię.

— Tak, jak normalnie, w wieku pięciu lat — odpowiedział, chowając portfel do kieszeni. — Często jeszcze leżę w nocy bezsenne, usiłując usprawiedliwić decyzję, którą podjąłem w Libii. Poświęciłem rodzinę z powodu siedmiu terrorystów, którzy zamierzali przeprowadzić zamachy bombowe w kilku dużych miastach amerykańskich. Mój rozkaz ataku niewątpliwie uratował życie wielu ludzi, niewiele mi to jednak pomaga. Moralnie było to słuszne, ale z osobistego punktu widzenia...

— Jak już powiedziałaś, każdy z nas sam tylko zna prawdę o sile swojego charakteru. Sam musisz to sobie uporządkować.

— Dziękuję.

— Dziękuję? Za co?

— Za to, że nie traktujesz mnie protekcyjnie, jak to czynią wszyscy inni. W tym co mówisz jest więcej sensu niż w tym, co gadają ci wszyscy psychiatry razem wzięci — spojrzał na zegarek — czas się trochę przespać.

Wstała i stłumiła ziewanie — Co z głową?

— Szumi — odpowiedział, podnosząc kuszeczkę, by dostać się na ciasne łóżko.

— A więc do rana — powiedziała, idąc do drzwi między przedziałami.

— Sabrina?

Już prawie zamykała drzwi, zatrzymała się jednak i spojrzała na niego.

— Człowiek, który porwał Carrie i Mikey'a, był szkolony w Bałaszyce.

— Czy to był...

— Nie, to nie był Hendrique.

Cynizm zdawał się powracać do jego oczu. — Pytałaś mnie, co by się stało, gdybyś to ty miała zakończyć starcie z nim. Nie martw się, to nie będziesz ty. On jest mój.

Zamykając drzwi poczuła, że dreszcz przechodzi jej po plecach.

Rozdział siódmy

Mężczyzną, który jadł następnego dnia śniadanie z Hendrique'm był Eddie Kyle, przysadzisty, czterdziestoletni londyńczyk, o bladej cerze i krótko obciętych, rudych włosach. W Scotland Yardzie miał niezłej grubości akta i od paru lat znajdował się na liście osób poszukiwanych przez tę szacowaną organizację za przeróżne wyczyny, z których najpoważniejszym było zabójstwo pewnego gangstera z East Endu. Zleczone ono było przez Hendrique'a, dla którego Kyle pracował przez ostatnie pięć lat. Miał też spore doświadczenie w pilotażu zarówno helikopterów, jak i awionetek, dzięki czemu Hendrique zatrudniał go także jako pilota przewożącego broń i narkotyki do Amsterdamu i z powrotem, w dość regularnych odstępach czasu.

— Wszystko przygotowane — powiedział Kyle.

— Doskonale — Hendrique wskazał lekkim ruchem głowy Sabrinę, która właśnie weszła do wagonu restauracyjnego — Czy to ona postrzeliła Rauffa?

Kyle rozejrzał się wokół, 'przyglądając się jej jedynie przez chwilę.

— Ona.

— Jesteś pewien? Mówiłeś, że miała twarz ocienioną częściowo kapturem kurtki.

— Twarzy wyraźnie nie widziałem — uśmiechnął się zapytany ale przyjrzałem się dokładnie figurze, a ma taką, że trudno ją zapomnieć. To bez dwóch zdań ona. Szkoda.

— Sentymenty na starość? — zapytał Hendrique z pogardą.

Kyle przez moment wpatrywał się we własne odbicie w szybie.

— To, co mam na myśli, nie ma nic wspólnego z sentymentami.

— Zabiła Rauffa i zrobiłaby to samo z tobą, gdybyś nie miał więcej szczęścia niż rozumu. Mamy do czynienia z zawodowcem, a nie z którąś z twoich tępych kurewek z Amsterdamu. Pamiętaj o tym, bo może ci to następnym razem uratować życie — złość w tonie szefa była wystarczająca, by zmasać jakikolwiek wyraz z twarzy Eddiego, który do końca posiłku milczał przygnębiony.

* * *

Karen Schendel uśmiechnęła się widząc Whitlocka pukającego do otwartych drzwi jej gabinetu.

— Dzień dobry — powiedziała przyjaźnie, po czym wskazała na biurko przypominając o mikrofonie.

— Dobry — mruknął, pokazując jej gestem, by odsunęła się dając mu możliwość obejrzenia pluskwy.

Odsunęła krzesło, ale nie wstała, toteż chcąc nie chcąc przykucnął wykręcając głowę, by zajrzeć pod blat, słuchając jednocześnie paplaniny, którą maskowała jego aktywność. Mikrofon wyglądał dokładnie tak, jak na jej rysunku. Kosztował około stu dolarów na czarnym rynku. Wyrafinowany i wyróżniający się niewielkimi rozmiarami. Przesunął wzrokiem po jej nogach obciążonych czarnymi pończochami i przyznał, że są wyjątkowo zgrabne, nawet zgrabniejsze niż nogi Carmen. Myśl o żonie obudziła w nim poczucie winy i wyrwała go z marzeń. Gdy spojrział na Karen, uśmiechała się do niego. Już miał ją przeprosić, gdy przypomniał sobie o mikrofonie i z westchnieniem siadł w fotelu po przeciwnej stronie biurka.

— Kawy? — spytała.

— Wypiłem przed wyjściem z hotelu. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to chciałbym trochę popracować.

— Dobrze — zgodziła się układając papiery na biurku w porządną stosik.

Wyszli i dopiero na korytarzu spytała z troską w głosie:

— Jak ramię?

Odruchowo poruszył barkiem.

— Nieźle. Zrobiłem sobie gorącą kąpiel w nocy i teraz powinno być w normie.

— Bałam się o ciebie.

Szczerść, w jej głosie zaskoczyła go. Gdy znaleźli się w windzie, wcisnęła guzik jednego z pięter i podała mu kartkę. Były na niej cztery nazwiska, jedno pod drugim.

— To moich czworo podejrzanych. Szczególnie doktor Leitzig. Zorganizowałam wszystko tak, że najpierw spotkasz się z nim.

— Jakże ma tu stanowisko?

— Jest głównym technikiem zakładów, co w praktyce oznacza nadzór nad całym procesem oczyszczania.

— Czy on też robi miesięczne zestawienia?

— Razem z dyrektorem i innymi członkami kierownictwa naukowego. Cała procedura jest ściśle kontrolowana.

— Czy on wypisuje listy zestawień? Drzwi otworzyły się wypuszczając ich na inny korytarz, również wyłożony chodnikiem.

— Nie — odparła. — To robi komputer, a zresztą, jak ci mówiłam wczoraj, pluton znika zanim wyliczenia dostają się do komputera.

Złapał ją za ramię, gdy chciała zapukać do drzwi z matowego szkła, usytuowanych w połowie korytarza.

— Stawiasz wiele oskarżeń, ale jak dotąd nie poparłaś ich nawet cieniem dowodu.

— Mówiłam ci, że nie mam żadnych dowodów...

— To na jakiej podstawie opierasz swe podejrzenia?

— Nie wierzysz mi, tak? — parsknęła. — Nie wierzysz.

— W tym momencie nie wiem, czemu mam wierzyć: Nie rozumiesz, że musisz mi dać coś konkretnego, coś, na czym mógłbym się oprzeć?

— Wystarczy, że zadzwonię do dyrektora i twoją oficjalną osobowość szlag trafi z hukiem — jej oczy błysnęły.

— I co to da pozytywnego komukolwiek z nas? — spytał spokojnie.

Westchnęła i powoli skinęła głową.

— Przepraszam C. W., nie jestem przyzwyczajona, by komukolwiek tu ufać. Jak wyjdzie od Leitziga, to powiem ci wszystko, co wiem, zgoda?

— Zgoda — odpowiedział stanowczo, choć wolałby wiedzieć, na czym stoi przed rozmową z Leitzigiem.

Karen zapukała, po czym otworzyła drzwi nie czekając na zaproszenie. Maszynistka w średnim wieku spojrzała znad maszyny i uśmiechnęła się do nich. Wdały się obie w ożywioną dyskusję prowadzoną w języku niemieckim, przerywaną, co jakiś czas wybuchami śmiechu. W końcu Karen zwróciła się do Whitlocka.

— Obawiam się, że będziesz musiał wrócić do niemieckiego. Ona nie mówi po angielsku.

— A Leitzig?

— Mówi, ale trzeba go skłonić, by zrobił z tej umiejętności użytek. Czasami potrafi być bardzo uparty. No to do zobaczenia.

Po wyjściu Karen wymienił uprzejme uśmiechy z sekretarką, po czym zajął się jedynym magazynem, jaki leżał na stoliku do kawy. Przerzucał kartki bez specjalnego zainteresowania, czemu trudno się dziwić, gdyż był to poradnik programowania komputerów, napisany po niemiecku.

Ktoś otworzył wewnętrzne drzwi. Pojawił się mężczyzna dobrze po pięćdziesiątce, o krótkich, szpakowatych włosach, noszący okrągłe okulary w metalowej oprawie. Whitlock wstał i uściśnął wyciągniętą dłoń, zdecydowany nie odzywać się, dopóki nie dowie się, jakiego języka zamierza użyć

— Jestem doktor Hans Leitzig — Whitlock z ulgą usłyszał angielski. — Idę właśnie do oczyszczalni. Może chce pan zobaczyć, na czym to wszystko polega?

— Z przyjemnością.

— W którym hotelu się pan zatrzymał?

— Europa.

— Dobry wybór — pochwalił naukowiec, następnie powiedział coś krótko do sekretarki.

Whitlock przyglądał mu się uważnie. Leitzig mógł być kierowcą czarnego mercedesa przy Hiltonie, ale z równym powodzeniem mogła nim być większość męskiej ludność i Monachium. Wszystko zdarzyło się tak szybko.

— Karen mówiła mi, że chce pan napisać o ludziach, a nie o stronie technicznej zakładu. Myślę, że to dobry pomysł, zwłaszcza w świetle tego, co złego pisano o tym przemyśle po Czarnobylu.

— Czuję dokładnie to samo — odparł Whitlock mając nadzieję, że udało mu się włożyć w głos wystarczającą dozę przekonania.

Leitzig poprowadził przez szatnię, w której założyli białe fartuchy i w której Whitlock, po przypomnieniu, przypiął sobie identyfikator z dozownikiem.

— Ile Karen panu wczoraj pokazała?

— Nic, gdyż była zajęta. Oprawdzał mnie jej zastępca, ale tutaj nie byliśmy.

— Co pan wie o procesie oczyszczania? — spytał doktor gdy wyszli z szatni.

— Obawiam się, że niewiele — skłamał Whitlock.

— Nie jest to wcale tak skomplikowane, jak się wydaje. Proszę za mną. Pokażę panu wszystko po

kolei.

Poprzez płataninę korytarzy dotarli do stalowych drzwi z napisem: ZBIORNIKI SKŁADOWE, obok był zakaz wstępu i napis: TYLKO UPOWAŻNIONY PERSONEL. Leitzig wsunął swój identyfikator w szczelinę i drzwi rozsunęły się, ukazując pomieszczenie o szarozielonkawych ścianach, długie na trzysta stóp i wysokie na osiemdziesiąt, licząc od poziomu wody, która, jak wyjaśnił, miała trzydzieści stóp głębokości. Dwa metalowe pomosty biegły przez całą jego długość, wypuszczając dodatkowo cztery mniejsze, dochodzące do poziomu wody. Wszystkie opatrzone były wysokimi poręczami.

Leitzig wskazał na rzędy stalowych pojemników widoczne pod powierzchnią wody i opisał, w jaki sposób transportuje się je w stutonowych kontenerach o czternastocalowych ścianach.

— Ile czasu tu pozostają? — zainteresował się Whitlock.

— Dziewięćdziesiąt dni. Tak samo jak w elektrowni zanim zostaną przy transportowane tutaj.

— Wobec tego woda działa jako chłodzenie? — spytał Amerykanin spoglądając na odległą o pięćdziesiąt stóp ciecz.

— Tak. A poza tym jako osłona. Gdyby nie pochłaniała promieniowania z tego, co jest pod nami, to obaj mielibyśmy już w sobie śmiertelne dawki.

— Miło wiedzieć — mruknął, podążając za Niemcem ku drzwiom.

Kolejnym etapem był główny budynek, gdzie odbywała się pierwsza część oczyszczania, którą obserwowali zza szklanej ściany, która wydawała się wzniesiona właśnie po to, by chronić ludzi przed promieniowaniem gamma. Naprawdę, jak wyjaśnił naukowiec, miała na celu izolację pracujących wewnątrz specjalistów od jakiegokolwiek hałasu, który mógłby rozproszyć ich uwagę, co przy tak delikatnej pracy było raczej niewskazane. Wszystkie czynności wykonywane były przy pomocy zdalnie sterowanych automatów i obserwowane na ekranach monitorów.

— Gdy zakończony zostanie okres kwarantanny — wyjaśnił Leitzig starając się w maksymalnie prosty sposób opisać szalenie skomplikowany proces — pojemniki są transportowane poprzez system podwodnych zbiorników do pomieszczenia, w którym się je otwiera. Jest to jaskinia o siedmiostopowych ścianach ze zbrojonego betonu. To, co się w niej dzieje obserwować można na monitorach albo przez specjalne okna w ścianie. Każde z nich pomiędzy dwoma warstwami szkła kwarcowego wypełnione jest roztworem bromku cynku, który jest przezroczysty, a pochłania promienie gamma. Procedura rozpoczyna się od rozcięcia pojemnika, który następnie, pocięty na mniejsze kawałki, wędruje taśmociągiem do składowiska umieszczonego pod magazynem z wodą. Pręty paliwowe zaś zostają złożone w specjalnej komorze mogącej pomieścić ich 38 i rozpuszczone w kwasie azotowym. Roztwór ten zostaje następnie zmieszany z organicznym rozpuszczalnikiem, co powoduje oddzielenie uranu i plutonu od odpadów i zabrudzeń. Te ostatnie, składające się z odpadów radioaktywnych, cząsteczek żelaza z maszyn i chemicznych zanieczyszczeń, których nigdy

do końca nie da się uniknąć, zostają zredukowane przy pomocy odparowania i są składowane w pobliskich zbiornikach w temperaturze pięćdziesięciu stopni. Roztwór natomiast zmieszany jest z innym rozpuszczalnikiem, by usunąć pozostałe jeszcze w nim zanieczyszczenia, po czym poddany jest działaniu rozpuszczalnika o bazie wodnej, co powoduje rozdzielenie się uranu i plutonu w taki sposób, iż pluton łączy się z tym rozpuszczalnikiem, a uran pozostaje w roztworze z kwasem. Daje to związki plutonu i uranu z azotem, gotowe do użycia jako paliwo w reaktorach, naturalnie po uprzednim odparowaniu. Produktem końcowym są obie te substancje w postaci sypkiej, czyli w proszku.

Dwie godziny trwała ta pouczająca wycieczka. Potem wrócili do gabinetu Leitziga. Poprosił on sekretarkę o kawę, po czym zamknął drzwi i usiadł za biurkiem.

— Jaki procent uranu czy plutonu można odzyska? — spytał Whitlock.

— Zazwyczaj 99% uranu i 99, 5% plutonu. Reszta to radioaktywne odpady, Naturalnie występują różnice, ale nie większe niż parę dziesiątych procenta.

— I dane te trafiają do komputera?

— Naturalnie, ale, proszę wybaczyć, nie bardzo rozumiem, do czego zmierzają te pytania?

— Przepraszam — Whitlock uśmiechnął się. — Wyłazi ze mnie dusza dziennikarza szukająca zawsze nowych informacji. Możemy teraz porozmawiać o panu?

— Proszę pytać — Leitzig splótł dłonie na blacie biurka.

— Może opowiedziałby mi pan coś w rodzaju skróconego życiorysu?

— Proszę, choć obawiam się, że będzie to jeden z najbardziej typowych życiorysów, jakie pan słyszał... Urodziłem się w niewielkiej miejscinie o nazwie Tettung. Miasto liczyło nie więcej niż piętnaście tysięcy mieszkańców i leżało w samym sercu upraw szparagów na granicy austriackiej. Pamiętam, jak uszczęśliwiło mnie przyjęcie na Uniwersytet w Hamburgu. Stało się to głównie dlatego, że pozwoliło mi uciec od tych cholernych warzyw — zachichotał i sięgnął po papierosa. — Po studiach wyjechałem do Anglii, najpierw do Calder Hall, potem do Sellafield. Na początku lat siedemdziesiątych opuściłem przemysł i wróciłem do Instytutu Chemii Maxa Plancka, gdzie spędziłem ładnych parę lat. Skończyłem z Instytutem słysząc o powstaniu tego zakładu i jak dotąd nie żałuję tej decyzji i zmiany miejsca pracy.

— Jak długo pan tu pracuje?

— Dwa i pół roku.

— A co pan robi w wolnym czasie?

— Łowię ryby. Nie ma nic bardziej relaksującego niż całodzienny wyjazd landroverem na ryby.

— Jest pan żonaty?

— Nie — odpowiedź była dziwnie ostra, ale po chwili została wyjaśniona ona z przepaszającym uśmiechem. — Jestem wdowcem.

— Przepraszam...

— Śmierć żony była głównym powodem mego powrotu do przemysłu. Mogłem tu zatopić się w pracy i nie myśleć o tym, że jej nie ma. Bałem się powrotów do domu. Cisza i samotność stawały się prawie nie do zniesienia.

— Dlaczego się pan nie przeprowadził?

— Ten dom zawiera tak wiele wspomnień... — naukowiec wyglądał na zaskoczonego.

— Naturalnie. A dzieci?

— Żadne z nas ich nie chciało. Teraz tego żałuję.

Whitlock pomyślał o swojej sytuacji. Co on by zrobił, gdyby coś przytrafiło się Carmen? Czy stałby się podobny do Leitziga?

Sekretarka weszła z kawą i ustawiła tacę na biurku. Leitzig nalał. W tym momencie na konsolcie wmontowanej w biurko gospodarza rozbłysła migotliwa lampka. Ten wcisnął jakiś guzik i wstał z przepaszającym uśmiechem.

— Proszę mi wybaczyć, ale wzywają mnie na dół.

— Mam nadzieję, że to nic poważnego.

— Chcą się ze mną skonsultować w jakiejś sprawie — wskazał na czerwone światelko. — To jest sygnał alarmowy. Zapala się w momencie, gdy stanie się coś poważnego, na przykład jakiś wypadek, i do tego włącza się jeszcze głośniejszą syrenę. Jak dotąd na szczęście jeszcze jej nie słyszałem i mam nadzieję, że nie usłyszę. Proszę zostać i wypić kawę. Sądzę, że przy innej okazji skończymy naszą rozmowę.

— Także bym tego pragnął.

— Doskonale. Poproszę Inge, by zadzwoniła do Karen. Jeśli nie jest się tutaj na codzień, to łatwo się zgubić w tej płątanie korytarzy.

Karen zjawiła się po paru minutach i w milczeniu doszli do windy.

— Myślałam nad tym, co powiedziałaś — poinformowała go gdy drzwi się zamknęły. — Musimy współpracować, to jedyny sposób, żeby dojść prawdy.

Winda zatrzymała się przywołana przez jedną z sekretarek, toteż wymienili z nią uprzejme uśmiechy nie odzywając się jednak więcej do momentu, aż drzwi się rozsunęły i Karen gestem poprosiła Whitlocka, aby udał się za nią.

— Dokąd teraz? — spytał.

— Sala komputerowa — odparła podając mu akta niesione pod pachą. — To ksero zestawień kontrolnych za ostatnie dwa lata. Dokładnie przeczesalam te liczby i wszystko się zgadza. Może tobie uda się znaleźć coś, co mnie umknęło. Drzwi, które pchnęła, ukazały pokój przywodzący na myśl salę komputerową w centrali UNACO, pełną migających monitorów, trzasków drukarek i klekotu teleksów. Podeszli do jednego z wolnych stanowisk i usiedli przed terminalem. Karen odruchowo zasłoniła dłoń wprowadzając swój osobisty kod do maszyny. Został przyjęty i na ekranie pojawiła się lista możliwości. Wybrała jedną z nich, która z kolei sprowokowała kolejny spis i ponowne sprawdzenie kodu. Wreszcie na ekranie pojawiły się rzędy tabel. Włączyła "Print" i drukarka ożyła z cichym jazgotem. Łącznie zebrało się siedemnaście stron zanim urządzenie ucichło, a Karen dołączyła druk do zawartości teczki.

— Zajmiemy się tym w moim biurze, ale wątpię, by udało nam się znaleźć cokolwiek. Jeśli dotąd wszystko pasowało, to w tym przypadku nie powinno być inaczej.

Ujął ją pod ramię i poprowadził w kąt, z dala od najbliższego z operatorów.

— Nadal nie powiedziałaś mi o swoich podejrzeniach.

— Kilkakrotnie gdy pracowałam dłużej widziałam Leitziga z muskularnym mężczyzną o kruczoczarnych włosach. Zawsze ubrany był w biały kombinezon jaki noszą kierowcy, ale problem leży w tym, że on tu nie pracuje.

— Skąd ta pewność?

— Ja zatrudniam kierowców i strażników. Poza tym pewnej nocy śledziłam go.

— I co?

— Pojechał do magazynu na Rampenstrasse, na brzegu Renu. Nie widziałam, co miało miejsce wewnątrz, ale opuścił go w citroenie wraz z dwoma mężczyznami, których nigdy dotąd nie widziałam. Próbowałam dostać się do tego magazynu, ale był zamknięty — wzruszyła ramionami. — Wiem, że to niewiele, ale...

— Wystarczy — przerwał jej Whitlock. — Chodź, zobaczymy te wydruki.

Żadne z nich nie zauważyło Leitziga przyglądającego im się przez okienko umieszczone w innych, również prowadzących do sali komputerowej drzwiach. Wyliczył ruchy idealnie, znajdując się wewnątrz w momencie, w którym oni wyszli na korytarz i podszedł do najbliższego komputera. Podał swój kod i wybrał z wyświetlonej listy "Operacje personelu", następnie podał kod Karen i otrzymał wykaz jej operacji komputerowych z bieżącego dnia. Ostatnią pozycją było siedemnaście stron zestawień produkcyjnych. Wrócił do oryginalnego spisu i wyłączył maszynę.

Whitlocka zaczął podejrzewać od pierwszej chwili — ten facet wiedział więcej o przemyśle atomowym niż udawał, że wie. Dowiodła tego dobitnie wycieczka po zakładzie i pytania, jakie zadawał. A teraz jeszcze to. Jeśli był dziennikarzem, za którego się podawał, to po co mu zestawienia produkcji za dwa lata do artykułu o pracownikach? I dlaczego Karen mu pomaga? Jak dużo ona wie? Co gorsza, pojawienie się Whitlocka dziwnie zbiegło się w czasie z przekazaniem ostatniej partii plutonu do magazynu. O wiele za dużo przypadków jak na gust zacnego doktora.

Leitzig wiedział, że musi zająć się zatarciem śladów, a to oznaczało śmierć Whitlocka.

* * *

W nocy w Szwajcarii padał śnieg i choć nie spadło go dużo, Werner omal nie przewrócił się wysiadając z taksówki przed dworcem w Brig. Zapłacił kierowcy i ostrożnie podszedł do drzwi budynku, wytarł starannie buty przed wejściem i podziemnym wejściem dostał się na peron. Ludzie widząc jego twarz zastanawiali się skąd go znają, w czym nie było nic dziwnego biorąc pod uwagę ilość wywiadów, których udzielał w telewizji jak Europa długa i szeroka. Jednak nasunięty na czoło kapelusz i podniesiony kołnierz płaszcza blokowały widok na tyle skutecznie, że nikt nie wpadł na połączenie . widzianego obrazu z jego nazwiskiem.

Pociąg przyjechał po paru minutach mając piętnaście godzin opóźnienia i Werner wolno ruszył korytarzem sprawdzając numery przedziałów. W końcu dotarł do tego, który był zarezerwowany na jego nazwisko. Gdy przekreślał klucz sąsiednie drzwi otwarły się i na korytarz wyrzwał Hendrique.

— Dzień dobry — przywitał go Werner i zniknął w swoim przedziale.

Zdążył rzucić kapelusz na łóżko i powiesić płaszczy, gdy Hendrique otworzył drzwi łączące oba przedziały, stając w progu z rękoma w kieszeniach.

— Pomińmy uprzejmości i przejdźmy do rzeczy. Chcę od początku postawić sprawę jasno. Nie bardzo cieszy mnie perspektywa słuchania kogoś, kto całe życie spędził za biurkiem — oznajmił — ale jak pan przypuszczalnie wie, stary skurwiel ma na mnie haka i nie mam wyboru. Moi ludzie i ja zrobimy wszystko co tylko się da, by ładunek dotarł do celu. To po prostu jeszcze jedna z wielu robót jakie dotąd całkiem skutecznie wykonywaliśmy i to bez niczyjego nadzoru.

— Mnie natomiast niezbyt cieszy to, że muszę pracować z handlarzem narkotyków, ale warunki są takie, że nie mam wyboru. W związku z tym proponuję, byśmy osobiste odczucia odłożyli na bok i współpracowali póki co. Teoria głosi, że jesteśmy po tej samej stronie — Werner zapalił, przepchnął się obok Hendrique i podszedł do drzwi. — Idę na kawę. Przyłączy się pan?

Hendrique poprowadził korytarzem, potem zatrzymał się czekając na Wenera przy wejściu do wagonu restauracyjnego.

— To jest panienka, która załatwiła Rauffa — poinformował go wskazując nieznacznym gestem Sabine, która siedziała przy jednym ze stołów.

Werner spojrzał na nią.

— Niemożliwe!

— Zna ją pan?

— Parę lat temu była jedną z najlepiej zapowiadających się debiutantek w Europie. Jest pan pewien, że to ona?

— Kyle jest pewien.

Sabrina odwróciła się od okna, gdy pociąg ruszył i dostrzegła obu mężczyzn.

— Stefan?

W odpowiedzi Werner uściskał ją i ucałował lekko w policzki.

— Nie wierzę własnym oczom — ucieszył się. — Spotkanie po tylu latach. Świat jest naprawdę mały. Przepraszam... — dodał widząc jej wzrok kierujący się ku jego towarzyszowi — to Joe Hemmings, szef mojej ochrony. Sabrina... — przerwał z przepaszającym uśmiechem. — Przepraszam cię, ale nie mam pamięci do nazwisk.

— Cassidy — odparła wytrzymując podejrzliwe spojrzenie Hendrique — Sabrina Cassidy.

— Bardzo mi przyjemnie — w głosie Hendrique nie dało się wyczuć śladu przyjemności. — Na pewno macie państwo masę spraw do omówienia — zwrócił się do Wenera — wobec tego zostawiam was samych. Jeśli będzie mnie pan potrzebował, to jestem w swoim przedziale.

— Doskonały kumpel do zabawy — mruknęła Sabrina gdy odszedł.

— Po prostu za poważnie traktuje swoją pracę. Mogę się przysiąc?

— Oczywiście.

Werner zamówił u kelnera kawę i siadł naprzeciw niej.

— Nadal nie mogę przyzwyczać się do myśli, że spotkaliśmy się po tych czterech czy pięciu latach.

— Pięciu — odparła po krótkim obliczeniu.

— Ostatnie, co o tobie słyszałem to fakt, że zaczynasz sobie wyrabiać nazwisko na torach wyścigowych.

— Wyścigi wozów osobowych. Skończyło się dość nagle w Le Mans, gdy przeokołkowałam swoim porsche. Następne cztery miesiące spędziłam w szpitalu pod Paryżem. Patrząc z perspektywy, ten wypadek był najlepszą rzeczą, jaka mi się przytrafiła w życiu.

— Dlaczego?

— Sporo się o sobie dowiedziałam w czasie rekonwalescencji. Zrozumiałam, że moje życie prowadzi donikąd.

— I co teraz robisz? — spytał płacąc za kawę.

— Jestem tłumaczką w Nowym Jorku.

— Wyszłaś za męża? Pokazała mu lewą dłoń.

— Nikt mnie nie chce.

— Nie wierzę w to.

— A ty? Jest jakaś pani Werner?

— Prawdopodobnie jest, ale jak dotąd jeszcze jej nie spotkałem — upił łyk kawy przyglądając jej się znad filiżanki. — Co cię sprowadza do Szwajcarii?

— Wakacje — odparła spoglądając w nagle ciemne okno.

— Jesteśmy w Tunelu Simplońskim. Wjeżdża się w Szwajcarii, a wyjeżdża dziesięć mil dalej już we Włoszech.

— Sądziłam, że przy twoich bezgranicznych prawie zasobach podróżujesz samolotem, a nie czymś tak przestarzałym i powolnym, jak ten pociąg, który spóźnia się zresztą tak, jakby nigdy nie miał zamiaru dojechać do stacji.

Werner rozejrzał się wokół, po czym pochylił ku niej i zniżył głos:

— Zwykle tak właśnie robię, ale teraz jest specyficzna sytuacja. Moje towarzystwo opatentowało nowe rozwiązanie kontenerów przewozowych, z wykorzystaniem nowego i całkiem rewelacyjnego materiału. Jest tańsze i wygodniejsze od rozwiązań obecnie stosowanych. To wszystko na ten temat, co mogę ci powiedzieć. Musi ono dotrzeć do Rzymu i to tak, by konkurencja się o tym nie dowiedziała. Zamierzaliśmy przetransportować je samolotem, ale doszło do naszych uszu, że paru techników zostało przekupionych przez głównego konkurenta; by pokazać mu ładunek przed odlotem i musieliśmy w ostatniej chwili zmienić plany. Zdecydowaliśmy się na najmniej prawdopodobny środek transportu. Jak go sama określiłaś, stary i powolny pociąg. Joe jest w nim od wyjazdu z Lozanny, a jeden z jego ludzi jest nawet zamknięty z naszym ładunkiem w wagonie. Ot, tak na wszelki wypadek. Nie sądzę, by było to konieczne, ale lubię daleko posuniętą profilaktykę.

— A jeśli i ona zawiedzie?

— Cóż, podejmiemy wszelkie niezbędne kroki, by się z tym uporać. Szpiegostwo przemysłowe to naprawdę nic przyjemnego.

— Więc będziesz w pociągu aż do Rzymu? — spytała zmieniając temat.

— Tak planuję. A ty?

— Również. Przynajmniej będziemy mieli okazję pogadać o starych, dobrych czasach.

— Z przyjemnością. Zjemy razem kolację? — zaproponował.

— Świetnie. O ósmej?

— Zajmę się rezerwacją stolika, czy jak to się tu nazywa — odsunął krzesło i wstał. — Wybacz mi, ale mam trochę pracy, którą wziąłem na drogę.

— To już zboczenie zawodowe.

— Obiecuję, że przy kolacji się nie objawi — uklonił się i odszedł.

* * *

Werner wrócił do przedziału i zapukał do wewnętrznych drzwi. Szczęknięto zamknięcie i w progu stanął Hendrique.

— Pogawędka była miła? — spytał.

— Możesz się nie wysilać — warknął Stefan wyjmując z kieszeni płaszcz i mapę. — Nie uwierzyła w bajkę o nowym kontenerze.

— Zaskoczyło to pana? Jest zawodowcem, a nie trzeciorzędnym agencją wysłanym przez jakąś konkurencyjną kompanię kolejową.

— Czy Kyle... ?

— Wszystko załatwione — przerwał mu Hendrique. — Wystarczy, że wyrazi pan zgodę.

Werner prześledził trasę jaką pociąg miał pokonać w najbliższym czasie.

— Następny przystanek to Domodossola, potem Vergiate. To jakieś pięćdziesiąt mil od Mediolanu. Niech pan dzwoni na pierwszym postoju. Nie możemy sobie pozwolić na dalszą stratę czasu.

— Doskonale. Wobec tego zostaje jeszcze ten facet, ale nim zajmę się osobiście.

— Nie chcę żadnej strzelaniny w wagonach.

— A kto mówi o strzelaninie? — twarz Hendrique wyrażała czyste oburzenie. — Ma pan ten numer telefonu? — Werner otworzył torbę i podał mu gazetę.

— Napisany na czerwono na pierwszej stronie. — Hendrique wziął gazetę bez słowa i wrócił do swego przedziału.

* * *

Gdy stanęli na stacji Domodossola, pierwszym przystanku po wyjeździe z tunelu Simplon, konduktor zastukał do przedziału.

— Co się stało? — spytał Hendrique otwierając.

— Rozmawiałem z maszynistą. Powiedział, że zaczeka na pana pięć minut, a potem rusza.

— Płacę ci wystarczająco dobrze, żeby domagać się wypełniania poleceń bez żadnych ale. Masz to tak załatwić, żeby ten pociąg nie odjechał beze mnie i to niezależnie od tego, jak długo by to trwało.

— To maszynista...

— Gównu mnie to obchodzi. Ten pociąg ma czekać, jasne?

Konduktor przytaknął nerwowo i czym prędzej wymknął się na korytarz.

Hendrique podniósł kołnierz kurtki i wyszedł na peron. Na dworze padał śnieg. Skierował się ku budce telefonicznej usytuowanej obok kawiarni. Wykręcił numer wypisany czerwonym pisakiem na gazecie i wrzucił czterystolirową monetę do automatu.

— Chciałbym rozmawiać z kapitanem Frosserem — powiedział po niemiecku, gdy ktoś po drugiej stronie podniósł słuchawkę.

— Jest zajęty..

— To proszę mu powiedzieć, że chodzi o morderstwo Rauffa. Dzwonię z innego miasta i z automatu, tak że nie mam zbyt wiele czasu.

— Proszę chwilę poczekać.

— Halo, tu Frosser — odezwał się nowy głos po paru sekundach.

— Kobieta, której pan szuka w związku z morderstwem Rauffa, jest w pociągu zmierzającym do Rzymu, który powinien za godzinę być w Vergiate. Nazywa się Sabrina Cassidy — Hendrique odłożył słuchawkę, wrzucił gazetę do kosza i wrócił do pociągu.

* * *

Bruno Frosser przyglądał się słuchawce głuchego nagle telefonu, jakby zamierzał go ugryźć, po czym powoli odłożył ją na widełki.

— Co jest, kapitanie? — spytał sierżant Sepp Clausen.

Frosser siadł i przyjrzał się swemu pomocnikowi, który jakoś dziwnie przypominał mu jego samego sprzed dwudziestu lat — był równie ambitny i zdeterminowany, tyle że Clausen miał zdecydowanie więcej włosów (nawet biorąc poprawkę na dwudziestoletnie zmiany w pamięci). Teraz, mając 43 lata, Bruno miał ledwie ślady owłosienia zaczynające się nad uszami i zbiegające cienkim paskiem w tył czaszki. Nigdy go. nie wzruszało, że były kasztanowe w przeciwieństwie do siwego wąsa, ani też to, że koledzy po fachu klepali go po wydatnym brzuszku pytając kiedy termin rozwiązania. Wszystko, co go obchodziło i wzruszało, to była praca i szansę na awans.

— Gdzie, do cholery, jest to Vergiate? — spytał ponuro.

Clausen nie miał zielonego pojęcia, ale zamiast przyznać się do tego, od razu sięgnął do szuflady

po atlas i zabrał się za przeszukiwanie indeksu. Ponieważ nie znalazł tam nic, co przypominałoby choć z grubsza tę nazwę, złapał za telefon.

— Jeśli ci się uda, to chciałbym jeszcze dziś znać odpowiedź.

Sarkazm szefa spłynął po nim jak woda. Wiedział z doświadczenia, że jest to rzecz najbardziej zbliżona do humoru w wykonaniu Frossera.

Ten zaś przyglądał węża rozmyślając o całej sprawie, która bez dwóch zdań była jedną z najdziwniejszych, z jakimi się zetknął, odkąd pięć lat temu awansował do Sekcji Zabójstw komendy we Fryburgu. Zaczęła się od anonimowego telefonu — rozmówca, najprawdopodobniej z angielskiej strefy językowej, poinformował go łamaną niemczyzną o trupie w opuszczonym magazynie. Po godzinie lokalne radio i telewizja podały szczegóły dotyczące morderstwa i zjawili się dwaj chłopcy z oświadczeniem, że widzieli ciało. Przy ich pomocy wykonano portret pamięciowy poszukiwanej kobiety, która, jak mówili, nazywała się Katrina. Jeśli chodzi o niego, to imię Sabrina było wystarczająco zbliżone. Co prawda nadal było wiele niewyjaśnionych kwestii, jak na przykład: kim był czarnowłosy mężczyzna, którego chłopcy widzieli, jak ładuje beczki z piwem do opuszczonego wagonu w dzień poprzedzający morderstwo? Beczki, których zresztą tam nie było, gdy policja znalazła się na miejscu. Skąd wzięły się ślady kul na wagonie? Kim był ów drugi mężczyzna, dzwoniący przed chwilą? I wreszcie, jeśli nawet ona była zabójcą, to jak pozostali pasowali do tej łamigłówki?

— Vergiate jest we Włoszech — oznajmił Clausen zakrywając dłonią mikrofon. — Jakies piętnaście mil od Varese.

— To niedaleko Mediolanu?

— Niedaleko.

— Przygotuj helikopter. Chcę tam polecieć najszybciej jak się da.

— To może zająć trochę czasu.

— Tak jak twoje szansę na awans, jeżeli nie będzie helikoptera.

Frosser wykręcił prywatny numer szefa Sekcji Zabójstw w Mediolanie, którego znał od dwunastu lat. Chciał, by na peronie oczekiwał komitet powitalny, jak tylko pociąg przyjedzie do Vergiate.

* * *

— Chcesz jeszcze kawy? — spytała Sabrina wskazując pustą filiżankę Grahama.

— Dlaczego nie? Poza tym nie ma nic do roboty w tym przeklętym pociągu.

Zawołała kelnera i złożyła zamówienie:

— Passiamo avere un altro caffè, per favore.

Kelner zamienił naczynia na pełne i przyniósł świeży dzbanek mleka. Poziom jedzenia zaskoczył przyjemnie ich oboje — choć porcje były niezbyt wielkie, to jednak doskonałe. Sabrinie przypominało to perłę wśród restauracji, jaką znalazła w nowojorskiej Greenwich Village — z zewnątrz prezentowała się zupełnie marnie, natomiast przygotowanie, obsługa i jakość serwowanego pożywienia porównywalne były z najlepszymi restauracjami w mieście.

— Vergiate — oznajmił Graham, gdy za oknem mignął pierwszy z napisów.

— Co proszę? — spytała wyrwana z zamyślenia.

— Dojeżdżamy do Vergiate — powtórzył cierpliwie.

— Zastanawiam się, co oni tu robią — wskazała za okno.

— Kto? wykręcił głowę starając się dostrzec to, co pokazywała.

— La polizia. Czekają na peronie.

— Może kogoś zamordowano w pociągu. To przyjemnie rozwiązałoby tę nudę.

— Mam parę ofiar na liście, naturalnie włączając obecnych.

— Naturalnie — odparł udając przestרח.

Gdy pociąg stanął, tył wagonu restauracyjnego znalazł się na wysokości czterech oczekujących policjantów i Sabrina zdała sobie nagle sprawę z wstrętu i pogardy malujących się na twarzy jej towarzysza, który nie spuszczał z nich wzroku. Wiedziała, że nie lubi on mieć do czynienia z policją, ale nigdy nie pytała dlaczego. Zdecydowała się zrobić to teraz, zdając sobie sprawę z tego, że złość skupi się na niej.

— Nie lubię ludzi, którym nie mogę zaufać — wyjaśnił. — Jest zbyt wielu przekupnych glin, zwłaszcza w Stanach, a najbardziej wkurza mnie fakt, że nie chronią oni obywateli, którzy płacą im pensję tylko kryminalistów, którzy płacą im łapówki.

— To mniejszość.

— Naprawdę? Dopóki nikt nie zrobi z tym porządku, będę traktował ich jak kryminalistów.

Dwóch policjantów weszło do wagonu i Graham obserwował jak podchodzą wolno do siedzącej do nich tyłem Sabriny.

— Sabrina Cassidy? — spytał policjant noszący naszywki sierżanta i porównując jej twarz z trzymanym w ręku rysunkiem.

— Tak — odparła ostrożnie.

— Mam nakaz aresztowania pani — sierżant mówił wolno, z silnym włoskim akcentem. — Czy uda się pani z nami dobrowolnie?

— Gdzie masz ten nakaz? — warknął Graham.

— Mike, proszę — Sabrina spojrzała nań błagalnie i zwróciła się do sierżanta. — Pod jakim zarzutem?

— Morderstwa — zapytany wyjął z kieszeni nakaz i rozłożył go. — Morderstwa popełnionego we Fryburgu na osobie Kurta Rauffa. Zostanie pani deportowana do Szwajcarii i stanie przed tamtejszym sądem. Czy pan podróżuje z panną Cassidy?

To ostatnie pytanie skierowane było do Grahama, który znał doskonale tryb postępowania w takich przypadkach, gdyż był on jasno sprecyzowany przez regulamin UNACO:

“Sukces wykonywanego zadania musi być zawsze uważany za ważniejszy od losu, jaki spotka agenta w czasie wykonywania tego zadania”.

— Nie — odparł potrząsając głową. Spotkaliśmy się wczoraj w pociągu. Nasze przedziały sąsiadują ze sobą.

— Chciałbym zobaczyć pański paszport — powiedział sierżant.

Sierżant towarzyszył Sabrinie, zaś jego towarzysz wszedł do środka z Grahamem, który po dłuższych poszukiwaniach wyciągnął z torby paszport. Młody policjant prawie wyrwał mu go z dłoni, otwierając natychmiast, ale zdjęcie wyraźnie go zawiodło — przedstawiało bowiem Grahama.

— Mi — kle Green — wysylabizował.

— Michael, na litość boską! — zdenerwował się Graham.

Policjant odsunął go na bok i przeszukał zawartość obu toreb. Najwyraźniej był zawiedziony, gdyż nie znalazł w nich nic groźniejszego od brzytwy. Licznik Geigera był w szafie, a klucz Mike miał w kieszeni. Policjant co prawda zerknął w stronę szafy, ale zostawił ją w spokoju. Gdy wychodził,

Mike był wdzięczny, że beretta była tak płaskim pistoletem i wypukłość pod lewą pachą jego marynarki uszła najwyraźniej uwadze policjantów. Gdyby zdecydowali się go zrewidować...

Kiedy otworzył drzwi do jej przedziału, Sabrina miała już nałożone kajdanki, zaś sierżant umieszczał właśnie w plastikowym woreczku jej pistolet. Odebrał paszport Grahama i przejrzał go starannie, po czym włożył go do kieszeni.

— Co to ma znaczyć? — zdenerwował się Mike.

— Może pan do woli podróżować po Włoszech, ale o tym, kiedy pan stąd wyjedzie zadecydują władze.

— I pomyśleć, że wydawało mi się, iż faszyzm umarł wraz z Mussolinim — warknął Mike. — Mam nadzieję, że panna Cassidy będzie miała prawo do zwyczajowego telefonu, który wykonuje podejrzany w każdym cywilizowanym systemie prawnym?

— Będzie mogła zadzwonić.

— Czy potrzebuje pani czegoś? — pytanie skierował do Sabriny ignorując policjantów.

— Piłki do metalu — mruknęła. — Proszę się nie martwić, będę wolna jak tylko skontaktuję się z odpowiednimi władzami.

Graham zdjął jej płaszcz z wieszaka i zarzucił jej na ramiona, ukrywając jednocześnie kajdanki przed oczami gapiów.

— Dzięki — powiedziała łagodnie.

— Gdzie się pan zatrzyma w Rzymie? — spytał sierżant. — Nie mam sprecyzowanych planów, a bez paszportu nie przyjmą mnie w żadnym porządnym hotelu.

— Proszę się zameldować na komendzie, jak tylko dojedzie pan do Rzymu. Do tego czasu szwajcarska policja będzie wiedziała czy potrzebuje pana zeznań, czy też nie. Wówczas zwrócimy pana paszport.

Młody policjant wziął torby Sabriny i zniknął na korytarzu, zaś sierżant ujął ją pod ramię i wyprowadził z przedziału. Graham opadł na fotel i przetarł oczy.

Sabrina obejrzała się wysiadając z pociągu. Hendrique stał przy jednym z okien w wagonie restauracyjnym, obserwując ją z prawdziwym zadowoleniem.

Był to jej debiut w roli przesłuchiwanej. Podobnie zresztą jej debiutem były odwiedziny w pokoju przesłuchań. To, co zobaczyła we Fryburgu odbiegało znacznie od hollywoodzkiego wyobrażenia o czterech bielonych ścianach, drewnianym stole i parze krzeseł stojących na betonowej podłodze,

oświetlonych pojedynczą, nagą żarówką dyndającą z sufitu. Ściany miały kremową barwę harmonizującą ze średniej grubości dywanem, na którym stało biurko i dwa, nawet dość wygodne fotele. Pomieszczenie oświetlała para jarzeniówek, a piecyk stojący pod jedną ze ścian dawał więcej ciepła, niż ten, który był zainstalowany w jej przedziale.

Odmówiła odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania w helikopterze, a pierwszą rzeczą, jaką tu zrobiła, był telefon do Philpota. Zgodnie z jego poleceniem dalej milczała jak zaklęta, przez co nie byli w stanie zebrać żadnych poszlak z jej zeznań. Frosser spędził z nią frustrujące pół godziny, uzyskując jako jedyną odpowiedź na lawinę swoich pytań "Ja", gdy spytał czy rozumie po niemiecku. On sam nie znał angielskiego. Sabrina prawie mu współczuła — był

najwyraźniej dobrym i oddanym zawodowi policjantem, który wplątał się w coś, co przerastało go i to co najmniej o głowę. Miał przeciwko niej wystarczającą ilość dowodów i to wraz z pistoletem, a nie miał zielonego pojęcia o motywie. W dodatku cała sprawa była niezłym testem dla Philpota — pierwszy raz agent UNACO został zatrzymany pod zarzutem morderstwa w Europie.

Dwa lata wcześniej zdarzyło się to co prawda w Maroku, gdy spartolono robotę zabijając chińskiego podwójnego agenta i policja złapała członka UNACO prawie na gorącym uczynku. Gdy rozmowy z władzami zakończyły się fiaskiem, Siła Uderzeniowa nr 3, wówczas jeszcze z Rustem, napadła nocą na więzienie i uwolniła nieszczęśnika. Ani jeden Marokańczyk nie odniósł przy tym szwanku (na wyraźne zresztą życzenie Philpota). Teraz jednak sprawa była innej natury — wymagała taktu i dyplomacji, a w dodatku cały czas należało pamiętać o tym, by nie zdradzić istnienia UNACO. W niczym interesie nie leżał proces w pełnym świetle reflektorów prasowych. Jeśli choć jeden dziennikarz zwęszyłby istnienie UNACO...

Drzwi otwarły się wpuszczając Frossera w przekrzywionym krawacie i rozpiętej kamizelce. Policjant rzucił na blat teczkę i siadł z westchnieniem.

— Jedna z kul wyjętych z ciała Rauffa została zidentyfikowana jako pochodząca z pani pistoletu, co stanowi nader silny dowód dla prokuratora. Milczeniem wcale sobie pani nie pomaga.

Sabrina nadal wpatrywała się w ścianę za jego plecami, wobec czego otwarł teczkę i wyjął z niej paszport.

— Laboratorium potwierdza, że jest fałszywy, choć zrobiono go doskonale. Stawia to śledztwo w zupełnie nowym świetle. Nie wierzę dalej, aby było to morderstwo popełnione w afekcie.

Sprawilo jej to ulgę. Sam pomysł, że zgodziła się na spotkanie z kimś takim jak Rauff w opuszczonym magazynie, był denerwujący, ale insynuacje Frossera, co do powodów jej postępowania doprowadziły ją prawie do wybuchu wściekłości.

— Pozostałe kule pochodzą z FNFAL, znalezione w magazynie. Został wytarty do czysta.

Omam się nie odezwała. Zdołała opanować się w ostatniej chwili. Hendrique pomyślał o

wszystkim, nawet o podmienieniu broni.

— Co pani zamierzała powiedzieć? — zaciekał się Frosser.

Znów wpatrzyła się w ścianę.

— Nie doceniałem pani. Gdy panią ujrzałem po raz pierwszy zakwalifikowałem sytuację tak: piękna kobieta, zbrodnia w afekcie. Uwierzyłem nawet, że anonimowe telefony pochodzą od trzeciej strony tego trójkąta. Teraz już tak nie myślę. Pani, Amerykanka z fałszywym paszportem i Rauff, bandzior z koneksjami w kilku najpoważniejszych środowiskach przestępczych Europy... Musiałem być ślepy. To nie zbrodnia w afekcie, to kontakt.

Zdecydowanie wolą tę wersję od poprzedniej, pomimo że Frosser nadal nie miał pewności i strzelał w ciemno.

— To był kontakt, nieprawdaż?

Dokończyła swoją kawę i znów wpatrzyła się martwo w ścianę.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Clausen.

— Wszystko przygotowane, kapitanie — zameldował.

— Proszę za mną, panno Cassidy. — Frosser wstał i podszedł do drzwi.

Przeszła korytarzem, eskortowana przez Frossera z przodu, a Clausena z tyłu. Wiedziała na co się zanoszą od chwili, w której dotarli do drzwi, będących najwyraźniej ich celem. Na tle czarnej kurtyny stało osiem milczących kobiet — rozpoznanie.

Ustawiono ją wraz z innymi i Frosser zniknął w sąsiednim pokoju, pozostawiając sierżanta, by dopilnował reszty.

— Gotowe, kapitanie — zameldował ten, stając po chwili w drzwiach.

Obaj spojrzeli przez jednostronne lustro, ukazujące osiem kobiet, oświetlonych jasnymi reflektorami i stojących w bezruchu.

— Wprowadź pierwszego chłopaka — polecił Frosser. Clausen otworzył wewnętrzne drzwi i policjantka wprowadziła jednego z chłopaków.

— Jesteś Marcel, prawda? — uśmiechnął się do niego Frosser.

Chłopak przytaknął, rozglądając się nerwowo.

— Nie bój się, one nie mogą nas zobaczyć — poprowadził Marcela w stronę tafli szkła. — Chcę,

żebyś dokładnie przyjrzał się tym paniom i powiedział mi, czy widzisz tę, z którą rozmawiałeś w magazynie. Zastanów się i nie śpiesz, mamy czas.

Marcel nie musiał się zastanawiać.

— To ta — wskazał palcem. — Ta najładniejsza.

— Który numer?

— Trzeci.

— Jesteś pewien?

— Tak.

— Dziękuję ci. — Frosser rozwichrzył czuprynę chłopca i dał znak Clausenowi.

Miejsce Marcela zajął Jean Paul, który także bez wahania wskazał Sabrinę. Trzecim świadkiem był młodzian o rozwianej czuprynie z kolczykiem w kształcie krucyfiksu.

— Herr Dahn — przedstawił go sierżant.

— To pan dzwonił do nas w sprawie portretu umieszczonego w gazetach?

— Tak. Jestem pewien, że widziałem tę kobietę rozmawiającą z Dieterem w dniu poprzedzającym jego śmierć.

— Chodzi o Dietera Teufela? Pracowaliście razem na stacji w Lozannie, tak?

— Można tak powiedzieć, choć mieliśmy przeważnie różne zmiany. Akurat tego ranka byliśmy razem.

— Proszę przyjrzeć się tym paniom i powiedzieć, czy ona tam jest.

— Jest — Dahn także się nie wahał. — Stoi pod numerem trzecim.

— Jest pan tego rzeczywiście pewien?

— A czy pan by zapomniał taką babkę?! Była tam z mężczyzną, ale nie pamiętam jak wyglądał. Prawdę mówiąc nie zwracałem na niego zbytniej uwagi.

— Wie pan o czym rozmawiali? — zainteresował się Frosser.

— Dieter mówił, że pytała o czas i sposoby rozładowywania składów, ale jak go znam, to pewnie próbował ją zbajerować przez większość czasu.

— Potem już jej pan nie widział?

— Nie.

— Dziękuję za pomoc.

Clausen otworzył drzwi i Dahn niechętnie odszedł od okna i wyszedł z pokoju.

Rozpoznanie zakończono, po czym obaj policjanci odprowadzili Sabrinę do pokoju przesłuchań.

— Oskarżenie przeciwko pani umacnia się z każdą chwilą — poinformował ją Frosser, gdy usiadła. — Została pani zidentyfikowana przez dwóch świadków, jako osoba przebywająca w magazynie tuż po śmierci Rauffa. Czy nazwisko Dieter Teufel mówi coś pani?

Gdyby był mniej doświadczonym policjantem nie zauważyłby sekundowego drgnięcia jej oczu, gdy podświadomie zareagowała na znane nazwisko. Dla niego było to równoznaczne z przyznaniem się.

— Został zabity przez pociąg następnego dnia po rozmowie z panią. Zostało to zaklasyfikowane jako wypadek, ale teraz nie jestem tego taki pewien. Może ktoś go popchnął? — pozwolił, by to pytanie zawisło w powietrzu, sam pilnie zajmując się przykręcaniem grzejnika. — Mam wystarczające dowody, by postawić panią w stan oskarżenia, ale nadal pozostaje zbyt wiele niejasności. Zamierzam wnieść prośbę do policji w Lozannie o ponowne otwarcie śledztwa w sprawie śmierci Teufela. Jeśli uda mi się postawić pani zarzut drugiego morderstwa, dostanie pani dożywocie. Proszę mi wierzyć, ja nie żartuję.

Po raz pierwszy od chwili aresztowania poczuła zdenerwowanie — jeśli stanie przed sądem, oficjalnie oskarżona, to mają dość dowodów, by skazać ją w najlepszym przypadku za postrzelenie Rauffa, gdyż znaleziono przy niej berettę, z której strzelała. Już coś takiego niezmiernie utrudniałoby Philpotowi zadanie, a gdyby dodatkowo Frosserowi udało się zasiać u sędziów podejrzenie, że była jakoś wplątana w śmierć Teufela (było fizyczną niemożliwością oskarżenie jej o bezpośredni udział), to wraz z poszlakami wskazującymi na FNFAŁ mogło nastroić ławę przysięgłych przeciw niej. A to mogło oznaczać tylko jedno: morderstwo zamiast prób y morderstwa... Gdyby sprawy zaszły do momentu oskarżenia o mord, Philpot stanąłby przed prawie nierozwiązywalnym zadaniem. Skazanie oznaczało więzienie tak ściśle strzeżone, że nieosiągalne nawet dla UNACO.

Pozostała więc jedynie nadzieja, że Philpot chował, starym zwyczajem, parę asów w rękawie.

— Komisarz prosi, pułkowniku Philpot — zgrabna blondynka wyłączyła interkom i uniosła głowę znad biurka.

Philpot wsparł się na lasce solidnie wbitej w gruby dywan i wstał z fotela, dziękując sekretarce skinieniem głowy. Gdy otworzył drzwi do gabinetu, gospodarz odwrócił się od gazowego kominka i ruszył ku niemu z wyciągniętą ręką. Reinhardt Kuhlmann miał sześćdziesiąt lat, śnieżnobiałą grzywę

włosów zaczesaną do tyłu i twarz pokrytą zmarszczkami — efekt szesnastoletniego piastowania funkcji szefa szwajcarskiej policji.

— Przestań się wygłupiać — sapnął na widok pomocnej dłoni przybyły — to tylko sztywna noga.

— Ostatnim razem tak nie kulałeś.

— Bo to było Miami w środku lata, a nie te przekłete góry w środku zimy. Mróz ją usztywnia i powoduje to całe zamieszanie — wyjaśnił Amerykanin, siadając we wskazanym fotelu.

— Kawy?

— Jeśli masz resztki tego Hennessey'a, który miałeś ostatnio, to wolę koniak od kawy.

— Masz doskonałą pamięć, zwłaszcza że ostatni raz byłeś tu półtora roku temu — uśmiechnął się gospodarz.

— Niektóre przeżycia warte są zapamiętania. Ten trunek jest jednym z nich.

— Przypominasz mi tego faceta, który czyta reklamy w telewizji — Kuhlmann nalał bursztynowy trunek do koniakówki.

— A ty?

— Lekarz zabronił.

— Co ci jest? — na twarzy Philpota pojawiło się autentyczne zaskoczenie.

— Wrzody — zapytany machnął lekceważąco ręką.

— Zameczasz sam siebie.

— Ładnie to brzmi w twoim wykonaniu.

— Dlaczego nie pójdziesz na emeryturę, jak każdy normalny człowiek? Masz wspaniałą żonę, nie mówiąc o dwóch synach i ich rodzinach. Wiem, że wszyscy woleliby cię częściej, niż tylko przelotem, widywać w domu.

— Żaden z nas, Malcolm, nie jest typem emeryta i ty doskonale o tym wiesz. Jak Marlene?

— Rozwiedliśmy się na początku tego roku — Philpot wpatrzył się w napój.

— Przykro mi, stary. To była dobra kobieta.

— Nie będę przeczył. Była doskonałym środkiem kojącym po tym całym zamieszaniu z Carole.

Przynajmniej ten rozwód odbył się bez żadnych scen w sądzie. Nadal jesteśmy dobrymi przyjaciółmi.

— To najważniejsze — Kuhlmann usiadł wygodniej i wyciągnął nogi w stronę kominka. — Dokonałem wstępnego rozpoznania sprawy tej twojej agentki. To nie będzie łatwe, Malcolm.

— To znaczy? — Philpot odstawił kieliszek na pobliski stół.

— Znaczy to, że nie da się odstąpić od zarzutów, co byłoby najprostsze. Nie dość, że sprawę prowadzi jeden z najlepszych i najbardziej upartych policjantów w tym kraju, to jeszcze zainteresowała się wszystkim lokalna prasa, a to dzięki temu, że panią wygląda jak gwiazda filmowa. Biorąc całość do kupy, jest to doskonały materiał na pierwszą stronę.

— Nie wyobrażaj sobie, że poświęcę jednego z najlepszych współpracowników, by usatysfakcjonować brukowce wychodzące w tym kraju.

— Zabiła człowieka...

— Zraniła go, dobił go jego wspólnik.

— Nazwijmy to, że strzelała do niego i to z dobrym skutkiem. To jest Szwajcaria.

— Celował do niej z broni automatycznej, to co miała robić? Poprosić go ładnie, żeby przestał? Zwłaszcza, że najpierw ostrzelano wagon, w którym była. Wszystko znów sprowadza się do starej prawdy: byłeś od samego początku przeciw powstaniu UNACO.

— Byłem przeciw obcokrajowcom bawiącym się w strzelaninę w moim kraju — zdenerwował się komisarz.

— Jasne, rozumiem. Mimo wszystko, twoi ukochani bankierzy nie potrzebują broni, żeby wyciągnąć forsy od ludzi, zwłaszcza, jak jest brudna.

Kuhlmann uniósł ręce.

— To nas nigdzie nie zaprowadzi. Musisz zrozumieć moją pozycję. Nie mogę machnąć różdżką i wydostać ją na wolność. Zgoda, mogę po ciężkiej awanturze zmusić Frossera do zamknięcia śledztwa i odstąpienia od aktu oskarżenia. A co mam powiedzieć opinii publicznej? Jest za dużo dowodów przeciwko niej. Dziennikarze rzucają się na mnie i na policję, jak zgłodniałe sępy na świeże ścierwo. Mam związane ręce, Malcolm.

Philpot ostentacyjnie spojrzął na zegarek.

— Jest trzecia po południu. Byłoby dobrze, gdyby załatwił to do szóstej.

Kuhlmann aż poderwało z wściekłości.

— To groźba?

— Jeśli czujesz się zagrożony... ? Jesteś szefem policji w tym kraju, Reinhardt. Użyj władzy, którą masz do dyspozycji.

— To Szwajcaria, nie Rosja! Frosser miał pełne prawo aresztować ją pod zarzutem usiłowania zabójstwa. Nie mogę anulować tego bez poważnych podstaw, a chyba nie chcesz żebym go poinformował o UNACO, co?

Zapytany wypił łyk koniaku, rozkoszując się jego smakiem i czując, jak rozgrzewa mu najpierw przełyk, a potem wnętrzności.

— Widzę, że zmuszasz mnie do działania, którego chciałem uniknąć — odparł. — Jak wiesz, jestem odpowiedzialny tylko przed sekretarzem generalnym ONZ. Jeśli I i ja nie dojdziemy do szóstej do sensownego porozumienia to zamierzam zadzwonić do niego i poprosić o osobistą interwencję w tej sprawie i prawdę mówiąc, wątpię, żeby zwracał sobie głowę waszym ambasadorem przy ONZ. Ja go znam, to zadzwoni prosto do waszego prezydenta i przypomni mu, że Szwajcaria jest jednym z sygnatariuszy Kartki UNACO. Co więcej, kiedy to zadanie zostanie zakończone to szczegółowe raporty o jego przebiegu zostaną przesłane szefom państw, na terenie których działali moi ludzie, jak je to zresztą w zwyczaju. To obejmuje także waszego prezydenta, a raporty piszę ja. Chyba nie muszę mówić, że mogę ulec pokusie opisanego braku skuteczności szwajcarskiej policji jeśli jedna z moich agentek będzie gnęła w waszym kryminale tylko dlatego, że strzelała w obronę własnej do znanego przestępcy, trzymającego gotową do strzału broń automatyczną, z której zrobił już przeciwko niej użytek. Od ciebie zależy, czy pokusa ta zostanie zrealizowana.

Kuhlmann podszedł do okna i spojrzał na rozległą panoramę (biuro znajdowało się na szóstym piętrze), obejmującą Bahnhof Strasse, finansową metropolię Zurichu i rzekę Limmat, przepływającą przez serce miasta.

— Zastraszenie, szantaż, groźby, że nie wspomnę o wyraźnej ochocie aby naginać prawo do własnych celów — w jego głosie brzmiała gorycz. — Jesteś taki sam, jak ci kryminaliści, których UNACO ma zwalczać.

— Nie dobrowolnie, Reinhardt, ale to jedyny skuteczny sposób zwalczania tego nowego pokolenia przestępców. To ich własne metody. Przykro mi, że muszę ich używać, a zwłaszcza, że musiałem tu i teraz, ale moi ludzie są dla mnie czymś więcej niż tylko współpracownikami. Marlene mawiała, że kocham UNACO bardziej niż ją, i prawie miała rację. Tyle, że nie organizację darzę tym uczuciem, a ludzi, którzy w niej są, a zwłaszcza agentów z Sił Uderzeniowych. Są dla mnie jak rodzina. Widzisz, Sabrina jest uosobieniem córki, którą chciałbym mieć, a teraz jest w kłopotach... Sam rozumiesz, że zrobię co tylko się da, aby jej pomóc i zapewnić bezpieczeństwo.

— Nawet jeśli oznacza to poświęcenie naszej przyjaźni? Philpot wstał i sięgnął po laskę.

— Zadzwoń o szóstej — powiedział.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Naprawdę? — odparł, zamykając za sobą drzwi.

Rozdział ósmy

Kiedy wjechali na stację w Mediolanie, Graham musiał dokładnie przyjrzeć się stojącemu na peronie księdzu, by go rozpoznać. Kolczyński trzymał w jednym ręku Biblię, w drugim zaś wysłużoną teczkę podróżną i był w tej roli doskonały. Grzecznie poczekał aż wszyscy wysiądą i wsiądą i dopiero na samym końcu dostał się do wagonu, kierując się wprost do przedziału zajętego poprzednio przez Sabrinę. Drzwi były zamknięte, firanki zasłonięte. Wyglądało na to, że ktoś zajął go ponownie, wobec czego otworzył drzwi do sąsiedniego. Stanie w korytarzu, gdzie w tę i z powrotem przepychali się ludzie, nie należało do rzeczy przyjemnych.

— Czy to miejsce jest wolne? — spytał.

— Proszę, niech ksiądz wejdzie — uśmiechnął się Mike. — Nie zapomniałeś przypadkiem pastorału? Ksiądz zerknął do tyłu i zamknął drzwi.

— Obejdzie się bez złośliwości — sapnął. — Miałem nadzieję dostać się do przedziału obok, ale ktoś mnie uprzedził.

— I owszem. Pomyślałem po prostu, że może się przydać — Graham podał mu klucz. — Gdyby to był film, stwierdziłbym, że wyglądasz na nawróconego. Ksiądz z KGB.

— Ex-KGB — poprawił go Kolczyński.

— A co się stanie, jak będziesz musiał kogoś pobłogosławić? Włosi to pobożny naród. Pobłogosławię. Rola księdza była moją najczęstszą przykrywką w KGB i dlatego przygotowano mnie na rozmaite niespodzianki.

— Patrzcie państwo, kto by to pomyślał — mruknął Graham poważniejąc nagle. — Co z Sabriną?

Rosjanin przekazał mu najświeższe wiadomości, włącznie z ultimatum Philpota.

— A jeśli Kuhlmann się nie ugnie?

— Sekretarz generalny może wyrzucić presję na prezydenta, by go do tego zmusił, ale nie sądzę, żeby do tego doszło. On jest zawodowcem i to dobrym. Dlatego najdłużej w Europie jest szefem policji. Teraz jest po prostu w kropce: jak ją uwolnić, żeby nie znaleźć się na dziennikarskiej strzelnicy.

Graham nagle zeszywniał widząc w oknie znajomą twarz.

— Co on tu robi, do cholery? — warknął.

— Kto?

— Policjant, który aresztował Sabrinę.

— Pistolet i kabura — zażądał Kolczyński, wyciągając dłoń.

— Co?

— Dawaj. Należy założyć, że jest tu po to, by się z tobą zobaczyć i brakuje nam tylko tego, żeby znalazł u ciebie broń. Pospiesz się, z łaski swojej.

Broń i kabura zniknęły w czarnej torbie, po czym Kolczyński poinstruował Mike'a:

— Zrób, co ci każe, nawet gdyby oznaczało to towarzyszenie mu na posterunek i serię głupich pytań. Wyciągniemy cię, jak tylko się da, a w międzyczasie ja popilnuję tej parki. — Nawet nie wiesz, jak wyglądają.

— Wiem jak wygląda Werner — Kolczyński otworzył Biblię. — Teraz nie znamy się.

Gdy sierżant zastukał do drzwi uniósł głowę i gestem zaprosił go do środka. Policjant dotknął czapki.

— Przepraszam księdza, że przeszkadzam. Proszę sobie nie przeszkadzać w lekturze. Przybyłem, by zobaczyć się z tym panem — wskazał Grahama.

— O co chodzi? — warknął Mike.

— Czy byłby pan uprzejmy wstać?

Gdy Mike ta zrobił, został błyskawicznie, ale dokładnie zrewidowany, po czym zakuty w kajdanki. Towarzyszący sierżantowi policjant złapał dwie torby stojące na półce na bagaż i wyszedł.

— Czy możesz mi powiedzieć, do cholery, co to wszystko znaczy?

— Jest pan aresztowany pod zarzutem współudziału w morderstwie. Oficjalne zarzuty postawi panu szwajcarska policja.

— Morderstwo? — Kolczyński zamknął Biblię.

— Nich ksiądz będzie spokojny. To sprawa policji i damy sobie doskonale z tym radę.

Graham został wyprowadzony z wagonu przez sierżanta, trzymającego go za ramię, a para mundurowych torowała im drogę wśród gapiów zebranych na peronie, zwabionych przybyciem tam policyjnego wozu. Gdy podchodzili do niego, tłum z prawej rozstąpił się, przepuszczając białe alfa romeo, które zatrzymało się o parę stóp od nich. Kierowca wysiadł, a na jego widok sierżant wyprężył się słuźbiście. Mężczyzna wziął go na bok i powiedział coś na ucho, w efekcie czego, sierżant wręczył mu kluczyk od kajdanek.

— Panie Green, jestem porucznik De Sira z Sekcji Zabójstw policji w Mediolanie — przedstawił się, otwierając jednocześnie kajdanki. — Obawiam się, że zaszło nieporozumienie i pomyłono pana z kimś innym. Proszę przyjąć przeprosiny za to, co się stało. Tymi, którzy spowodowali to zamieszanie, zajmę się osobiście. Jeszcze raz przepraszam. Oto pański paszport, a jeśli chce pan sprawie nadać dalszy bieg, to zna pan moje nazwisko.

Tłum rozproszył się, widząc co się dzieje, toteż Graham dotarł do wagonu bez przeszkód i zbędnych tłumaczeń.

— Co to do cholery, znaczy? — zdenerwował się, zamykając za sobą drzwi przedziału. Kolczyński podał mu broń.

— Powiedziałbym, że komisarz Kuhlmann doszedł do jedynie słusznych wniosków.

Gdy pociąg ruszył, obrócili się do okna i żaden z nich nie zauważył przechodzącego korytarzem Wenera.

Gdy Stefan dotarł do swego przedziału w sąsiednim wagonie stwierdził, że drzwi są zamknięte, a okna zasłonięte. Zastukał wściekle i niewidzialna dłoń rozsunięła na moment zasłony, a po sekundzie drzwi stanęły otworem. Hendrique siedział na jednym z foteli i metodycznie czyścił szmatką pistolet, zaś Kyle, widząc Wenera, nie bardzo wiedział, co ma ze sobą robić.

— Czy teraz potrzebuję zezwolenia, aby wejść do własnego przedziału? — warknął ten ostatni.

— Eddie, zostaw nas samych. Pogadamy później — rzucił Hendrique, nie podnosząc głowy.

Werner zamknął za nim drzwi, po czym usiadł naprzeciw Hendrique'a.

— Od kiedy to mój przedział awansował na miejsce spotkań dla ciebie i twoich pomagierów?

— Nie awansował — Hendrique zaczął prawie z uczuciem czyścić zamek. — Eddie po prostu przyszedł zapytać, czy widziałem co się stało na peronie.

— A widziałeś?

— Nie.

— Taak... czyszczenie gnata to zajmujące zajęcie — mruknął Warner.

— Rozmowa z Beninem przez telefon jest bardziej zajmująca.

— Co generał ci powiedział?

— Zidentyfikowano naszych przyjaciół. Niebieskooki to ex-Delta, Mike Graham, a ona nazywa się Carver, nie Cassidy.

— Jasne — ucieszył się Werner. — Sabrina Carver. Coś mi cały czas nie pasowało w tym nazwisku. Jej ojciec, George, był kiedyś ambasadorem USA.

— Ten w Monachium używa własnego nazwiska — Whitlock. Pracują jako zespół dla UNACO.

— UNACO? Zawsze sądziłem, że to bajka.

— Podobnie jak reszta świata. Wygląda na to, że zadali sobie wiele trudu, by pozacierać ślady.

— Więc skąd Benin się o nich dowiedział?

— Departament V ma swoje metody — uśmiechnął się Hendrique — i przeważnie dowiaduje się tego, czego chce się dowiedzieć.

— Co polecił nam zrobić?

— Kontynuować misję. Pozbyliśmy się już dziewczyny, Whitlockiem zajmą się w zakładach. Pozostał jedynie Graham, a mam już coś upatrzonego dla niego.

— Zabicie go ściągnie nam władze na kark — Werner obserwował, jak Hendrique składa broń.

— A kto mówi, żeby go zabić? Wrobimy go, jak dziewczynę.

— Słyszałeś, co się stało na stacji. To nie była pomyłka, a rozkazy, by go uwolnić. Musiały nadejść z samej góry. Policja będzie się trzymała od niego z daleka.

— Jeśli nie naruszy prawa. Jak sądzisz, dlaczego tak łatwo poszło z dziewczyną? Złamała prawo i UNACO nie może jej uwolnić nie zdradzając świata swojego istnienia, a to możemy wykorzystać ponownie. Tylko tym razem ofiarą będzie zupełnie niewinny Włoch. To wystarczy, aby wzbudzić oburzenie w kraju, a władze będą musiały oskarżyć go o morderstwo.

— To ich nie powstrzyma od wysłania następnych agentów.

— Nie, ale to on jest naszym bezpośrednim zmartwieniem, a jak mawiał mój instruktor w Bałaszyce: "Wystarczy, byś wyprzedził przeciwnika o krok, żebyś wygrał". Jak będziemy mieć

Grahama z głowy, będziemy nie o krok, ale o parę kroków w przodzie. Zanim przygotują i wyślą nowych agentów, po nas nie będzie już śladu.

— A jeśli twój plan się nie powiedzie?

— To pan będzie mógł wyjąć swego asa — Hendrique wskazał na walizeczkę przykutą za uchwyt. do półki na bagaż. Werner przełknął nerwowo ślinę.

— Co, czyżby odezwał się zdrowy rozsądek? — zdziwił się Hendrique.

— Zrobię, co będzie konieczne, by zapewnić sukces tej operacji — oświadczył zdecydowanie Werner.

— Człowiek gotowy umrzeć za swe przekonania. Wzruszający gest... i głupi.

— A za co ty byłbyś gotów umrzeć? Za pieniądze?

— Pieniądze ważne są dla żywych — zapytany wsunął magazynek w kolbę. — Im większe, tym to życie jest lepsze. Na co pieniądze, czy przekonania, nieboszczykowi?

— Moja korporacja jest szacunkowo warta czterysta milionów funtów. Sądzisz, że te pieniądze uprzyjemniły mi życie? Żyję powodowany celem, który dał mi marksizm.

Hendrique wstał chowając broń do kabury.

— Teraz rozumiem. Przy takich przekonaniach trudno o lepsze pupilka dla Benina.

— Jak zamierzasz załatwić Grahama?

— Zamierzam załatwić dwie sprawy jednym ruchem. Potem podam panu detale. Teraz chcę, żeby znalazł się pan w jakimś często odwiedzanym miejscu: w barze, w wagonie restauracyjnym, nieważne gdzie, byle tylko sporo ludzi widziało tam pana.

— Po co?

— Alibi. Nie może być najmniejszych podejrzeń w stosunku do pana, jeśli chodzi o to morderstwo.

Hendrique poczekał aż Werner wyjdzie, po czym ruszył na poszukiwanie konduktora. Znalazł go w wąskim i zaśmieconym przedziale na końcu wagonu i odmówił kawy, czego sobie w duchu gratulował, widząc podejrzenie mętny płyn jaki tamten wlał do wyszczerbionego kubka. Przypominało to na pierwszy rzut oka melasę. W pierwszym odruchu konduktor nie chciał mieć nic wspólnego z planem, jaki Hendrique mu przedstawił, ale widok 250 tysięcy lirów cudownie i niespodziewanie sprowadził nań zdrowy rozsądek i opamiętanie. Zasugerował nawet parę poprawek,

aby wszystko sprawniej poszło, które z uwagi na znajomość terenu i zwyczajów kolejowych przyjęte zostały bez protestu. Uzgodnili ostateczną wersję, po czym konduktor schował gotówkę do kieszeni i wyszedł, zaś Hendrique zmuszony jeszcze chwilę poczekać, rozejrzał się po przedziale. Wpadł mu w oko zatłuszczony magazyn porno włoskiego wyrobu, czytany prawie do granic wytrzymałości papieru. Panienska z rozkładówki przypominała mu coś, o czym dawno chciał zapomnieć — jego żonę.

Spotkał ją wkrótce po ukończeniu szkolenia w Rosji — w 1973 roku. Była jedną z tancerek w upiornym kabarecie w Casablance, będącym bardziej meliną i burdelem niż lokalem rozrywkowym, w którym żarcie było podłe, a wódka jeszcze gorsza, tyle że tania. Pobrali się miesiąc później. Facet, który zjawił się zaraz po ceremonii, wydał mu się w pierwszym momencie jej przyjacielem, toteż jak policzek odebrał prawdę — był to jej alfons. Stłukł go do nieprzytomności, a ją zostawił, i to pomimo płaczących zapewnień, że skończyła już z tym fachem. Tego samego dnia wyjechał i nigdy już jej nie widział.

Wyrwał rozkładówkę i rzucił gazetę w kąt, po czym podarł zdjęcie na strzępy. Gdy się uspokoił, ruszył nie śpiesząc się do przedziału. Minał akurat odpowiedni okres czasu. Konduktor klęczał przy otwartym włocie wywietrznika. Widząc go skinął głową i zamknął kratkę. Hendrique zdjął kartkę "Nieczynne" z drzwi ubikacji i zamknął się wewnątrz. Ledwie zdążył, gdy z wentylatora wyostały się pierwsze smugi dymu, w ciągu sekund zmieniając się w gęsty, czarny dym, zalegający przedział i błyskawicznie wypełniający korytarz. Kolejarz czekając na rozwój wydarzeń na drugim końcu wagonu, pośpieszył w dym i pukając kolejno do drzwi przedziałów, zaczął usuwać pasażerów na czas naprawy uszkodzenia do sąsiedniego wagonu. Zapewniał, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, że to po prostu uszkodzenie gdzieś w systemie wentylacyjnym, którego naprawy on dopilnuje osobiście i będą mogli wrócić do przedziałów tak szybko, jak to tylko będzie możliwe. W ciągu trzydziestu sekund wagon był pusty. Zastukał do drzwi toalety i Hendrique pojawił się na korytarzu, ruszając w ślad za konduktorem przez kłęby dymu do zamkniętego przedziału, który poprzednio zajmowała Sabrina. Hendrique zajrzał do sąsiedniego przedziału, ale ten był pusty. Konduktor uniósł ku twarzy pęk kluczy wybierając właściwy, po czym otworzył drzwi. Ledwie weszli do wnętrza, zamknął je za sobą.

— Co chce pan tu znaleźć, signor? — spytał.

— Nic — odparł Hendrique wkładając rękę do kieszeni marynarki.

Zaskoczenie kolejarza zmieniło się w strach, gdy zobaczył w jego dłoni czarno" oksydowany nóż bojowy z pięciocalowym ostrzem. Hendrique wbił go w miękki i wydatny brzuch konduktora, kierując ostrze ku górze. Gdy obserwował drgawki poprzedzające śmierć, na jego ustach gościł sadystyczny uśmiech. Ciało oparło się o szafę, po czym martwe osunęło się na podłogę. Hendrique wyjął nóż i pieniądze, które parę minut temu dał zabitemu, po czym wszedł do sąsiedniego przedziału, by zostawić tam dowody winy. Potem zniknął w wypełniającym korytarz dymie.

W sąsiednim wagonie coś nie dawało Grahamowi spokoju i to od chwili, w której opuścił swój przedział. Nie mógł tylko sobie uzmysłwić, co to było. Gdy spoglądał na dym kłębiący się po

drugiej stronie drzwi, wreszcie go olśniło i złapał Kolczyńskiego za ramię.

— Mówiłem ci, że coś jest nie tak. Słuchaj, jeśli dym wywołała awaria w systemie wentylacyjnym, to oprócz niego powinien być smród spalenizny, prawda?

Zapytany rozsunął lekko drzwi i pociągnął nosem.

— Nie śmierdzi — stwierdził.

— Właśnie.

— Ktoś chciał się pozbyć pasażerów z wagonu...

— Nie będzie nagrody za prawidłową odpowiedź — warknął Mike. — Masz broń?

— Została w torbie — mruknął Kolczyński z żalem.

— Dobra, idę pierwszy — wśliznął się w zadymiony korytarz, mając tuż za sobą Rosjanina.

— Mógł zabezpieczyć drzwi — szepnął ten, gdy dotarli do przedziału.

— Nie w tak krótkim czasie. To metodyczny skurwiel.

Mimo to Graham nie zaryzykował. Przytulając się do ściany dzielącej drzwi dwóch przedziałów otworzył o cal drzwi i przesunął palcami wzdłuż ich krawędzi.

— Gdzie jesteś? — spytał. — Droga wolna.

— Tuż za tobą.

Odsunął drzwi i przyklęknął, penetrując uważnie wnętrze. W ślad za wzrokiem podążała lufa beretty. Kolczyński wszedł za nim i zamknął drzwi, po czym pochylił się i dotknął plamy na chodniku.

— Co to?

— Krew — mruknął wyciągając pistolet z torby.

Graham znalazł kolejną plamę na fotelu i zaciek na ścianie. Dopiero na samym końcu zobaczył nie zapiętą torbę. Nigdy nie zostawiał otwartego bagażu, toteż, po sprawdzeniu czy nie podłączono do niej ładunku wybuchowego, zdjął ją z półki. Jedną z pierwszych rzeczy, jakie w niej znalazł, był zakrwawiony nóż. Bez słowa obaj ruszyli ku wewnętrznym drzwiom prowadzącym do sąsiedniego przedziału. Kolczyński otworzył je, a Graham omal się nie potknął o ciało konduktora. Rosjanin sprawdził puls i potrząsnął głową. Obaj wiedzieli, co muszą zrobić.

— Okno — zaproponował Mike.

— Nawet gdyby się zmieścił, w co wątpię, to nie sądzisz, że w następnych wagonach mogliby się stać nieco podejrzliwi, widząc trupa w kolejarskim uniformie lądującego obok torów? Odpada. — Szafa?

— Za mała.

— Chyba się nam skończyły schowki, a ledwie ten dym się rozwieje, Hendrique albo któryś z jego pomagierów zjawi się tu z jakimś kolejarzem w poszukiwaniu konduktora. Przyznam się, że nie oczekuję z niecierpliwością chwili, gdy będę się tłumaczył, skąd się wzięło ciało i jakim cudem narzędzie mordu zawędrowało do mojej torby.

— Jest jeszcze jedna skrytka. Masz w torbie bandaż. Daj go, a z mojej wyciągnij szwajcarski nóż wojskowy i także mi go podaj.

— Bandaż?

— Przestań zadawać głupie pytania, nie mamy czasu! Mike wrócił z rzeczami, których żądał Rosjanin i zastał go zajętego rozpinaniem kurtki zabitego.

— Po cholereę ci bandaż? Na litość boską, ten facet jest martwy!

— Ale trzeba zatamować krew, bo chyba nie chcemy, żeby zaczęła stąd wyciekać — Kolczyński wskazał płytę zakrywającą powierzchnię między fotelem a podłogą. — Nie wiem, co tam jest ale to nasza jedyna szansa. Użyj noża, by ją podważyć.

Płyta paździerzowa przybita była tuzinem niewielkich gwoździ, które Graham powyciągał, starając się ich nie pokrzywić. Zdawało mu się, że trwa to całą wieczność. W rzeczywistości zajęło mu to dwadzieścia sekund i kosztowało dwa wygięte gwoździe, bez szans na wyprostowanie. Zerknął do wnętrza, którą odsłonił. Była pusta. To, czy trup tam wejdzie, było inną sprawą. Przypomniał sobie o upływie czasu i zerwał się na nogi, spoglądając na korytarz. Dym zaczynał rzednąć.

— Będzie musiało wystarczyć — sapnął Rosjanin, zawiązując bandaż na ciasny węzeł. — Zobaczymy, czy się zmieści.

Okazało się, że niespecjalnie.

— Podwiń mu nogi. To powinno wystarczyć — polecił Kolczyński, wpychając trupa głową naprzód.

Graham zrobił, co mu kazano i nogi faktycznie weszły. Ale nie stopy. Te ostatnie bowiem wystawały na chodnik i nie dało się ich wsadzić na stałe do środka w żaden sposób. Ciągłe wysuwały się na zewnątrz. Kolczyński nasunął płytę przytrzymując je nogą i obcasem powbijał

gwoździe na miejsce.

— Waga nóg wypchnie ją. To tylko październik.

— Jakiś czas wytrzyma. Jak te gwoździe puszcza, to ktoś będzie miał pamiętną podróż.

Kolczyński za pomocą koszuli, na której przedtem położono nóż, pozbiierał, na ile się dało, krew z dywanu, po czym owinał w nią nóż i wsunął do swojej torby. Graham w tym czasie ścierał zacieki ze ściany. Dym rozwiął się do czasu, gdy skończyli, toteż Mike wyruszył w stronę wentylatora, by sprawdzić słusność swych podejrzeń. Wyjęcie kratki osłaniającej i znalezienie pojemnika było dziełem jednej chwili. Dokładnie docisnął kratkę na miejsce i wrócił do przedziału, podając znalezisko Kolczyńskiemu.

— Awaria — mruknął ten, uważnie oglądając pojemnik.

— Zwróć uwagę, kto to wyprodukował.

— Rosenstraat, Amsterdam — odczytał Rosjanin na denku.

— Ojczyzna Hendrique'a.

Rozległo się pukanie do drzwi, toteż Kolczyński Czym prędzej wepchnął znalezisko do torby i otworzył drzwi. Stał w nich młodzian, który przedstawił się jako zastępca konduktora. Rozejrzał się uważnie po przedziale, zanim wszedł do środka, dając jednocześnie znak stojącemu za nim Hendrique'owi, by podążył za nim.

— Przepraszam za najście, ale poproszono mnie, bym wystąpił w roli tłumacza — wyjaśnił ten ostatni. — Ten pan nie zna angielskiego, a przypomniałem sobie, że pan w nocy mówił mi, że nie zna włoskiego — wyjaśnił patrząc na Mike'a. — Nie wiem, jak ojciec... Czy ksiądz mówi po angielsku?

— Po angielsku i po włosku, mój synu.

— Zniknął konduktor, a kilku pasażerów jest pewnych, że widzieli, jak wchodził do przedziału obok, gdy zaczęła się ta awaria. Próbowaliśmy się tam dostać, ale drzwi są zamknięte. Możliwe, że zamknął się by przeczekać dym i uległ zaczadzeniu. Drzwi wewnętrzne z tego przedziału są jedyną drogą i chcielibyśmy z nich skorzystać.

— Wobec tego sprawdźmy — w tonie księdza pojawiły się nutki alarmu.

Odsunął zasuwę i rozsunął drzwi. Wszedł do sąsiedniego przedziału i rozglądając się wokół, całkiem przypadkiem stanął na mokrej jeszcze plamie na chodniku. Kolejarz wsunął głowę do środka, rozejrzał się i wycofał wzruszając ramionami. Hendrique odepchnął go i zamarł wpatrzony w miejsce, w którym zostawił ciało. Gdy po chwili spojrzął na Grahama i Kolczyńskiego, w jego oczach była wściekłość.

— Musiał dojść do siebie — odetchnął z ulgą Kolczyński.

— Pewien jestem, że prędzej czy później się znajdzie — zawtórował mu Mike, nie opuszczając wzroku przed spojrzeniem Hendrique'a.

Ten wyszedł bez słowa, a w ślad za nim ruszył kolejarz, przepaszając jednocześnie za najście. Graham zamknął obie pary drzwi i oznajmił z zawziętością w głosie:

— Gównu mnie obchodzi, co na to powie szef, ale zabiję Hendrique'a, jeśli tylko spróbuje jeszcze czegoś.

— Jak ci cholera przejdzie, to przestaniesz wygadywać głupstwa. Wiesz doskonale, że najważniejsze jest ustalenie miejsca przeznaczenia, do którego zmierza ten pluton. Zabij go, a mamy dużą szansę nie dowiedzieć się tego nigdy.

— Nie mam zamiaru robić za kaczkę na strzelnicy.

— Szef obdarłby mnie żywcem ze skóry jeśliby się dowiedział, że powiedziałem, ale zamierza za dwa miesiące przedstawić sekretarzowi generalnemu wniosek, by przestać cię oceniać regularnie, tak jak to było w czasie ostatniego roku. Uważa, że sprawdziłeś się jako pełnoprawny i godny zaufania członek UNACO. Bądź więc uprzejmy i nie rób głupstw.

Graham westchnął głęboko i siadł.

— Nikt nie oczekuje, że staniesz się celem — wyjaśnił Rosjanin. — Oczywiście, jeśli znajdziesz się w niebezpieczeństwie, musisz się bronić, ale co do psychologicznej strony zagrożenia, to jesteś na tyle silny, żeby je przeczekać.

— Jak Sabrina, co? — warknął Mike. Kolczyński pozostawił to pytanie bez odpowiedzi.

Sabrinę oficjalnie oskarżono o zamordowanie Kurta Rauffa o 4²⁷ po południu. Nie stanowiło to dla niej specjalnego zaskoczenia, ale pomimo świadomości, iż Philpot robi co może, by ją stąd wyciągnąć, nadal czuła się opuszczona, obserwując Frossera wypełniającego formularz postawienia w stan oskarżenia. Nie czuła się taka samotna od owego pechowego zamknięcia w piwnicy pełnej szczurów w dzieciństwie. Brakowało jej znajomej twarzy, czy choćby głosu, który upewniłby ją, że nie została zapomniana.

Gdyby był tu C. W. trzymałby ją za rękę i uspokoił swoim wzbudzającym zaufanie, spokojnym głosem. Pomimo smutku uśmiechnęła się na myśl, iż w tej roli miałyby wystąpić Graham — prędzej potrzywałby rozpalone węgle, a co do sympatii w głosie, to lepiej nie mówić... Mike powiedziałby jej prosto z mostu, żeby przestała się nad sobą rozczulać i wzięła się w garść. Prawdę mówiąc, sama nie wiedziała, którego z nich chciałaby mieć teraz obok.

Tymczasem obok siedział rumiany prawnik z rozwianą resztką włosów na łysinie, wyznaczony

przez policję na jej obrońcę. Jak dotąd jedynym jego działaniem było frustrujące pół godziny sam na sam, w trakcie których próbował ją skłonić do mówienia. Z efektem porównywalnym do osiągnięć policji — Sabrina również w jego obecności wołała kontemplować mur. Prawnik sprawiał wrażenie, że swą obecnością wyświadcza jej wielką uprzejmość i miała szczerą ochotę wyjaśnić mu, co sądzi na ten temat, ale stwierdziła, że szkoda śliny — był jednym z wielu wyskrobków palestry i szkoda było na niego tracić czasu. Wiedziała, że jeśli sprawa faktycznie trafiłaby do sądu. UNACO wynajmie najlepszych adwokatów i to bez względu na koszty. Tylko wtedy zaczęłaby z nimi współpracować.

Tok myśli przerwało jej gwałtowne pukanie do drzwi. Clausen wsadził głowę do gabinetu prosząc szefa o wyjście na chwilę. Spotkało się to ze wściekłym spojrzeniem tegoż, ale posłuchał zamykając za sobą drzwi, pilnowane przez policjantkę odpowiedzialną za Sabrinę. Parę minut później wrócił ściskając w ręku telex i wraz z prawnikiem przedyskutowali coś przyciszonymi głosami.

— Ma pani zostać przetransportowana do Zurichu w celu dalszego śledztwa — poinformował ją ten ostatni, gdy skończyli.

Instynktownie wiedziała, że kryje się za tym Philpot — jeśli mieliby zamiar pytać ją o Teufela, to zabrano by ją do Lozanny, a nie do Zurichu, z którym nie łączyło jej żadne przestępstwo, obojętnie kto i w co chciałby ją wrobić. Wiedziała, że Philpot musi mieć gotowy plan i znacznie ją to podniosło na duchu.

— Proszę pamiętać — Frosser dostrzegł jej uśmiech i pochylił się tak, że tylko ciele dzieliły ich twarze — jadę razem z panią, obojętnie gdzie by to nie było.

Po czym wyszedł.

Wrócił kwadrans później z teczką i jej płaszczem, który rzucił na stół oznajmiając:

— Helikopter przyleciał.

Ledwie zdążyła włożyć płaszcz, gdy zapiął kajdanki wokół jej prawego nadgarstka i swego lewego, po czym poprowadził ku drzwiom, Prawnik pozbierał swoje papiery i ruszył za nim.

Na ten widok Sabrinę wmurowało w podłogę.

— A pan dokąd się wybiera? — warknęła.

— Garbo przemówiła — stwierdził z podziwem Frosser.

— Mam przewodnika — uniosła skutą dłoń — nie potrzebuję drugiego.

— To bardzo poważna... — zaczął adwokat.

— I załatwię ją na swój sposób — przerwała mu. — Jest pan zwolniony.

Prawnik zwrócił się o pomoc do Frossera, ale ten wzruszył tylko ramionami.

— Ma prawo pana zwolnić — wyjaśnił. Adwokat starał się przekonać Sabrinę, ale odwróciła się pociągając Frossera za sobą, wobec tego dał spokój i wyszli.

Policjant objął prowadzenie — najpierw korytarz, potem schody przeciwpożarowe, wreszcie garaż na tyłach komendy. Z garażu wyszli na parking, na środku którego stał helikopter z wyłączonym silnikiem. Pilot apache* (** Błąd merytoryczny autora: Hughes AM 64 Apache jest 2 osobowym helikopterem wsparcia ogniowego. Fizyczną niemożliwością jest, by mógł on zabrać dwie osoby do kabiny pilota (przyp. J. K.)*) pogrążony był w konwersacji z jednym z policjantów, ale na widok zbliżającej się pary obaj zamilkli, przypatrując się Sabine. Policjant pierwszy obudził się z transu, zsalutował Frosserowi i pospieszył do komendy.

Pilot — kapitan Air Police — uśmiechnął się szeroko.

— Niezła randka, Bruno — stwierdził i wskoczył do kabiny.

Frosser wsiadł w ślad za dziewczyną i zamknął za sobą drzwi. Gdy pilot włączył silnik, zapięli pasy. Po chwili obroty osiągnęły potrzebną wielkość i wirnik drgnął. Po paru sekundach unieśli się w powietrze i kierowany delikatnymi ruchami drążka helikopter przeleciał nad komendą, kierując się na północny wschód.

Nad Zurichem zapadał już zmierzch, gdy wylądowali na opuszczonym lotnisku, pięć mil od Międzynarodowego Portu Lotniczego Kloten, gdzie przy jednym z hangarów oczekiwał na nich czarny mercedes. Jego kierowca poczekał aż wirnik znieruchomieje, by podjechać do maszyny po zarośniętym pasie startowym. Drzwi helikoptera otworzyły się i wyskoczył z nich Frosser, ostrożnie trzymając lewą rękę, by nie pociągnąć za sobą Sabriny. Ta zignorowała pomocną dłoń i chwilę później stała obok niego. Kierowca pokazał Frosserowi odznakę i poprowadził ich do wozu. Gdy wsiadali, silnik helikoptera ożył, toteż Bruno pomachał pilotowi. Ruszyli w stronę autostrady przez wojskowe lotnisko, jeszcze parę lat temu tętniące życiem — obecnie był to opuszczony i nikomu niepotrzebny teren.

Choć ruch panował duży, nie było korków i dotarli do Zoll Bridge na przedmieściach w ciągu piętnastu minut. Gdy wjechali w Museumstrasse, kierowca zdał sobie sprawę z tego, że jedzie za nim wóz policyjny, błyskający światłami w jego kierunku. Z początku nie bardzo wiedział, o co chodzi, ale ponieważ sygnały świetlne nie ustawały, zjechał na bok przy Muzeum Narodowym.

— Co się dzieje? — zaniepokoił się Frosser.

— Nie wiem, kapitanie — odparł kierowca, pokazując przez szybę odznakę dwóm umundurowanym policjantom, którzy podeszli do samochodu.

Jeden z nich zerknął na odznakę i gestem kazał opuścić szybę. Kierowca zaklął pod nosem, ale

wykonał polecenie.

— Wieziemy więźnia na komisariat Bahnhofstrasse. O co chodzi? — spytał.

— Byłby pan uprzejmy wysiąść?

— Po co?

— Chcielibyśmy zajrzeć do bagażnika.

— Dlaczego? — wtrącił się Frosser pochylając do przodu. — To samochód policyjny...

— Wiem, kapitanie, ale takie mamy rozkazy.

— Niech pan otworzy, bo będziemy tu stali cały dzień — zdecydował Frosser, opadając na siedzenie.

Kierowca zdążył wysiąść, gdy sprawne dłonie obróciły go wokół, rozplaszczając twarz na szybie tylnych drzwi.

— Co jest, do jasnej cholery? — zdenerwował się, ale próba obrócenia zakończyła się solidnym pchnięciem, po czym wykręcono mu ręce i zatrzaśnięto kajdanki.

Z przodu zahamował z piskiem drugi wóz policyjny, wypuszczając z wnętrza dwóch następnych mundurów. Jeden miał stopień porucznika.

— Kapitan Frosser? — spytał podchodząc. — Jestem porucznik D'Angelo.

— Co tu się dzieje, poruczniku? — Frosser był mocno ogłupiały.

— To jeden z jej współników, kapitanie.

— Co ty bredzisz? — zdenerwował się kierowca. — Jestem z Sekcji Zabójstw policji w Zurichu. Kapitan widział moją legitymację.

— Zabraną prawdziwemu detektywowi — dodał porucznik.

— Jest tam moje zdjęcie! Sprawdźcie, jeśli chcecie.

— Alarm ogłoszono kwadrans temu — wyjaśnił porucznik, ignorując go — kiedy znaleziono nieprzytomnego detektywa. Na szczęście zdążyliśmy na czas.

— Kapitanie, nie wiem, kim są ci ludzie, ale muszą być w zмовie z pańskim więźniem — kierowca bezskutecznie szarpał kajdanki.

— Jest sposób, by to sprawdzić. Otrzymał pan telex z Zurichu dziś po południu, prawda, kapitanie?
— spytał D'Angelo.

— Tak — odparł z wahaniem Frosser.

— Wiem, kto go wysłał — porucznik odwrócił się do kierowcy. — A ty, wiesz?

— Nie, ale...

— Wysłany został przez komisarza i tylko do pańskiej wiadomości, kapitanie, prawda?

Frosser przytaknął.

— Komisarz podał tę informację, ogłaszając alarm, gdyż nikt poza wami dwoma o niej uprzednio nie wiedział. Czekaj, aby się pan z nim połączył przez radio.

— Kapitanie, to pułapka — jęknął kierowca.

— Telex został wysłany z biura komisarza. Gdyby mi o tym nie powiedział, to skąd miałbym tę informację? — spytał uprzejmie oficer.

— Wierzę panu — zdecydował Frosser.

— Kapitanie, to...

— Zamknąć go pod zarzutem napaści na funkcjonariusza — przerwał mu porucznik, otwierając drzwi.

Rzucającego się wściekle i wykrzykującego niezrozumiale szofera odprowadzono do pierwszego wozu policyjnego, a Frosser z Sabriną, w towarzystwie porucznika, ruszyli do jego samochodu.

— Cieszę się, że pan zdążył. Mogłem znaleźć się w niezłych tarapatkach.

— Dlatego komisarz osobiście interweniował, kapitanie. Mamy do czynienia z zawodowcami.

Frosser spojrzał wilkiem na Sabrinę wsiadającą do samochodu.

— Coś o tym wiem.

— Proszę się połączyć — porucznik wskazał radio.

Frosser wsiadł sięgając po mikrofon. Nie zauważył, że policjanci stanęli przy zewnętrznych oknach tak, by zasłonić to, co dzieje się wewnątrz. Porucznik wyjął z kabury pneumatyk i nie dając mu czasu na reakcję, strzelił w szyję ampułkę usypiającą. Sabrina złapała bezwładne ciało zanim zaczęło się osuwać i oparła o tylne siedzenie.

— Wiwat dla kawalerii — stwierdziła z uśmiechem.

— Kiedy się zorientowałaś? — spytał porucznik, przetrząsając kieszenie Frossera w poszukiwaniu kluczyków do kajdanek.

— Wtedy, kiedy chciałeś. Powiedziałeś, że prawdziwy detektyw jest nieprzytomny. Nikt poza UNACO nie pozostawiłby go przy życiu, a my nie zabilibyśmy go w żadnym wypadku. Subtelne, poruczniku...

— Mów mi Alain — mruknął odpinając jej kajdanki i zatrząskując na drugiej ręce Frossera. Ruszamy. Rust czeka z niecierpliwością. Pojedziemy mercedesem i to z policyjną eskortą.

— A kierowca?

— Śpi jak ten tu. Kiedy dojedziemy do magazynu, zostaną przeniesieni na tylne siedzenia, a mercedesa podrzucimy w pobliże komendy na Bahnhofstrasse. Przecież tam właśnie chcieli się dostać, no nie?

— UNACO, do usług — uśmiechnęła się wysiadając. — Gdzie jest ten magazyn?

— Nie byłaś tu wcześniej? — spytał, zapalając silnik i ruszając za patrolowcem ku Wilche Bridge.

— Nawet nie wiedziałam, że coś takiego istnieje.

— Niewielu wie. To oczko w głowie Rusta.

Skręcili w Limmatquai. Droga prowadząca równoległe do rzeki biegła wzdłuż rzędu restauracji, barów, nocnych klubów, a nawet okazjnych burdeli rodem z Niederdorf, tutejszej dzielnicy panienek lekkich obyczajów, która leżała zresztą niedaleko. Panująca tu atmosfera przypominała Sabrinie nowojorską Greenwich Village. Minęli barokowy ratusz i gotycki kościół z okazałymi witrażami, po czym skręcili z Quai Bridge na Utoquai, położone na brzegach jeziora Zurich.

Kolejny zakręt sprowadził ich w jedną z wąskich, bocznych uliczek, wyróżniającą się ogólnie zapuszczonym wyglądem, zaśmieconą ceglami i kawałkami tynku pochodzącymi z fasad na wpół zrujnowanych kamienic. Przy wjeździe ustawiono tablicę: "SPADAJĄCE TYNKI. PARKOWA NIE SAMOCHODÓW NA RYZYKO WŁAŚCICIELI". Druga, stojąca jakieś dwadzieścia jardów dalej była groźniejsza w wymowie: "BUDYNKI GROŻĄ ZAWALENIEM. UWAGA! NIE ZBLIŻAĆ SIĘ!" Prowadzący wóz zwolnił przy ślepych końcu uliczki, wjeżdżając wolno na podjazd jednego z magazynów i stojąc przed odrapanymi i pordzewiałymi wrotami. Kierowca powiedział hasło przez radio i wrota obsługiwane elektronicznie otworzyły się, wpuszczając całą kawalkadę do wnętrza. Sabrina oczekiwała, że będzie ono tętniło życiem i doznała srogiego rozczarowania — było pusto, mroczno i brudno. Obaj nieprzytomni policjanci zostali ułożeni na tylnym siedzeniu mercedesa i Alain pomachał jej przez okno, wyprowadzając wóz na ulicę. Żelazne drzwi zamknęły się z hukiem,

natomiast przy tylnej ścianie ożyła równie zardzewiała winda. Kiedy zatrzymała się na poziomie podłogi, wysiedli z niej Rust i Philpot.

— Jak się czujesz, cherie? — spytał Rust, nie kryjąc zaniepokojenia.

— Dobrze, chociaż niezbyt się wam śpieszyło — udała złość. — Właściwie to gdzie my jesteśmy?

— Centrum Testujące UNACO w Europie — poinformował ją Philpot.

— Takie jak na Long Island?

— Generalnie tak, tyle że mniejsze — postukał laską w beton. — Naturalnie, pod spodem.

— Wykupiliśmy całą ulicę, choć tylko ten budynek jest używany — dodał Rust.

— Te tablice to także wasz pomysł?

— Owszem. I jak sama się domyślasz, od początku do końca nieprawdziwe — uśmiechnął się Rust. — Budynki są zniszczone i opuszczone, to wszystko. Z początku było trochę problemów z parkującymi samochodami, ale kiedy kilka zostało uszkodzonych przez spadające cegły i tynk, szybko rozeszło się po okolicy, że nie opłaca się tu parkować.

— Masz chyba na myśli zrzucone cegły i tynk?

— Nie licząc towarzystw ubezpieczeniowych, nikomu nic się nie stało, a przynajmniej mamy tu spokój. Żeby uprawdopodobnić to wszystko, dosypujemy co jakiś czas trochę gruzu do szczątków zaścielających ulicę i nikt nam tu nie przeszkadza.

— Krótko mówiąc, artyści od bałaganu — mruknęła z kamienną twarzą, na co obaj mężczyźni jak na komendę skrzywili się kwaśno. — Przepraszam, ale komentarz aż się prosił.

Nagle zamigotało czerwone światło umieszczone na ścianie obok windy i zaczęło miarowo pulsować.

— Po co to? — zainteresowała się dziewczyna.

— Patrz i podziwiaj — uśmiechnął się Rust.

Okrągła część podłogi opadła o parę cali, po czym rozdzieliła się na pół. Obie połówki wjechały pod otaczającą je posadzkę, odsłaniając w ciągu trzydziestu sekund pięćdziesięciostopowy otwór na środku podłogi.

Najpierw pojawił się złożony wirnik, potem kadłub, a na koniec, przy lekkim syku hydraulicznej

maszynie, ukazał się cały helikopter wyniesiony z podziemia wraz z kręgiem betonu. Gdy ten zrównał się z posadzką, całość znieruchomiła z cichym szcęknięciem.

— Jestem pod wrażeniem — przyznała. — Czy to coś potrafi też latać, czy tylko tak efektownie się pokazuje?

— To coś zawiezie cię do Włoch, abyś mogła dołączyć do stęsknionych współpracowników w tym cholernym pociągu — poinformował ją Philpot. — Wsiadaj, i tak już jesteś spóźniona.

Pilot rozsunął wirnik i otworzył drzwi. Sabrina a zatrzymała się przed wejściem do lynxa i odwróciła do Philpota.

— Dzięki, sir.

— Podziękujesz mi, zajmując się tą sprawą z pozytywnym skutkiem.

Przytaknęła i bez słowa wspięła się do środka, siadając obok pilota i zapinając pasy.

Odczekali aż obaj mężczyźni wejdą do windy, po czym pilot włączył silnik, a Sabrina wykręciła głowę, obserwując szklany dach magazynu.

— Kiedy to się otwiera? — spytała.

— Kiedy jestem gotów do startu. Działa na tej samej zasadzie, co podłoga — wskazał torbę stojącą u stóp jej fotela. — To twoje.

Otworzyła ją i zajrzała do środka. ' — Kto wpadł na ten kretyński pomysł — warknęła.

— Nie wiem nawet, o co chodzi. Rust kazał ci. to oddać, więc oddaję.

— Powinnam się była domyślić — szepnęła, pokazując mu zawartość.

— Czy to jest to, co wydaje mi się, że widzę? — spytał, nie mogąc opanować śmiechu.

— Dokładnie.

Zachichotał, po czym włączył radio.

— Tu Sierra-Lima-Uncle 127. Jestem gotów do startu.

— Otwieramy dach — zatrzeszczało w głośniku, a po chwili przerwy odezwał się nowy głos. — Emil, tu Jacques Rust, nie zapomnij o paczce.

— Już doręczona — odparł pilot, podając Sabrinie mikrofon.

— Zapłacisz mi za to, Jacques — warknęła wściekle.

— Będę czekał na to z niecierpliwością, chérie. Au revoir

— Au revoir — odparła z uśmiechem i oddała mikrofon, rozsiadając się wygodnie w fotelu. Wystartowali.

Frosser siedział samotnie w biurze kapitana komendy na Bahnhofstrasse, mając przed sobą już drugi kubek kawy. Choć od chwili przebudzenia w mercedesie minęła godzina, głowa nadal go bolała, co było efektem działania narkotyku, natomiast dłonie bolały go od kajdanek. Kierowcę wysłał do domu — chłopak zrobił, co mógł, a wina za niepowodzenie spoczywała wyłącznie na jego barkach. Najbardziej denerwowało go, iż nie miał prawa prowadzić śledztwa w Zurichu i nie mógł wziąć aktywnego udziału w operacji poszukiwania więźnia.

Rozległo się pukanie do drzwi, ale mleczone szkło nie pozwalało rozróżnić, kto się dobija.

— Wejść! — warknął, wyciągając dłonie do stojącego przy krześle grzejnika.

Widząc wchodzącego, natychmiast zerwał się na równe nogi. Reinhardt Kuhlmann wyglądał na zmęczonego i niezbyt szczęśliwego — pod oczyma miał ciemne worki, a potargane włosy zwisały nieporządnie. Odgarnął włosy z czoła i rozpiął płaszcz.

— Pozwoli pan, panie komisarzu...

— Zostanę w płaszczu, Bruno. Nie zabawię tak długo, żeby opłacało się go zdejmować — na ustach Kuhlmana pojawił się słaby uśmiech. — Siadaj.

Frosser przycupnął na skraju krzesła — znał zwierzchnika na tyle, by wiedzieć, że będzie miał coś do powiedzenia o ucieczce dziewczyny, ale nie spodziewał się, że pofatyguje się w tym celu osobiście. Fakt ten podkreślał jedynie powagę sytuacji.

— Właśnie rozmawiałem telefonicznie z kapitanem Moissay — oznajmił komisarz. — Paru świadków zgłosiło się z informacją o dwóch wozach policyjnych, eskortujących czarnego mercedesa na Limmataquai. Nikt nie wie, co się potem z nim stało.

— To już jest jakiś początek — ucieszył się Frosser.

— Z którego nic nie będzie. Mamy do czynienia z zawodowcami. Obojętnie jak dobry policjant się za to weźmie, ślad wystygnie błyskawicznie i za parę tygodni będzie to tylko kolejna teczka na stercie spraw, które nie zostały rozwiązane. I chcę, żeby tam pozostała.

— Przepraszam, że co?

— Chcę, żeby o tej sprawie zapomniano. Zarówno tu, jak i we Fryburgu.

Frosser wpatrzył się w grzejnik, intensywnie myśląc o teleksie, jaki otrzymał.

— Wystawił mnie pan — mruknął. Kuhlmann podszedł do okna i spojrzął na oświetlone ulice, które wyglądały niczym kartka świąteczna.

— Nie miałem wyboru — westchnął.

— Wiedział pan, że chcą ją odbić i zaryzykował pan moje życie...

— Twoje życie nie było w najmniejszym niebezpieczeństwie. Wiedziałem o tym. Tak jak o tym, że odbiorą ci dziewczynę. Nie wiedziałem tylko jak i kiedy.

— Nie wierzę w to, panie komisarzu.

— Ona musiała być wolna, a nie można było odstąpić od oskarżenia przy zainteresowaniu prasy, jakie ta sprawa już wywołała.

— Musiała być?

— Musiała być. Nie podoba mi się to jeszcze bardziej niż tobie, ale czasami dumę należy schować do kieszeni.

— Kim ona jest?

— Informacja ściśle tajna. Wszystko, co mogę powiedzieć to fakt, że jest niejako naszą koleżanką po fachu, tyle że bez munduru. Postrzeliła Rauffa wykonując zadanie dużej wagi i dla nas, i dla innych.

— A jeśli nie zamknę tej sprawy? — zainteresował się Frosser.

— Wiem na pewno, że przygotowano dla ciebie awans i to już cztery miesiące temu, żebyś przypadkiem nie pomyślał, że to forma przekupstwa. Nie przekreślaj swojej przyszłości z powodu śmierci jakiegoś drobnego gangstera, Bruno. Nie warto.

— Przypuszczam, że ma pan rację — Frosser wstał. — Proszę uważać sprawę za zamkniętą. Kuhlmann wyszedł. Frosser uniósł kubek w samotnym toaście.

— Za równość i sprawiedliwość. Kawa miała dziwnie gorzki smak.

Rozdział dziewiąty

Graham dopił kawę i rozsiadł się wygodnie.

— Dużo by można powiedzieć o punktualności włoskich kolei, ale jedzenie mają znakomite.

— Wspaniałe — zgodził się Kolczyński, kończąc lody. Mike spojrział ponad jego ramieniem na stół stojąc przy przeciwległej ścianie wagonu.

— Werner właśnie płaci. Wyjdą lada chwila.

— Nie ma sensu łązić za nimi jak długo jedziemy. I tak nigdzie nie wysiądą. O której mamy być w Piacenza?

— Kelner mówił, że około 8³⁰.

— Czyli za dziesięć minut.

— Poprosimy o rachunek — Graham zwrócił się do podchodzącego kelnera.

— Il conto, per favore — wyjaśnił Kolczyński, widząc ogłupiały wyraz twarzy kelnera.

Werner i Hendrique szli powoli między stolikami ku wyjściu.

— Proszę mi wybaczyć, ale czy to nie pana widziałem z Sabriną? — Werner zatrzymał się przy ich stoliku, wpatrując się w Mike'a.

— Sabrina?

— Młoda kobieta, która została aresztowana w Vergiate.

— Aa, tak, byliśmy razem, ale poznaliśmy się poprzedniego wieczoru. Nie znam nawet jej nazwiska. A co, to pana znajoma?

— Znałem ją. Kiedyś. To było dawno.

— Dlaczego stoicie, panowie? — Kolczyński wskazał dwa wolne krzesła przy stole.

— Dziękujemy księdzu — Werner skorzystał z zaproszenia i usiadł. Przedstawił się i zaprezentował Hendriku'a jako Joe'go Hemmingsa.

— Kortów — Kolczyński uścisnął dłoń przemysłowca.

— Z której części Rosji ojciec pochodzi? — zainteresował się Werner.

— Urodziłem się w Moskwie, ale zostałem zmuszony do wyjazdu. Teraz mieszkam w Stanach.

Zjawił się kelner z rachunkiem. Graham zapłacił, a Rosjanin oddał mu swoją część po krótkich obliczeniach.

— Tak, władze rosyjskie znane są ze swojej nietolerancji — zgodził się Werner, dając znak kelnerowi, by został. — Napijemy się czegoś?

— A co pija się we Włoszech po obiedzie? — zainteresował się Kolczyński.

— Najczęściej Amaretto.

— Amaretto? — Ma smak migdałów, prawda? — uśmiechnął się Kolczyński udając ignorancję. — Proszę wybaczyć, ale trunki nie są moją mocną stroną.

— Ja myślę — roześmiał się Werner. — Ma jednak ojciec rację, ten trunek ma smak migdałów.

— W takim razie poproszę.

— A pan, panie... ? — Stefan spojrzał pytająco na Grahama.

— Green. Michael Green. Dziękuję, nic.

— Jest pan pewien?

— Zupełnie.

— Due Amaretti, per favore — zdecydował Werner i kelnera wymiotło.

— Znalazł się pański konduktor? — Mike omal się nie uśmiechnął, kierując to pytanie do Hendrique'a. Ten w milczeniu potrząsnął głową.

— Pewien jestem, że jego zniknięcie ma całkiem logiczne i naturalne wytłumaczenie — głos Wernera przerwał ciężką ciszę, jaka zapadła przy stole.

Zjawił się kelner z drinkami i Stefan zapłacił.

— Za przyszłość — wznosił toast.

— Z przyjemnością za to wypiję — Kolczyński trącił się z nim delikatnie.

— Nie mogę sobie wyobrazić Sabriny wplątanej w coś takiego, jak morderstwo — Werner upił z kieliszka. — Zawsze wydawała mi się wzorem dobrych manier.

— Morderstwo nie zna ograniczeń tego typu — wtrącił Hendrique.

— To prawda, ale nadal nie mogę sobie wyobrazić jej w tej roli.

— Może lepiej pasuje do niej rola szpiega? — uśmiechnął się Hendrique.

— Piacenza — oznajmił stojący w drzwiach pomocnik konduktora.

Werner dopił trunek i wstał.

— Pójdę trochę poczytać — oznajmił. — Miło mi było panów poznać. Pewien jestem, że jeszcze się spotkamy.

— Też tak sędzę — Kolczyński uściśnął podaną mu dłoń. — Dziękuję za drinka.

— Cała przyjemność po mojej stronie — skłonił się Stefan.

Hendrique podążył jego śladem i obaj opuścili wagon restauracyjny.

— Wiemy, że oni wiedzą. Jestem też przekonany, że oni wiedzą, że my wiemy. Szach-mat — mruknął Kolczyński. — A w takim razie na pewno zmienią plany i musimy być na to przygotowani.

Odstawił puste naczynie.

— Święta racja — ziewnął bez przekonania Mike i wstał. — Idziesz? ' — Idę.

— Gdy pociąg przejeżdżał przez jasno oświetloną stację, dotarli do przedziału. Okna korytarza wychodziły na peron, toteż Graham przyjrzał się zgromadzonym tam pasażerom.

— O, zakonnica — ucieszył się.

— Chodź do środka i zamknij drzwi — warknął Rosjanin. — Jak mnie zobaczy, to będzie chciała pogadać. Właż! Graham zaniknął za sobą drzwi i usiadł.

— A mówiłeś, że cię gruntownie przygotowano do tej roli — stwierdził z wyrzutem. — To czekanie działa mi na nerwy. Czas się nam kończy, a gnojki mogą nam prysnąć lada chwila. Kto zaręczy, że oni naprawdę jadą do Rzymu? Wystarczy, żeby odczepili ten wagon towarowy i dopiero zacznie się cyrk.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Graham przełożył pistolet z kabury do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjrzał przez szparę w zasłonach.

— To ta zakonnica — zachichotał. — Musiała cię zobaczyć przez okno.

— Jeszcze mi tego brakowało. Otwórz te drzwi.

— Możemy ją zignorować — zaproponował Graham.

— Nie możemy. Otwieraj, pogadam z nią. Mike wzruszył ramionami i otworzył drzwi. Zakonnica podniosła z podłogi torbę i weszła z pochyloną głową.

— Ten przedział jest już zajęty, siostró. Pewien jestem... — głos zamarł mu w gardle, gdy uniosła głowę — Sabrina?!

— A kto? Święty Mikołaj? — warknęła, zdejmując okulary w rogowej oprawie. — Pewna jestem, że mamy tego samego krawca, niejakiego Jacquesa Rusta.

— Co tu się, do diabła, dzieje? — Graham zamknął drzwi. — Jak się wydostałaś z więzienia i dostałaś tu?

— Może pozwolisz mi usiąść, a potem odpowiem ci na wszystkie pytania.

— Chcesz kawy? — wtrącił się Kolczyński. Jej uśmiech był wystarczającą odpowiedzią.

— Później coś zjesz. Wagon restauracyjny jest czynny do dziesiątej, choć nie mam pojęcia dlaczego, gdyż pasażerów jest tak niewielu, że nie zajmują wszystkich miejsc naraz — wyjaśnił, wyruszając na poszukiwanie kelnera.

Gdy wrócił przyniósł ze sobą kawę i ciasto z orzechami i bitą śmietaną, którego zresztą nie chciała, toteż zajął się nim, słuchając jej opowieści, obejmującej wszystko — od aresztowania do przylotu do Zurichu.

— To dla ciebie, Siergiej, od szefa — zakończyła, podając mu zalakowaną kopertę.

Kolczyński zerwał pieczęć, przeczytał list, po czym spalił go.

— Pułkownik chce, byśmy przejęli pluton tak szybko, jak to tylko możliwe. Jest zdania, że dalsza zabawa w kotka i myszkę jest zbyt niebezpieczna, zwłaszcza jeśli Hendrique dostanie wolną rękę, co prędzej czy później nastąpi — wyjaśnił. — Niewinni ludzie mogą ucierpieć, jeśli się go nie powstrzyma.

— Jeden już ucierpiał — stwierdził Mike. — Konduktor. Siergiej skinął głową i wyjaśnił sprawę Sabine.

— Tylko bądźcie uprzejmi poinformować mnie, pod którymi fotelami leży — spojrzała wymownie do sąsiedniego przedziału. — Wolałabym na nim nie spać.

— Pewien jestem, że jemu by to nie przeszkadzało — uśmiechnął się Graham.

Przyjrzała się mu z lekkim obrzydzeniem, po czym spytała Kolczyńskiego:

— Masz jakiś plan?

— Raczej jego zarysy. Czy jest wykonalny, to już całkiem inna sprawa.

Oboje wysłuchali go w milczeniu, po czym we trójkę zajęli się szczegółami. Dość długo trwało, zanim doszli do wniosku, że uzgodnili wszystkie wątpliwości. Gdy ten radosny fakt nastąpił, Sabrina poszła na kolację, przy której przypomniał jej się Whitlock. Zastanawiała się, jak też rozwija się jego śledztwo w Monachium.

Zadzwonił telefon.

Whitlock zsunął się z łóżka szukając w ciemności włącznika światła i przy okazji zwalając coś z hałasem na podłogę. Po brzęknięciu poznał, że to szklanka z wodą, którą postawił na stoliku zanim poszedł spać. W końcu zapalił światło i odnalazł telefon. Uniósł słuchawkę, osłaniając jednocześnie ramieniem oczy przed światłem.

— Halo? — wymamrotał, tłumiąc ziewanie. Głos po drugiej stronie był zdławionym szeptem.

— Halo — powtórzył zirytowany. — Proszę głośniej.

— C. W. ? — głos był ledwie słyszalny.

— Tak. Kto mówi? — Karen.

— Jezu jest... — zerknął jednym okiem na zegarek. — Jest 2⁴⁰ rano. Co się stało?

— On jest na zewnątrz.

— Kto?

— Kierowca czarnego mercedesa, który chciał nas przejechać przed Hiltonem. Jest na trawniku. Proszę cię, pomóż mi — rozległ się odgłos rozbijanej szyby i krzyk.

— Karen! — wrzasnął w słuchawkę. — Jesteś tam!

— Wchodzi do domu — rzuciła gorączkowo. — Chce mnie zabić!

— Zaniknij się w jednym z pokoi i zabarykaduj drzwi. Przyjadę najszybciej, jak tylko będę mógł. C. W., proszę...

— Rozłącz się i zrób jak mówię — przerwał połączenie i natychmiast zadzwonił na policję.

Obiecali wysłać bez zwłoki wóz do jej domu, toteż odwiesił słuchawkę, ubrał się i z browningiem w kieszeni wybiegł z pokoju. Po uzyskaniu zwięzłych ale dokładnych wskazówek od nocnego portiera, wypadł na parking i wsiadł do golfa. Na szczęście zapalił od razu, toteż czym prędzej wypadł na Kaiserstrasse, kierując się na południe, ku rzece. Z piskiem opon skręcił w Rheinallee,

biegnącą wzdłuż jej brzegu, a następnie na Herzs Bridge, by dostać się do wschodniej części miasta. Zgubił się i klnąc na czym świat stoi, wrócił do mostu, po czym pognął Boetckestrasse, mijając po lewej wyraźnie widoczny zamek (o którym mówił portier) i prawie mijając Hindenburgstrasse — zdołał w ostatniej sekundzie skręcić, wjeżdżając przy tym na chodnik. Przed kościołem zahamował tuż za wozem policyjnym i wyskoczył na podjazd, gdzie wpadł prosto w ręce policjanta. Patrząc na strzaskaną szybę, wyjaśnił mu w niezbyt czystej niemczyźnie kim jest, i po wymianie zdań między dwoma stróżami prawa (drugi był wewnątrz), został wpuszczony do środka.

Karen siedziała na skraju sofy, ciasno owinięta szlafrokiem, ściskając białą chusteczkę. Pod lewym okiem nabrzmiewał klasyczny siniak, nabierający właśnie głębokiej, granatowej barwy. Ujrzawszy go, podbiegła z płaczem, tuląc twarz w jego marynarkę, po czym równie nagle odsunęła się z zażenowanym uśmiechem.

Wziął ją za rękę i zaprowadził na sofę. Siedzący obok policjant kończył zadawać pytania, a ekspert od daktyloskopii oznajmił właśnie, że skończył z drzwiami wejściowymi. Policjant zapytał Whitlocka o parę detali, po czym wstał, obiecując Karen, że będą w regularnych odstępach czasu patrolować ulicę. Odprowadziła go do drzwi, poczekała aż odjadą i dopiero wtedy wróciła do pokoju, z ociąganiem biorąc od Whitlocka kompres i przykładając do siniaka.

— Kawy? — spytała cicho.

— Zaraz zrobię. Ty trzymaj kompres na właściwym miejscu.

Kuchnia był niewielka, ale gustowna. W jednej z wbudowanych w ścianę szafek znalazł kawę, ekspres stał na stole, toteż nie miał kłopotów z przygotowaniem napoju. Karen przysiadła na ławie, obserwując jego krzątanie. Po chwili na stole stały dwie parujące filiżanki i karton mleka wyjęty z lodówki.

— Dziękuję, że tak szybko przyjechałeś. I że zawiadomiłeś policję — powiedziała, gdy usiadł naprzeciwko.

— Przykro mi, że nie zdążyłem, aby temu zapobiec — wskazał na jej twarz. — Nie zdejmuj kompresu.

— Jest niewygodny — skrzywiła się.

— I powinien. Co tu się właściwie stało?

— Obudził mnie hałas na zewnątrz. Gdy zeszłam na dół,

zobaczyłam na podjeździe czarnego mercedesa. Jestem pewna, że to ten sam, który próbował nas przejechać przed Hiltonem. Wiedziałam, że powinnam zadzwonić na policję, ale ogarnęła mnie panika, a ty byłeś pierwszą osobą jaka . przyszła mi na myśl. Gdy rozmawialiśmy, ten facet rozbił

jedną z szybek w drzwiach...

— Słyszałem to — wtrącił ponuro.

— A ja, jak kazałeś, zamknęłam się w łazience, tylko okazało się, że zasuwa w drzwiach trzyma na słowo honoru i on bez trudu ją wyłamał. Wtedy właśnie mnie uderzył, ale niedaleko rozległa się policyjna syrena — wtedy uciekł. Dzięki Bogu, że któryś z ich wozów był niedaleko.

— Jak on wyglądał?

— Miał na twarzy jedną z tych wełnianych czapek narciarskich. Boję się, C. W., naprawdę się boję.

— Chcesz, żebym został?

— Bardzo — ścisnęła go za rękę.

— Jako nocny stróż — dodał.

— Jesteś żonaty, prawda?

— Od sześciu lat.

— Dlaczego ci najlepsi muszą zawsze być już zajęci? — uśmiechnęła się smutno. — To nie fair.

— Jestem pewien, że sporo samotnych facetów to samo twierdzi o kobietach. Ja też tak twierdziłem, dopóki nie spotkałem żony.

— Masz dzieci?

— Nigdy nie chcieliśmy. Być może kiedyś będziemy tego żałować.

— Nigdy nie żałowałam, że zdecydowałam się na Rudiego — przyglądała mu się uważnie. — Twoja żona ma masę szczęścia.

— Dlaczego?

— Bo ma męża, który nie zdradzi jej, chociaż ma okazję. Niewielu odmówiłoby propozycji przespania się ze mną.

Zaskoczyła go arogancja w jej głosie — nie bardzo pasowała do tego, co niedawno przeszła.

— Wiem, że jestem ładna — wyjaśniła, widząc jego zaskoczenie. — Czy to zbrodnia? To nie próżność, tylko uczciwość.

— Nie ma nic złego w wierze w samego siebie — odparł taktownie.

— Jeszcze kawy?

— Dziękuję — wstał. — Prześpij się. Popilnuję na dole.

— Posiedzę z tobą — powiedziała, wstawiając filiżanki do zlewu.

— Nie, chcę, żebyś się położyła. Jeśli ten gość wróci, to będziesz mi tylko przeszkadzać. Nie masz się zresztą czego bać. Zajmę się nim dokładnie.

— Dziękuję — pocałowała go lekko w policzek. — Jeśli będziesz czegoś chciał, to jestem na górze. Drugie drzwi na lewo.

— Do zobaczenia rano — odparł z uśmiechem.

— Czuj się jak u siebie. Jedzenia jest sporo i pochlebiam sobie, że mam niezłe zaopatrzone barek. Jest w salonie. Pokażę ci.

— Nie. Kawa to wszystko, czego potrzebuję. Teraz zmykaj do łóżka. Stłumiła ziewanie.

— Nagle poczułam się bardzo zmęczona. Myślę, że w końcu opadło ze mnie napięcie.

Począł aż jej kroki ucichły na schodach i zbadał wszystkie okna i drzwi — były pozamykane. Wrócił do kuchni i zaparzył sobie kawy, spoglądając z uśmiechem na leżące na szafce tabletki nasenne. Ta, którą rozpuścił w jej kawie, powinna działać do rana. Będzie miała lekki ból głowy, ale łatwo go wytłumaczy tym, co przeszła. Dał jej pastylkę z dwóch powodów: porządny sen był jej potrzeby, a poza tym nie groziło jej niebezpieczeństwo przypadkowej kuli, czy czegoś równie miłego, gdyby napastnik wrócił. A był pewien, że to nastąpi, i że Karen uparłaby się czekać wraz z nim. Zgasił światła w kuchni i salonie i poczekał, aż oczy przyzwyczajają się ' do ciemności. Gdy to nastąpiło, odsunął zasłonę jednego z okien wychodzących na ulicę, usiadł i pogrążył się w oczekiwaniu. Jego dłoń zaciskała się na kolbie pistoletu, ilekroć pojawiały się na zewnątrz światła samochodu, po czym rozluźniała się, gdy wóz przejeżdżał nie zwalniając. Mercedes pojawił się pół godziny później, a przynajmniej Whitlock zauważył go wtedy po raz pierwszy. Przejechał trzykrotnie, za każdym razem zwalniając, by kierowca mógł dokładnie obejrzeć dom i jego otoczenie. Gdy pojawił się po raz czwarty, zaparkował po przeciwnej stronie ulicy. Kierowca wysiadł, trzymając w urękawiczonej dłoni mini uzi.

Whitlock podbiegł do drzwi i przywarł do ściany, o cale od rozbitej szybki — kierowca musiał przełożyć przez otwór rękę, by odczepić łańcuch. Choć miał buty na gumowej podeszwie, dało się słyszeć jego kroki na wysypanym żwirem podjeździe — nie były głośne, ale były. Cień zasłonił rozbite szkło i Whitlock sprężył się do akcji. Złapał rękę tamtego, gdy prześliznęła się przez wybity otwór i gwałtownie szarpnął ku górze, gdzie w futrynie tkwiły nie wyjęte odłamki szyby. Kierowca krzyknął, gdy szkło wbiło mu się w ciało, a Whitlock błyskawicznie odczepił łańcuch i otworzył

drzwi szarpnięciem, wyłamując przy okazji parę odłamków. Poczęstował napastnika lewym sierpowym. Cios rzucił mężczyznę na stojące na tarasie letnie meble, ale pozbierał się błyskawicznie. Złapał aluminiowe krzeselko i z rozmachem umieścił je w brzuchu Whitlocka, po czym przeskoczył balustradę i pognął do samochodu, przyciskając do piersi zranioną rękę. Zanim Whitlock dotarł do golfa, mercedes gnał już w dół ulicy. Dogonił go przy dokach na Boetckestrasse, gdzie mercedes nie wyrobił zakrętu i rąbnął w bok zaparkowanego volkswagena. Whitlock zatrzymał wóz, zaś uciekający, z dymiącą chłodnicą, cofnął się gwałtownie, omal nie Wpadając na zaparkowany po przeciwnej stronie furgon. Gwałtownie skręcił przy pierwszej przecznicy i zdołał w nią wjechać, nie masakrując przy tym bardziej karoserii. Dopiero w ostatniej chwili zorientował się, że wychodzi ona bezpośrednio na kanał, ale gdy nacisnął na hamulec, koła straciły przyczepność na mokrej powierzchni. Wóz okręcił się wokół własnej osi, przejechał ostatnie dziesięć jardów na zablokowanych kołach i zniknął z pluskiem w wodzie.

Zanim Whitlock dobiegł do brzegu, mercedes zsuwał się już kufrem do przodu w czarną toń. Stał przez dłuższą chwilę na brzegu, obserwując gładką powierzchnię rzeki, ale po kierowcy nie było śladu, wobec czego wrócił do golfa i pojechał do Karen. Sprawdził, że nadal śpi, po czym przygotował sobie świeżej kawy, przeniósł się do salonu, rozsiadł wygodnie na sofie i zamyślił. Myślał o Nowym Yorku i o Carmen.

Nie upłynęło kilka minut, jak zapadł w sen.

Grahama i Kolczyńskiego obudziło głośnie pukanie do drzwi. Pierwszy pozbierał się Rosjanin i wyjrzał przez szparę w zasłonach. Na korytarzu stał jedynie pomocnik konduktora, toteż odsunął drzwi.

— Buon giorno — powiedział ze zmęczonym uśmiechem. — Correggio, quindici minuti.

— Grazie — odparł odbierając od niego tacę. Kolejarz zamknął drzwi i odszedł korytarzem, pogwizdując coś cicho.

— Correggio? — spytał Mike trąc oczy.

— Za kwadrans — Kolczyński wręczył mu kubek z kawą.

— Która?

— Czwarta czy piąta.

Graham bez słowa usiadł, obserwując Rosjanina golącego się w miniaturowej umywalce zainstalowanej w rogu przedziału — każde pociągnięcie żyłki zsynchronizowane było z podskokami wagonu.

— Standardowe wyposażenie KGB? — spytał, wskazując biały kombinezon w jaki tamten był ubrany.

— Nie. Zdrowy rozsądek. Jest dobrze ocieplony i idealny na taką pogodę.

Mike przeciągnął się i wstał — ubrany był w kombinezon narciarski i grube, wełniane skarpety. Zgrabnie padł na podłogę i bez widocznego wysiłku zrobił trzydzieści pompek, zmieniając co jakiś czas ręce. Potem nastąpiło pięćdziesiąt przysiadów i dwadzieścia klasycznych pompek, zanim nie zerwał się i nie otrzepał rąk.

— Rutyna? — zainteresował się Siergiej, wycierając twarz ręcznikiem.

— Część codzienności. Na resztę nie ma czasu.

Pięć minut później obaj byli całkowicie ubrani w stosowną do pogody ciepłą odzież — na zewnątrz było zdecydowanie poniżej zera, o czym dobitnie świadczył pokrywający krajobraz śnieg.

— Sabrina prosiła, byśmy obudzili ją przed wyjściem — przypomniał Kolczyński. — Myślę, że lepiej się do tego nadajesz.

Graham wzruszył ramionami i otworzył wewnętrzne drzwi. Sabrina spała skulona, z kolanami pod brodą i prawą ręką zwisającą poza łóżko. Koc zsunął jej się do pasa i choć pozycja wyglądała na niezbyt wygodną, na jej twarzy malował się spokój i uśmiech. Chciał już ją potrząsnąć za ramię, ale nagle zmienił zdanie i ostrożnie przykrył ją kocem po samą szyję. Przez chwilę zastanawiał się czy nie ułożyć jej ręki w wygodniejszej pozycji, ale nie zrobił tego — prawie na pewno obudziłaby się. Wyprostował się i wrócił do przedziału zamykając drzwi.

— Więc tak wygląda druga twarz cynicznego Michaela Grahama — powiedział cicho Kolczyński.

— Czego — warknął Mike. — Po cholere ją teraz budzić? Nie bierze udziału w tej części akcji. Niech się wyśpi, miała ciężkie chwile w więzieniu. Zbierajmy się. Pociąg zwalnia, musimy dojeżdżać do Correggio.

Zanim doszli do końca korytarza, skład stanął już na słabo oświetlonym peronie, pustym, jeśli nie liczyć starej kobiety z rozkapryszonym dzieciakiem. Graham wziął obie torby i podążył za Rosjaninem przez nie pilnowane wyjście do dworca — równie opustoszałego jak perony.

— Zadzwoń do Zurichu, żeby wysłali tu helikopter tak szybko, jak tylko się da — stwierdził Siergiej i udał się do najbliższej budki.

Mike siadł na stojącej w pobliżu ławce, obserwując otoczenie. Drzwiami od ulicy weszła prostytutka. Była to nastolatka o miłej buzi ale ze zbyt wielką ilością makijażu i kształtnej figurze podkreślonej przez ciasno opiętą skórzaną kurtkę i mini spódniczkę. Podeszła do niego i oparła stopę o ławkę.

— Buon giorno, come si chiana? — zaproponowała unosząc palec do jego ust.

— Nie jestem zainteresowany — odtrącił jej dłoń. — Spływaj.

Choć nie знаła angielskiego, ton jego głosu wystarczył, by zrezygnowała. Kręcąc tyłkiem wróciła do drzwi i zniknęła wewnątrz.

— prostytutka? — spytał Kolczyński, gdy wrócił.

— Tak, baby-pro.

— Że co, proszę?

— Według prawa nieletnia, a uprawiająca miłość jak stary fachowiec wyjaśnił Mike. — Dodzwoniłeś się?

— Mamy szczęście — zapalił i zaciągnął się głęboko. — Jedna ? naszych maszyn jest w Mediolanie. Powinna się tu zjawić za godzinę.

— Gdzie spotkanie?

— Wynajęty wóz będzie czekał na lotnisku i pilot po nas przyjedzie.

— Kiedy patrzę na coś takiego — Graham wskazał panienkę uparcie kręcącą się w pobliżu drzwi, — to sędzę, że powinienem trochę bardziej doceniać Sabrinę.

— Myślę, że już doceniasz, tylko sam przed sobą nie chcesz się do tego przyznać. Choćby, na przykład, dziś w pociągu.

— Przykryłem ją, bo ostatnią rzeczą, jakiej nam potrzeba, jest jej zapalenie płuc. Robisz z igły widły. Siergiej.

— Naprawdę? Ona ma o tobie niezłe zdanie...

— Za bardzo się różnimy — Mike zerwał się na równe nogi. — To uosobienie bogatej i wychuchanej laluni. Niewolnica mody, mieszkająca w wytwornej dzielnicy, jedząca we właściwych restauracjach i prowadząca sportowego mercedesa kupionego przez tatusia. Tatusia, który robi dla niej wszystko. I to właśnie doprowadza mnie do szału. Kupił jej mieszkanie, samochód, wpłynął na sekretarza generalnego.

— Nie! — przerwał mu ostro Kolczyński. — Jest u nas, bo jest dobra i wiesz o tym. Widziałeś jak strzela, to klasa sama w sobie. I powiem ci jeszcze coś; wszyscy ci zazdrościli, gdy znalazłeś się na miejscu Jacquesa. Inni zrobiliby wszystko, żeby znaleźć się w jej zespole.

— W rogu stoi automat bilardowy — Mike zmienił temat. — Chodź, to pomaga zabić czas.

Grał nadal, gdy czterdzieści minut później zjawił się pilot.

— Gotów, Tommy? — spytał Siergiej, prowadząc go do Grahama.

— Jestem pod wrażeniem — Mike nie odwrócił wzroku od maszyny ani na chwilę. — Nie wiedziałem, że teraz puszczają w Rosji takie filmy.

— Widziałem go w Odeonie na Leicester Square. Chała.

— Trudno się dziwić, to dzieło dla geriatryków.

— Serdeczne dzięki. Prawdę mówiąc... poszedłem z sekretarką z naszej ambasady. Bardzo chciała to zobaczyć.

— Wystarczy Graham wyłączył automat w połowie siódmej darmowej gry. — Okay, jestem gotów.

Przed stacją czekał wynajęty peugeot 305. Droga była krótka — lądowiskiem był kawał zaśnieżonej łąki tuż za miastem. Mike złapał torby i bez słowa ruszył w stronę lynxa, zaś Kolczyński porozmawiał przez chwilę z pilotem, po czym dołączył do czekającego przy maszynie towarzysza.

— Gotów?

— Tak. Ale dlaczego pilot nie rozgrzewa silnika?

— Bo nie leci. Ja go zastępuję.

— Proszę?! A od kiedy umiesz to pilotować?

— Od dwudziestu lat, kiedy dostałem licencję pilota.

Graham głęboko odetchnął parę razy i bez słowa wspiał się do kabiny.

— Zaręczam, że jesteś całkowicie bezpieczny — zapewnił go Siergiej.

— Nie wątpię — mruknął Mike zapinając pasy. — Tylko nigdy mi nie przyszło do głowy, że umiesz pilotować te cuda. Znowu trening KGB, co?

— Wręcz przeciwnie. Nauczyłem się latać gdy byłem attache wojskowym w Sztokholmie. Niezły sposób, żeby nie umrzeć z nudów.

Pilot, oświetlający dotąd maszynę reflektorami samochodu, pomachał w odpowiedzi na ruchy Rosjanina i odjechał ku autostradzie.

— Ile czasu zajmie nam dogonienie pociągu? — spytał Mike, gdy wystartowali.

— Powiem ci, jak przestaniesz przygniatać tyłkiem mapę.

Graham wyszarpnął ją spod kurtki i zajął się śledzeniem trasy.

— Jeśli mnie pamięć nie myli, to o 4⁴⁵ miał być w Modenie. Teraz mamy — odciągnął rękaw ukazując złotego piageta — 5¹⁷. Ile czasu miał stać w Modenie?

— Kwadrans.

— To powinien być gdzieś koło Castelfranco Emilia. Około 25 mil.

— Zurich zawiadomił pilota, że mamy lekkie wyprzedzenie wobec planu — wtrącił Kolczyński.

— To oznacza, że powinniśmy złapać pociąg zanim dotrze do Anzola d'Emilici. Znalazłeś?

— Skoro przez cały czas o tym wiedziałeś, to dlaczego mi nie powiedziałeś, jak cię pytałem?

— Trochę rozrywka umysłowej nigdy nie zaszkodzi.

Mike złożył mapę i wsunął ją pod fotel, po czym odpiął zegarek i obejrzał go uważnie.

— Carrie dała mi go na moje trzydzieste piąte urodziny. Poszliśmy do teatru, pięć miesięcy wcześniej zamówiła bilety. Zmusiła mnie nawet, żebym założył frak.

— Ty i frak. Nie mogę sobie tego wyobrazić.

— Ja też nie mogłem, ale się uparła. Potem był show na Broadwayu i kolacja u Christa Celli (najlepszy stek; jaki w życiu jadłem), a na koniec kawa w Fast Tuesday do trzeciej rano. Co więcej, ona płaciła za wszystko. Bóg jeden wie, ile to musiało kosztować, ale nie pozwoliła mi nawet dotknąć portfela. Powiedziała, że to moja noc. To był ostatni raz, kiedy wyszliśmy razem. Dziesięć dni później wysłali mnie do Libii.

— Wasilisa kochała teatr, przynajmniej raz w miesiącu szliśmy na jakieś przedstawienie. Teraz... od siedmiu lat nie byłem w teatrze. Od czasu jej śmierci. Bez niej to nie byłoby to samo przeżycie.

— Wiem, co masz na myśli — powiedział cicho Mike i zapiął zegarek.

Kolczyński sprawdził szybkościomierz i zerknął na zegarek.

— Za chwilę powinniśmy mieć ich w polu widzenia. Graham odpiął kurtkę i włożył rękawice.

— Nie zapomnij kominiarki — upomniał Rosjanin.

— Nie mam zamiaru.

— Michael, nie musisz...

— Wiem. To niebezpieczne jak cholera, ale uzgodniliśmy, że od tego zależy sukces całej operacji. Nie przejmuj się, szef zawsze nazywa mnie desperado. Najwyższy czas udowodnić mu, że ma rację.

— Już to udowodniłeś i to nie raz.

— Bardziej się denerwujesz ode mnie. Jezu, wystarczy, żebyś trzymał ten wiatrak na równej wysokości. To ja mam dostać się po ciemku na dach jadącego wagonu.

Kolczyński wręczył mu zminiaturyzowany zestaw — słuchawkę i mikrofon połączone giętym drutem. Mike nałożył je i naciągnął kominiarkę.

— Pociąg sto jardów przed nami — poinformował go Siergiej, sprawdzając urządzenia.

Graham odblokował drzwi, co spowodowało, że do kabiny wtargnął lodowaty wiatr i sprawdził zamocowanie do podłogi linowej drabinki — trzymała mocno, wobec czego wyrzucił resztę na zewnątrz. Złapał się uchwyty przy drzwiach i wychylił, próbując dojrzeć w dole pociąg. W słabym świetle lampek pozycyjnych helikoptera ledwie go dojrzał — był jakieś sześćdziesiąt stóp niżej.

— Za ciemno — poskarżył się.

— Poszukaj w czarnej skrzynce za tobą, powinno tam być choć jedno halo.

Posłuchał dobrej rady i faktycznie znalazł — dyskopodobny reflektorek na skórzanej opasce, regulowanej w zależności od wielkości głowy użytkownika, Halolight był udoskonaloną wersją lampy górniczej i lusterka chirurgicznego, wykonaną w laboratoriach UNACO. Przymocował je do głowy tak, by reflektorek tkwił na środku czoła.

— Gotów —oznajmił, zbliżając się do drzwi.

— Wysokość 38 stóp. Gotów, — odparł po chwili przerwy Kolczyński.

Mike odwrócił się od otworu i złapał początek drabinki leżący na podłodze, po czym powoli i ostrożnie zaczął schodzić. Choć wiatr nie był silny, drabinka kołysała się na boki, co było spowodowane podmuchami wywołanymi przez wirnik.

— Jak ci idzie? — rozległo się w słuchawce.

— Wirnik robi tu w dole mały huragan. Nie możesz go przypadkiem wyłączyć?

W odpowiedzi rozległ się cichy chichot.

Każdy krok był dokładnie zaplanowanym manewrem — zwolnienie jednej stopy ze szczebla i

wyszukanie następnego, przy uprzednim sprawdzeniu, czy drabinka się nie skrzyła. Potem następowało przeniesienie ciężaru i opuszczenie rąk o kolejny odcinek. I tak w kółko. W jego ruchach była ostrożność, lecz nie było strachu, który dawno temu nauczył się traktować jako coś najgorszego, co może się przytrafić człowiekowi w czasie akcji. Ze strachem przychodziło wahanie, ogłupienie i niepewność, każde z nich mogło kosztować życie. Widział to wielokrotnie w Wietnamie, gdzie poznał tę prawdę. Traktował odtąd strach jako fanaberię, na którą jedynym lekarstwem była absolutna wiara we własne możliwości. Tę wiarę traktował jako podstawę treningu, gdy po zranieniu w Wietnamie, szkolił członków szczepu Meo w Tajlandii. Jego krytycy oskarżyli go o produkowanie żołnierzy poprzez pranie mózgu i całkowite lekceważenie ludzkiego życia, zwłaszcza, gdy dowiedzieli się, że używa ostrej amunicji przy cotygodniowym torze przeszkód. Jego odpowiedź była prosta — jedynym sposobem na przezwycięzenie strachu jest konfrontacja z nim i wiara w siebie, wystarczająca, by to poskutkowało. Dane opublikowane po wojnie wykazały, że w dwuletnim okresie walk jego żołnierze nie dość, że ponieśli najmniejsze straty, to jeszcze uzyskali najwięcej odznaczeń za odwagę spośród wszystkich oddziałów Meo z Tajlandii. Żałował tylko, że nie opublikowano tych liczb wcześniej, gdyż większość osób, które go krytykowały, już nie żyła, stając się ofiarami tegoż syndromu strachu, który tak usilnie starał się im wyjaśnić.

Drabinka wyczyniała dzikie harce, gdy dotarł do jej połowy i mógł dojrzeć światła padające z okien wagonów pasażerskich. Przód pociągu jednak, wraz z lokomotywą, pogrążony był we mgle, nie rozproszonej jeszcze przez pierwsze promienie słońca, pojawiające się nieśmiało na horyzoncie. Carrie zawsze twierdziła, że nie ma nic piękniejszego niż wschód słońca w Nowym Yorku, z czym się nie zgadzał — dla niego pięknem była symetria doskonale podanej piłki w baseballu, bezbłędnie strzelony w samo okienko gol w piłce nożnej. Rozdrażniony odsunął od siebie te głupie myśli i skoncentrował się na kolejnym szczeblu drabiny — pociąg był mniej niż dziesięć stóp poniżej i Graham planował już, jak wyląduje i dotrze do zamka w drzwiach.

— Mike, mam coś na radarze prosto przed nami — potężny reflektor helikoptera oświetlił prawie cały pociąg i obaj równocześnie dostrzegli kamienny most, górujący nad składem, trzydzieści jardów przed nimi.

— W górę! — ryknął Graham.

— Zniżam się — odparł Kolczyński, wykonując manewr.

— To zbyt niebezpieczne... — zaczął Mike, lecz przerwał czując, że stopami dotknął dachu.

Maszyna skrzyła lekko i drabinka odsunęła się od wagonu. Gdy wahnięcie sprowadziło ją znów nad dach, puścił ją, lądując ciężko na boku.

Kolczyński natychmiast poderwał helikopter, desperacko starając się uniknąć zderzenia, ale zabrakło mu czasu i prawa płoza z trzaskiem zaczęła o kamienie, wyrrywając część z nich i rzucając na tory. Zdołał zapanować nad dziko podskakującą maszyną i wyrównać lot, ale z jednego silnika dobiegło alarmujące dudnienie i po chwili spod wirnika zaczął unosić się czarny dym — jeden z rolls-royców akurat się zacierał.

Graham wylądował na lewym ramieniu i instynktownie złapał za wywietrznik, co uratowało mu życie — gdyby zsunął się z dachu, rąbnąłby w stalowe podpory kamiennego mostu, kończąc tym swą ziemską egzystencję. Leżał przez ' chwilę bez tchu, krzywiąc się z bólu, który przeszył jego lewe ramię.

— Michael! Mike! — podniesiony głos w słuchawceomal nie rozsadził mu bolejącej głowy.

— Przestań się drzeć! — wrzasnął.

— Nic ci nie jest? — głos Kolczyńskiego przycichł, ale nadal zdradzał niepokój.

— Żyję, ale lewe ramię boli jak wszyscy diabli.

— Wracaj.

— Ani myślę.

— Jaką masz szansę z niesprawną ręką przeciw Milchanowi?

— Zastrzelę go. To i tak nikomu nie sprawi różnicy.

— Pewnego dnia zaskoczysz nas wszystkich, słuchając czyjegoś rozkazu — westchnął Siergiej.

— Nie liczyłbym na to. Co z tobą? Gdy wjechaliśmy pod most, usłyszałem niezły łomot.

— Trochę go wyremontowałem. Będę musiał lądować na jakimś polu. Jeden silnik się zatarł.

— A ty?

— Drobiazg. Jeśli to ramię naprawdę cię boli, to chcę... reszty nie było słyhać, gdyż Mike zdjął najpierw kominiarkę, a potem mikrofon ze słuchawką i wyrzucił w ciemność. Po chwili dotarło do niego, że niepotrzebnie siedzi po ciemku i włączył halo. Nic. Jeśli reflektorek szlag trafił, to mógł sobie aż do świtu darować próbę wejścia do wagonu. Stuknął weń parę razy i w końcu zadziałało. Przy pierwszym poruszeniu, lewe ramię przeszył rozdzierający ból, toteż przycisnął je do ciała, choć dawało to bardziej komfort psychiczny niż fizyczny. Począł aż ból przejdzie w miarowe pulsowanie o stałym natężeniu, po czym podszedł do skraju dachu w miejscu, w którym kończyła się metalowa drabinka, biegnąca wzdłuż ściany wagonu. Pomimo bólu w ramieniu, który nasilał się z każdym ruchem, zdołał zejść na wysokość zamka i przyczepić doń namagnesowany ładunek z radiowym zapalnikiem, po czym jakimś cudem udało mu się wrócić na górę. Odpoczął trochę i z wewnętrznej kieszeni w pasie wyjął nadajnik wielkości pudełka od zapalek. Wyciągnął krótką antenkę i prostą tarczą nastawił go na potrzebną falę. Operację zakończył niezbyt efektowny wybuch. Chodziło tylko o zniszczenie zamka, a nie całego wagonu, toteż ładunek był niewielki. Sięgał właśnie po pistolet, gdy na górnym szczeblu drabiny pojawiły się masywne dłonie, a sekundę później zniekształcona twarz wyłoniła się ponad poziom dachu. Gwałtownym podrzutem ciała Milchan

zdołał sięgnąć jego ręki i kula poszybowała w niebo. Drugi, tym razem już wymierzony cios, trafił Mike'a w nadgarstek, wytrącając mu broń, która powoli ześliznęła się po krzywiźnie dachu, zaczepiając kolbą o wentylator. Mike zanurkował przed kolejnym ciosem Milchana i sięgnął po berettę, ale gwałtowny podskok pociągu na zwrotnicy uwolnił ją o sekundę wcześniej i jego dłoń zamknęła się na pustym powietrzu — broń zniknęła za krawędzią dachu. Klnąc pod nosem obrócił się, stając przeciw Milchanowi ledwie mogąc poruszyć, i to kosztem ogromnego bólu, lewą ręką, która zwisała bezwładnie, co tylko wzmogło jego wściekłość. Gwałtownie wyprowadził cios nogą trafiając przeciwnika w głowę, ale ten zamiast choćby się zatoczyć, jedynie nią potrząsnął, dotknął rozciętego policzka i uśmiechnął się. Graham uderzył ponownie, lecz tym razem Milchan złapał go za stopę zanim ta doszła do celu i pociągnął ku sobie. Mike widział jak nadchodzi cios, ale lewa ręka odmówiła posłuszeństwa, gdy próbował się bronić, po czym zapadła ciemność.

Sabrinę obudziło głośnie pukanie do drzwi.

— Si? — spytała nie puszczając leżącego pod poduszką pistoletu.

Buon giorno. Caffè? — spytał zastępca konduktora przez zamknięte drzwi.

— No, grazie — spojrzała na zegarek, ale zobaczyła jedynie pusty nadgarstek, gdyż czasomierz pozostał w komendzie we Fryburgu. — Che ove sono?

— Le otto e un quarto — padło po chwili.

— Kwadrans po ósmej? Dobry Boże! — syknęła, po czym zawołała: — Grazie.

W jednej chwili zeskoczyła z posłania i otworzyła wewnętrzne drzwi.

Sąsiedni przedział był pusty.

— Dzięki za obudzenie, łobuzy — mruknęła wściekle.

Po pośpiesznym obmyciu twarzy włożyła habit i barber, wsuwając pistolet do kieszeni, po czym udała się na śniadanie. Zatrzymała się w drzwiach i z uwagą przyjrzała się obecnym. Szczęście jej dopisało - Werner, Hendrique i Kyle byli obecni, ale sądząc z ilości jedzenia na stole wywnioskowała, że nie zamierzają zbyt szybko wychodzić. Stanowiło to doskonałą okazję do przeszukania ich przedziałów, a zwłaszcza przedziału Wenera. Werner mógł być tu szefem, ale jednocześnie był najsłabszym ogniwem. Hendrique i Kyle byli doświadczonymi przestępcami. On był tylko businessmanem, zaplątanym w zbrodnię. Wiedziała, że jeśli gdzieś kryje się coś ciekawego, to właśnie w jego przedziale. Najpierw wróciła do siebie po klucze zabrane zabitemu konduktorowi, a następnie udała się do sąsiedniego wagonu.

Drzwi do obu przedziałów były zamknięte. Wiedząc, że ma niezbyt wiele czasu, zdecydowała się na rozpoczęcie poszukiwań od przedziału zajmowanego przez Wenera. Korytarz był pusty, toteż szybko otworzyła drzwi i wśliznęła się do środka, zamykając je na klucz. Na półce były dwie rzeczy:

niewielka torba podróżna i walizeczka przykuta kajdankami do stalowego obramowania półki. Stała na fotelu i przysunęła walizeczkę tak, by zamki mieć przed oczyma. Były szyfrowe. Wiedziała, że prawdopodobieństwo trafienia na właściwą kombinację jest minimalne. Ignorując jednak to co oczywiste spróbowała je otworzyć — nie była zamknięta. Jej zaskoczenia natychmiast przerodziło się w podejrzliwość — nawet niewinny businessman zamknąłby dokumenty, opuszczając przedział na dłużej. To mogła być pułapka. Wyjęła z kieszeni pilniczki do paznokci i wsunęła w złączenie obu połówek, sprawdzając, czy nie ma gdzieś przeciągniętych drutów. Nie było. Rozejrzała się w poszukiwaniu czegoś, czym dałoby się podważyć wieko — jedyne, co dostrzegła, to była gazeta. Zrolowała ją i, stojąc z boku, wyciągnęła ją ku walizeczce, unosząc wieko o parę cali. Nic się nie stało więc z ulgą odrzuciła gazetę i obejrzała dokładnie wewnątrz walizeczki. Jediną jej zawartość stanowiło srebrne pudełko i miniaturowy terminal. W chwili, gdy zamierzała je wyjąć, usłyszała, że ktoś wkłada klucz do zamka drzwi. Zeskoczyła na podłogę i wycelowała w niego pistolet.

Drzwi odsunęły się, ukazując zaskoczonego Wenera.

Widok uzbrojonej zakonnicy miał prawo kompletnie go zaskoczyć. Moment później uśmiechnął się, rozpoznawszy ją i wszedł do środka, unosząc jednocześnie rękę. Kyle wszedł w ślad za nim, ale z opuszczonymi rękoma.

— Zamknij drzwi na klucz — poleciła mu.

— Zrób to — Werner nie odwracał wzroku od wymierzonej w jego pierś beretty. Kyle zamknął drzwi.

— Jeśli Hendrique będzie starał się wejść tymi drzwiami — wskazała głową połączenie między przedziałami, — zginiesz pierwszy.

— Daję słowo, że nie przyjdzie mu to nawet do głowy, choć może cię zainteresować, co też w tej chwili robi nasz drogi Hendrique. Mogę otworzyć? — Jedną z uniesionych rąk Werner wskazał drzwi.

— Nie ruszaj się!

— Jak sobie życzysz. Myślałem tylko, że chciałabyś zobaczyć swego partnera. Hendrique ma rozkaz zabić Grahama, jeśli nie zobaczy mnie w ciągu dwóch minut — spojrzął na zegarek. — Jedna już minęła. Możesz uważać, że bluffuję, ale jego śmierć będzie cię prześladowała do końca życia.

— Ty otwórz — poleciła Kyle'emu, nie spuszczając oczu z Wenera.

Kyle odsunął zasuwę, zastukał cztery razy i z drugiej strony bolec również odsunięto. Rozsunął drzwi, ukazując związanego i zakneblowanego Grahama siedzącego na fotelu. Hendrique stał nad nim, trzymając franchi o parę cali od jego piersi.

— Coście mu zrobili? — spytała z niepokojem.

— Środki nasenne, to wszystko — odparł Werner. — Był nader agresywny nawet w kajdankach. Masz trzydzieści sekund, by rzucić broń. Hendrique jest wzorem punktualności, zwłaszcza gdy chodzi o zabijanie.

Wzrok tego ostatniego był jawnym wyzwaniem, jego usta wykrzywił pogardliwy grymas.

Zawahała się: rzucenie broni oznaczało złamanie jednej z podstawowych zasad UNACO — nigdy nie ustępować terrorystom. Graham poświęcił rodzinę, by powstrzymać falę bombardowań i wiedziała, co chciałby, by zrobiła. , Zastrzelenie Hendrique byłoby łatwe, ale jeśli za cenę śmierci Grahama? Jak powiedział Werner, żyłaby z tą świadomością do końca swych dni.

— Dwadzieścia sekund.

Odsunęła Wenera i wycelowała broń w głowę Hendrique. W odpowiedzi ten przyłożył strzelbę do piersi Mike'a. Kyle zrobił krok w jej stronę.

— Zostaw! — warknął Hendrique. — Załatwimy to na mój sposób.

Kyle cofnął się.

Spojrzała na nieprzytomnego Grahama, ściskając mocniej pistolet.

— Dziesięć sekund.

Wpatrzona w twarz Hendrique'a nerwowo przełknęła ślinę.

— Siedem sekund.

Palec zbieleł jej na spuście i Hendrique uśmiechnął się lekko.

— Cztery... trzy... dwie... jedna...

Wypuściła broń, którą natychmiast złapał Kyle i wycelował w jej głowę.

Hendrique przesunął broń, celując teraz w brzuch związanego.

— Poddałam się, czego jeszcze chcesz?

— Poddałaś się — powtórzył, i nacisnął spust. Click.

— Wiele się nauczyłem o ludzkich charakterach i mogę zawsze powiedzieć, kiedy bluffują. Poza tym przez to pojedynek jest ciekawszy.

— Zagroziłeś całej...

— Nie zagroziłem niczemu — przerwał Wernerowi. — Wiedziałem, że ona ustąpi. Pomiędzy agentami istnieje wzruszające poczucie lojalności, a zwłaszcza pomiędzy partnerami.

— Chcesz, żebym ją związał? — spytał Kyle.

— Najpierw daj mi jej broń.

Sabrina wybrała moment doskonale — jej kolano zetknęło się z brzuchem Kyle'a w chwili, w której wyciągał pistolet w stronę Hendrique'a. Obróciła się w jego stronę, ale znalazła się na wprost lufy desert eagle.

— To kwestia szybkości — poinformował ją uprzejmie Hendrique. — Czy trafisz mnie, zanim pociągnę za spust?

— Jeśli ten jest załadowany — odparła, trzymając nadal habit uniesiony, by się nie zaplątać.

— Uczysz się szybko — przyznał — ale czy gotowa jesteś sprawdzić?

— Opuściła habit i Kyle z twarzą ciągle wykrzywioną bólem zapiął jej kajdanki na wykręconych rękach, po czym pchnął ją w stronę nieprzytomnego Grahama.

— Skąd wiedzieliście, że jestem w tym przedziale? — spytała.

Werner odchylił marynarkę ukazując mały odbiornik przymocowany do paska.

— Piszcz, gdy ktoś otworzy walizeczkę — wyjaśnił.

— Wobec tego zastawiłeś na mnie pułapkę?

— Raczej zastawiłem przynętę. Twój widok autentycznie mnie zaskoczył. Sądziłem, że to będzie ktoś nowy, przysłany na twoje miejsce. Wygląda na to, że nie docenialiśmy daru przekonywania UNACO — zaskoczenie na jej twarzy musiało być widoczne, gdyż roześmiał się drwiąco. — Tak, wiemy dla kogo pracujesz, choć trochę czasu trwało ustalenie tego. UNACO nie jest specjalnie znaną firmą.

— Dlaczego to robisz? Masz wszystko: pieniądze, szacunek, jedną z najlepszych kompanii w Europie. Wdałeś się w coś, z czego nie ma wyjścia. Stracisz wszystko, a wraz z tobą stracą miliony dzieci, które korzystają z twoich fundacji charytatywnych. Pamiętam program, jaki w zeszłym roku zrobiło o tobie NBC. Te Murzyniátka traktowały cię jak boga, zesłanego, by dał im nadzieję na przyszłość. Przyznaję, że poczułam się dumna z faktu, iż cię znam. To wszystko było tylko rolą? Doskonałym parawanem? Kto by przypuszczał, że czołowy filantrop świata jest jednocześnie handlarzem bronią.

— Handlarzem bronią? — Werner roześmiał się szczerze. — Taką macie o mnie opinię? Te fundacje miały być parawanem, ale stały się obsesją. Dzięki nim czuję, że robię coś pożytecznego, pozostając tu, na Zachodzie...

— Mówi pan za dużo — przerwał mu Hendrique.

— I tak wkrótce się wszystko wyjaśni — Stefan wzruszył z rezygnacją ramionami.

— Jesteś w KGB? — upewniła się.

— Zgadza się — poklepał neser. — Miałem nadzieję, że da się tego uniknąć, ale nie pozostawiłaś mi wyboru. Wiesz, co jest wewnątrz, nie wiesz tylko, co znajduje się w tym pudełku. Pokażę ci.

Na terminalu wybrał cztery cyfry i malutki ekranik rozjarzył się ich kombinacją: 1967. Pudełko otworzyło się. Wewnątrz był nadajnik nie większy od zapalniczki, zwisający na złotym łańcuszku. Werner odłożył neser i pochylił się ku niej, trzymając w dłoni nadajnik.

— Nie zamierzam cię obrażać, tłumacząc rzeczy oczywiste i owijając sprawę w bawełnę. Jak się domyśliłaś, w kontenerze jest sześć beczek. Pięć z nich zawiera pluton, szósta zaś materiał wybuchowy i zapalnik. Wszystko zamontowane zostało w próżni i zabezpieczone tak, że jest zupełnie bezpieczne jak długo w tej próżni pozostaje. Dopływ powietrza uruchamia mechanizm, podobnie jak naciśnięcie tego — wskazał pojedynczy, czerwony przycisk na nadajniku. — Dałoby to wybuch podobny do tego w Nagasaki, tylko w samym sercu Europy, a opad radioaktywny byłby katastrofą dla wielu pokoleń. Jak silny jest ów materiał wybuchowy w beczce, nie wiem, gdyż go nie widziałem, nie mam jednak żadnych wątpliwości, co do jego skuteczności. Acha, jeszcze jedno, wszystkie beczki są tak samo oznaczone i tyle samo ważą. Nikt nie wie, co jest w której.

— I ty masz jeszcze czelność mówić o robieniu czegoś pożytecznego? — patrzyła na niego z przerażeniem.

— Czy naprawdę sądzisz, że ja chcę nacisnąć ten guzik? — spojrzał na nią z wyrzutem. — Niczego nie osiągnie się w ten sposób, poza zniszczeniem plutonu, po tym, jak jego zdobycie kosztowało nas masę wysiłku. To, co ci powiedziałem, to zabezpieczenia na wypadek próby przeszkodzenia nam. Chcemy uniknąć katastrofy równie mocno, jak ty. Żadne z nas nie przeżyłoby jej, nie mówiąc już o innych sprawach.

— Wobec tego czego chcecie?

— To prośba, nie żądanie.

— A jeśli się jej nie spełni, to gotów jesteś poświęcić się w jej imię?

— Jeśli nie będę widział innego wyjścia, to tak — założył nadajnik na podobieństwo medalika i

włożył pod koszulę. — Strzykawkę!

Hendrique wyjął ją ze sterylne go opakowania i podał mu. Werner podwinął rękaw habitu, odnalazł w zgięciu łokcia żyłę i delikatnie wbił igłę. Po zastrzyku zdjął jej berbet, pozwalając włosom swobodnie opaść na ramiona.

— Ślicznie wyglądasz — szepnął chcąc pogłodzić ją po policzku, ale szarpnęła ostro głową. — Żegnaj, moja droga Sabrino.

— Do zobaczenia następnym razem — język zaczął się jej już plątać.

— Zostań z nimi — polecił Kyle'owi Hendrique.

Potrząsnęła głową starając się przewyciężyć ogarniającą ją senność, ale powieki ciążyły jej niepowstrzymanie. Przedział zawirował w kalejdoskopie rozmytych barw i kształtów i osunęła się na bezwładne ciało Grahama.

Rozdział dziesiąty

Whitlock mógł zwięźle i precyzyjnie określić swoje samopoczucie — pod psem. W ciągu trzech dni w Monachium osiągnął, co następuje: jego legenda nie wytrzymała pierwszego spotkania z piękną dziewczyną, która akurat przypadkiem sypiała swego czasu z głównym dziennikarzem New York Timesa (co zostało przeoczone przez UNACO); prawie przejechał go mercedes, którego kierowcę kilkanaście godzin potem utopił (albo podtopił). Choć zgadzał się z Karen co do udziału Leitziga w aferze z plutonem, nie miał przeciwko niemu cienia dowodu, a każda próba śledztwa prowadziła w ślepią uliczkę. Jeśli w najbliższym czasie czegoś nie wymyśli, to może cały swój pobyt tu spisać na straty. Problem polegał na tym, że nie miał żadnego pomysłu.

Zdecydowanie dzień mógł się lepiej zacząć — zasnął. budząc się dopiero o 9³⁰, a gdy wsiadł do golfa, zaczął kropić deszcz, zamieniając się błyskawicznie w ulewę. Zatrzymał się na chwilę w hotelu. Przebrał się i z grubsza obmył, po czym ruszył do zakładów starą, frankfurcką drogą, którą poleciła mu wczoraj Karen. Ruch był prawie żaden — większość kierowców wolała autostradę A 66.

Zatrzymał golfa jak najbliżej wartowni i uchylił okno, wysuwając przez nie przepustkę, którą wystawiła mu Karen. Jeden z wartowników naciągnął pelerynę, założył czapkę, by jako tako osłonić się od deszczu, i podszedł do wozu.

— Dobry — powitał go C. W. — Whitlock, New York Times.

Strażnik przebiegł wzrokiem osłoniętą plastiką listę.

— Mamy rozkaz nie wpuszczać pana — oznajmił niespodziewanie.

— Kto cofnął moją przepustkę? — zdenerwował się Whitlock.

— Doktor Leitzig.

— Dlaczego?

— Pojęcia nie mam. Niech pan do niego zadzwoni z miasta i spyta.

— Chcę z nim mówić!

— Ma pan nieważną przepustkę i przebywa pan nielegalnie na terenie obiektu rządowego. Proszę odjechać.

Whitlock cisnął przepustkę na sąsiedni fotel, klnąc pod nosem — Leitzig załatwił go na cacy. Bez wątplenia znalazł jakiś jak najbardziej legalny powód, by wydać to polecenie i w efekcie skutecznie odciął go od możliwości dostania się do zakładu.

— Mówiłem, żeby pan odjechał — strażnik zastukał w szybę.

C. W. zdawał sobie sprawę, że dyskusja jest bezcelowa — strażnik najprawdopodobniej siedział u doktora w kieszeni. Potrzebował czasu, by przemyśleć plany dalszego postępowania, a czas nie pracował na jego korzyść. Zawrócił wóz i ruszył do miasta.

Strażnik zczekał aż wóz rozmył się w deszczu, odczepił od pasa radiotelefon i powiedział:

— Jest w drodze.

Whitlock ponownie skierował się na starą drogę Frankfurt-Monachium, dziury były lepsze od długiego objazdu do autostrady. Włączył radio, nastawiając je na jakąś muzykę — wszystko było lepsze od rolniczych dyskusji po niemiecku. Rosie, jego piętnastoletniej siostrzenicy podobałoby się to, czego słuchał, choć on preferował raczej to, co grano w latach sześćdziesiątych, gdy śpiewacy, w przeciwieństwie do dzisiejszych, potrafili śpiewać, a kapele nie konkurowały ze sobą pod względem ilości wyprodukowanych decybeli. Rosie przypominała mu zresztą regularnie, że im kto starszy, tym mu trudniej dotrzymać kroku zmianom następującym w społeczeństwie, co nieodmiennie powodowało, że czuł się dwukrotnie starszy!

Z zadumy wyrwała go para reflektorów odbitych w tylnym lusterku — były oślepiające i zbliżały się szybko. Mruknął coś o nieliczeniu się z innymi przez niektórych kierowców i dał sygnał tamtemu,

by go wyprzedził, ale światła pozostały przylepione do bagażnika golfa, zmuszając go do przesunięcia lusterka. Otworzył okno i ręką dał znać tamtemu, by go wyprzedził, po czym zjechał na pobocze, by tamten zobaczył drogę przed sobą. Światła drgnęły, dostrzegł błysk czerwonego lakieru i chromu — rangę rover. Maszyna zrównała się z volkswagenem, ale przez przydymione szyby nie był w stanie dostrzec kierowcy.

— No jedź, do jasnej cholery — zdenerwował się widząc, że tamtemu nie spieszno go do końca wyprzedzić. Rover skręcił nagle ocierając się o bok golfa.

— Cholerny maniak — wrzasnął C. W., skręcając gwałtownie kierownicą, by utrzymać wóz na szosie.

Łagodne i równe pobocze kończyło się stromą pochyłością, za którą rósł las — uderzając w drzewo mógł rozbić zbiornik i wywołać pożar.

Rover ponownie uderzył w bok golfa i Whitlock instynktownie użył hamulców, zdając sobie sprawę z tego, że może utracić panowanie nad kierownicą i stoczyć się w las. Wiedział też, że silnik rangę rovera jest o wiele silniejszy i że wyłącznie kwestią czasu jest wymuszenie na nim zjechania z drogi. Tylne koła zarzuciły, tracąc przyczepność i golf stanął w poprzek drogi. Rover zatrzymał się, zawrócił i ruszył ostrożnie w stronę volkswagena, który mając koła zawieszane nad przepaścią, nie mógł się ruszyć. C. W. sięgnął do skrytki na rękawiczki, szukając schowanego tam browninga. Gdy jego palce złapały kolbę, rover rąbnął w golfa, rozbijając prawy reflektor i masakrując przedni błotnik. Golf obrócił się o 180 stopni i Whitlock huknął głową o kierownicę. Wyprostował się z trudem, głowa pulsowała bólem, a krew z rozciętego czoła zalewała oczy.

Napastnik zawrócił do kolejnego ataku — volkswagen stał o parę stóp od skraju pobocza i następne uderzenie prawie na pewno wysłałoby go w las. Silnik nie dał się zapalić, toteż C. W. złapał pistolet wyrzucony siłą uderzenia na fotel obok niego. Rover kierował się wprost na drzwi kierowcy, by nadać właściwy kierunek upadkowi golfa i skończyć sprawę efektywnym koziółkowaniem. Odczekał, aż samochód znalazł się o dwadzieścia stóp przed nim, przez otwartą szybę wycelował starannie, mierząc w środek przyciemnionej szyby i dwukrotnie pociągnął za spust. Obie kule trafiły, przebijając szkło o cale od siebie i zamieniając przednią szybę w tysiące potrzaskanych kawałeczków, utrzymywanych jedynie przez wgrzaną w szybę folię. Maszyna skręciła gwałtownie, nie trafiając w golfa i zniknęła za zakrętem.

Dopiero wtedy Whitlock dostrzegł motor stojący na drodze. Było to czarne suzuki 1000 CC. Kierowca w białym, skórzanym kombinezonie zapalił go kopnięciem i z rykiem silnika zniknął w ślad za rangę roverem.

Jemu samemu udało się uruchomić silnik dopiero po paru minutach i dopiero wtedy zaczął się zastanawiać nad całą tą akcją — dotąd działał instynkt i odruchy. Zastanawiał go rangę rover. Pewien był, że nigdy dotąd go nie widział. Im dłużej myślał, tym bardziej był pewny, że ktoś o nim mówił. Spotkał w zakładach z tuzin osób w dniu wczorajszym, ale nie mógł sobie przypomnieć, kto mógł mu powiedzieć o takim samochodzie... Olsniło go tak nagle, że nazwisko powiedział na głos.

— Leitzig.

Herr doktor miał rangę rovera, którym jeździł na ryby.

Głowa zaczynała dawać mu się poważnie we znaki, zanim znalazł budkę telefoniczną, ale podejrzenia zaczęły nabierać coraz realniejszego kształtu, gdy okazało się, że naukowiec ma dziś popołudniową zmianę. Odszukał jego adres w książce telefonicznej, wydarł interesującą go stronę i wrócił do zmasakrowanego golfa. Zniszczeniami zajmie się później, używając do tego celu karty kredytowej Hertza. UNACO zwróci mu wydatki, gdy wróci do Nowego Yorku, choć Kolczyński z pewnością nie będzie uszczęśliwiony...

Leitzig mieszkał w piętrowym domu na Quintinstrasse, która dochodziła do starego uniwersytetu na wschodnim brzegu Renu. Whitlock zaparkował wóz przy końcu ulicy, wsunął pistolet w kieszeń i przebiegł w deszczu przestrzeń dzielącą go od garażu. Osłaniając oczy przed światłem, zajrzał do wnętrza przez pękniętą szybę i, choć zasłonięto ją kawałkiem worka, dostrzegł wewnątrz czerwonego rangerovera o pokiereszowanej karoserii. Szyby nie był w stanie dostrzec, ale miał wszystko, czego potrzebował, by pogawędzić konstruktywnie z Herr doktorem.

Ponieważ chciał go zaskoczyć, najpierw pokonał sześciostopowy parkan (na szczęście drewniany), i wylądował na zarośniętym, tylnym podwórku. Znieruchomiał w przysiadzie z bronią w ręku, oceniając otoczenie. Po prawej miał werandę prowadzącą najprawdopodobniej do kuchni i ku niej właśnie skierował kroki, idąc przez wybujalą trawę i klnąc na czym świat stoi, gdyż buty i spodnie przemokły mu błyskawicznie. Razem z pokrwawioną koszulą i zrujnowaną marynarką stanowiło to obraz nędzy i rozpacz, a dodając do tego fakt, że koszula była od Diora, marynarka od Jamesa, a buty od Cardina, dawało to niezły rachunek dla UNACO i miłe emocje dla Kolczyńskiego. Dotarł do werandy i spróbował otworzyć drzwi — nie były zamknięte.

Na jego drodze stał owczarek alzacki, ale zamiast rzucić się na niego w obronie swego terenu, pomachał ogonem i wrócił na swoje legowisko. Whitlock zrezygnował z próby pogłaskania go, stwierdzając samokrytycznie, że dziś i tak wykorzystał limit szczęścia do maksimum. Wśliznął się do kuchni i zamknął za sobą drzwi, po czym zdjął przemoczone buty.

Leitzig siedział przy przenośnym grzejniku, ustawionym w salonie, odwrócony plecami do drzwi, toteż C. W. miał możliwość spokojnego rozejrzenia się po otoczeniu. Zaskoczyło go mocno — była to świątynia jednej kobiety, obwieszona jej zdjęciami, poczynając od wczesnej młodości, aż do wieku średniego. Dziesiątki powiększonych fotografii, każda z nich oprawiona i starannie zawieszona, lub ustawiona na jakimś meblu.

Cała wściekłość gdzieś z niego wyparowała i głos, gdy się w końcu odezwał, brzmiał głucho.

— Doktorze Leitzig.

Gospodarz zerwał się na równe nogi odwracając się ku niemu. Miał furię w oczach.

— Won! — krzyknął. — Proszę natychmiast wyjść! Whitlock odruchowo cofnął się do hallu z pistoletem w opuszczonej bezwładnie dłoni.

— To jej pokój i tylko ja mam prawo go z nią dzielić — Leitzig oddychał ciężko, ale znacznie się uspokoił. — Nikt inny nie ma tego prawa.

— To porozmawiajmy w jakimś innym miejscu, choćby w kuchni.

— Kim pan jest? I czego pan chce? — gospodarz jakoś nie palił się do pogawędki.

— Whitlock. Jakąś godzinę temu próbował mnie pan zabić. Pamięta pan?

— Pojęcia nie mam, o czym pan mówi. Proszę się wynosić, albo zadzwonię na policję.

— Proszę bardzo, ale proszę nie zapomnieć im powiedzieć o swoim ranę roverze w garażu. Mogą być zainteresowani porównaniem farby z jego uszkodzeń i uszkodzeń mojego golfa. Z pewnością dojdą do ciekawych wniosków.

— Nie sądzę, żeby chciał pan zobaczyć się z policją — mruknął naukowiec. — Podobnie jak ja.

C. W. dotarł do granic cierpliwości i dobrych manier. Złapał Leitziga za kołnierz i rozpląszczył na ścianie.

— Mam dość grania w kulki — warknął cicho, ale dobitnie. — Chcę odpowiedzi i przysięgam, że je dostanę.

— Nie można mnie już bardziej zranić — Leitzig potrząsnął głową. — Jestem uodporniony na ból.

Whitlock puścił go i wszedł do salonu. Wziął pierwszą z brzegu fotografię i powiedział spokojnie:

229

— Rozbiję je i podrę, jedną po drugiej. Będę to robił tak długo, aż dowiem się tego, co chcę wiedzieć.

Gospodarz wpatrywał się w zdjęcie z przerażeniem, zupełnie jakby była to bezcenna waza z epoki Ming.

— Błagam, niech pan tego nie robi — jęknął.

— Jak odpowie pan na moje pytania.

— Odpowiem, tylko proszę, błagam, niech pan je zostawi w spokoju.

Whitlock odstawił zdjęcie na szafkę i podszedł do grzejnika. Leitzig czym prędzej złapał fotografię i siadł w fotelu przyciskając ją do piersi.

— Moja żona — powiedział cicho, gładząc szkło.

— Tak mi się zdawało. Kiedy zmarła?

— Trzy lata temu. Zabiłem ją.

— Że jak?!

— Umierała na raka i nie mogłem znieść widoku jej cierpień, toteż zabiłem ją. Zrobiłem to tylko dlatego, że tak mocno ją kochałem.

— Eutanazja — mruknął wstrząśnięty Whitlock.

— Można to nazwać, jak się chce. Prawda jest taka, że zginęła z mojej ręki. Zawiozłem ją do Travemunde, gdzie 26 lat temu spędziliśmy miodowy miesiąc. Chciałem, żeby miała najwspanialsze wakacje w życiu, a ostatniej nocy upiłem ją przy kolacji i zabrałem na długi spacer po plaży — palce zaciśnięte na fotografii zbieleły. — I wtedy ją utopiłem.

— Nikt pana nie podejrzewał?

— Dochodzenie zakończyło się orzeczeniem, że to wypadek, jeśli o to panu chodzi. Ale tu — wskazał na głowę — nie uniknąłem kary. Wina jest gorsza od migreny. Nigdy nie ustępuje. Często myślałem o samobójstwie, ale nie mam odwagi.

Whitlock potarł bolącą głowę i z ulgą stwierdził, że rozcięcie nad brwią przestało krwawić.

— Chce pan suche ubranie? — gospodarz po raz pierwszy zwrócił uwagę na jego wygląd. — Przyniosę panu spodnie i sweter.

Oferta była kusząca, ale C. W. zdecydowany był doprowadzić wreszcie sprawę do końca.

— Siedz pan i opowiadaj — polecił.

— Co się ze mną stanie?

— To zależy od tego, na ile będzie pan współpracował. Jak się pan wplątał w tę całą aferę?

— Zostałem zmuszony do współpracy szantażem — odparł spoglądając na zdjęcie.

— Co mieli na pana?

— Pokażę. Mogę wstać? To jest w biurku — naukowiec otworzył jedną z szuflad i podał mu

brązową kopertę, po czym wrócił na fotel.

Wewnątrz było sześć czarno-białych fotografii. Wszystkie zrobione za pomocą teleobiektywu z przesłoną na noc. Pokazywały różne stadia tej samej czynności: Litziga topiącego w rnorzu żonę. Ostatnie ukazywało go wychodzącego z wody, w której unosiło się martwe ciało żony. Whitlock wsunął zdjęcia do koperty i oddał właścicielowi.

— Te zdjęcia wsadziłyby mnie do więzienia na resztę mojego życia.

— Kto je zrobił?

— Pojęcia nie mam. Dostałem je pocztą dwa dni po orzeczeniu.

— I co dalej?

— Przez pół roku nic, a potem ktoś zadzwonił na uniwersytet, na którym pracowałem i polecił mi ubiegać się o stanowisko szefa produkcji w tych zakładach. Z moim doświadczeniem zostałem przyjęty po pierwszej rozmowie, a potem dowiedziałem się, że mój poprzednik zginął w dość tajemniczych okolicznościach, zjeżdżając na nartach w St. Anton w Austrii. Może się pan ze mną nie zgodzić, ale sądzę, że został zamordowany, by umożliwić mi objęcie tego stanowiska.

— Widział pan któregoś z szantażystów?

— Dwóch z nich. Ten ważniejszy to makiaweliczny typ: całkowicie zły. Potężnie zbudowany mężczyzna o czarnych włosach i mrocznych oczach.

— Nazwisko?

— Hendrick, Hendricks, coś w tym rodzaju. Nie należał do osób, które można prosić o powtórzenie nazwiska.

— A ten drugi?

— Kanadyjczyk o nazwisku Vanner. Włosy blond i wąs. Przeważnie woził Hendricksa, używając czarnego mercedesa. Kolejny fragment łamigłówki znalazł się na miejscu.

— Kiedy zaczęliście podbierać pluton? — Whitlock przeszedł do meritum sprawy.

— Sześć czy siedem miesięcy po tym, jak zacząłem tu pracować — Leitzig wyjął paczkę papierosów i zapalił jednego. — Przez ten czas miałem zwerbować czterech nowych techników i choć odbyłem rozmowy z kilkunastoma kandydatami, przyjąć mogłem tylko poleconych przez Hendricksa. Wszyscy doskonale znali się na procedurze odzyskiwania, toteż nie wzbudziło to niczyich podejrzeń. Pracowaliśmy w piątkę, cała operacja przebiegała jak w zegarku. — Przejrzałem dokładnie wydruki zestawień i nie dostrzegłem żadnych nieścisłości. Musiał pan zabierać pluton w

trakcie procesu oczyszczania, ale jak pan to robił przy takiej ilości innych techników? Czy też było więcej wtajemniczonych?

— Poza paroma strażnikami i kierowcami nikt o niczym nie wiedział. Widzi pan, myśmy nie zabierali plutonu w trakcie oczyszczania, tylko po jego zakończeniu.

— Ale dane, które są umieszczane w zestawieniach, pochodzą z kilku źródeł i zawsze są zgodne!

— Owszem, i próba oszustwa w tym miejscu jest niewykonalna. Jest natomiast tam także pozycja "Straty produkcyjne", na którą najprawdopodobniej nie zwrócił pan uwagi.

— Pamiętam ją, ale dane wykazane tam są prawie równe zeru. Karen mówiła, że ma to coś wspólnego z drobinami pozostałymi w przewodach i roztworze... Nic mi to nie mówiło.

— Jak panu mówiłem w zakładzie — Leitzig zgasił niedopałek — uran i pluton przechodzą kilka faz oczyszczania, by pozbyć się odpadów radioaktywnych zanim zostają rozdzielone na dwa roztwory. W trakcie każdego z nich pozostaje część, bardzo niewielka część obu pierwiastków osadzona w rurach, na filtrach i w rozpuszczalnikach. Ilość jej różni się w każdym ze stadiów i nigdy nie jest większa niż parę gramów, ale jak to zbiera się przez parę lat... Próbuje się je naturalnie odzyskiwać po zakończeniu oczyszczania dużych ilości paliwa, ale ja od początku zacierałem ślady. Jedną z pierwszych rzeczy, jakie zrobiłem, była wizyta u dyrektora, podczas której wyraziłem swoje niezadowolenie z małej efektywności metody i dużych strat nią spowodowanych. Dał się złapać i poprosił mnie, bym zajął się tą sprawą i w ten sposób miałem wolną rękę. Po trzydniowej operacji oczyszczania mieliśmy osiem do dziewięciu gramów, nie zmieniając w niczym danych, które, jak pan sam twierdzi, nie budzą zastrzeżeń. Pracowaliśmy przeszło dwa lata i efektem jest sześć kilogramów wzbogaconego plutonu. Takiego, jakiego używa się do celów wojskowych.

— I gdzie on jest?

— Słyszałem kiedyś, jak Hendricks mówił, że miejscem docelowym ładunku jest tajne laboratorium w Libii.

— Podał nazwę statku, którym chcą dostarczyć pluton?

— Nie słyszałem.

— A powiedział, do czego konkretnie ma on zostać użyty?

— Niech pan ruszy głową. Można wykorzystać go do budowy głowic nuklearnych, ale osobiście sądzę, że zrobią z tego zwykłą bombę atomową. Sześć kilogramów to idealna ilość do tego celu.

— Kadafi z bombą atomową w rękach?! Słodki Jezu! — tym nawet Whitlock był wstrząśnięty. — Niech mi pan poda nazwiska współpracowników: techników, strażników, kierowców i całej reszty.

Przerwał mu dzwonek do drzwi.

— Mogę otworzyć, czy nadal mam się nie ruszać? — spytał Leitzig.

— Może się pan ruszyć — Whitlock wziął do ręki fotografię, tym razem z biurka.

Gospodarz spojrział nań błagalnie i wyszedł.

Rozległ się odgłos otwierania drzwi, a następnie stłumione kasznięcie, na które większość ludzi nie zwróciłoby uwagi. C. W. zwrócił, doskonale zdając sobie sprawę, co to takiego. Był to strzał oddany z broni wyposażonej w tłumik. Szczupakiem wypadł do hallu, przetaczając się po chodniku i nieruchomiejąc w przykłęku, z browniingiem przed sobą. Nie było śladu strzelca, toteż zerwał się na równe nogi i wypadł na podjazd akurat na czas, by zobaczyć oddalającą się sylwetkę w białym kombinezonie na czarnym suzuki.

Leitzig leżał oparty plecami o ścianę, krwawiąc obficie z rany na brzuchu, gdy Whitlock wbiegł z powrotem, zatrzasnął drzwi i pognął szukać bandażu, by zatamować upływ krwi. Po prowizorycznym opatrunku wsunął kompromitujące gospodarza zdjęcia w kieszeń, założył buty pozostawione w kuchni i zadzwonił po karetkę. Nic więcej dla niego nie był w stanie zrobić, toteż zniknął czym prędzej, by nie natknąć się na pogotowie.

Pierwszym przystankiem było mieszkanie Karen, do którego dostał się w ten sam sposób, co kierowca mercedesa.

— Karen! — krzyknął, będąc już w środku, ale nie otrzymał odpowiedzi.

Kuchnia i salon okazały się puste, wobec czego skierował się ku sypialni. Drzwi były uchylone, tak jak zostawił je wychodząc rankiem, a Karen nadal spała z malowniczo rozrzuconymi na poduszce włosami. Wyszedł zamykając frontowe drzwi na łańcuch (poprzez rozbitą szybkę) i pojechał do hotelu, analizując wydarzenia pełnego wrażeń poranka. Pocieszającym było to, że pierwszy raz będzie w stanie przekazać Philpotowi coś konstruktywnego. Najpierw jednak gorąca kąpiel i opatrunek, a potem będzie się musiał pozbyć golfa w których z podziemnych garaży. Poobijany wóz z ubytkami lakieru nie jest zbyt trudny do zapamiętania, zwłaszcza jeśli parkuje w pobliżu miejsca strzelaniny. Będzie musiał wynająć inny samochód z innego towarzystwa, bo jeśli policja dotrze do niego, to może nic mieć tyle szczęścia, co Sabrina w Zurichu.

Gdy wchodził do hotelu wydawało mu się, że wszyscy podejrzliwie go obserwują, ale było to złudzenie. Mimo to nadrabiał miną, gdy podchodził pewnym krokiem do recepcji po klucz. Gdy dziewczyna mu go podawała, rozejrzał się nerwowo i pochylił ku niej. Na co odruchowo zrobiła to samo. ciekawa, co jej powie.

— Nie uwierz pani. ale pada — szepnął, po czym ruszył ku windzie, pozostawiając ją w stanie lekkiego ogłupienia.

Pierwszą rzeczą, jaką Sabrina dostrzegła, otwierając oczy, była rozmazana gęba, która się nad nią pochylała. Potarła oczy i udało jej się rozpoznać właściciela nieco wyraźniejszego oblicza.

— Mike? — język jej się plątał. — Mike, nic ci nie jest?

— Nic — mruknął przytykając szklankę do jej warg. — Wypij.

Upiła łyk brandy i rozkaszała się, gdy zawartość spłynęła ogniem do jej gardła.

— Wiesz, że tego nie cierpię — odsunęła szklankę z obrzydzeniem.

— Ludzie reagują najszybciej na coś, czego nienawidzą — odezwał się z kąta Philpot.

Rozejrzała się wokół — leżała na łóżku w czymś, co mogło być jedynie pokojem hotelowym.

— Gdzie jesteśmy? — spytała.

— De Francesca Hotel w Prato — poinformował ją Philpot. — Ambasada amerykańska dostała anonimowy telefon, informujący, że oboje z Mike'm leżycie nieprzytomni w jednym z magazynów na stacji w Prato. Rozmówca polecił też ambasadzie zadzwonić do nas. Skąd się dowiedzieli? Mike nie powiedział nic...

— Ja też nie — krzyknęła i złapała się za głowę. — O Boże, ale kac. Stefan Werner jest agentem KGB. Dowiedzieli się o nas z Moskwy.

— Werner, KGB? — zdziwił się siedzący przy drzwiach Kolczyński.

Odwróciła się ku niemu i zmartwiała — nosił gruby piankowy kołnierz wokół szyi i trzymał głowę odchyloną do tyłu pod niezbyt normalnym kątem.

— Co ci się stało?

— Miałem twarde lądowanie, ale to długa historia. Mike opowie ci potem ze szczegółami — odparł, sięgając po papierosa.

Ułożyła poduszkę wyżej i usiadła ostrożnie — ponieważ głowa jej nie odpadła, poczuła się pewniej.

— Mogę dostać coś do picia? — spytała. Mój język czuje się jak bieżnikowana opona.

— Kawy? — Philpot wskazał tacę na telewizorze.

— Jak najbardziej.

— Z mlekiem i bez cukru?

— Tak jest — odebrała od niego filiżankę i opróżniła do połowy, zanim ją odstawiła na nocny stolik.

Dokładnie opowiedziała im wszystko, co się stało, omijając jedynie fakt ustąpienia przed bluffem Hendrique'a, bo spotkałoby się to jedynie z lawiną krytyki, zwłaszcza ze strony Grahama. Zrobiła to dla niego i wiedziała, że nigdy nie będzie żałowała tej decyzji.

— A więc cała operacja jest pomysłem KGB — mruknął w zamyśleniu Philpot, gdy skończyła. — To byłoby tyle o waszej głośności, Siergiej.

— Bez uogólnień, Malcolm — odparł spokojnie Kolczyński, po czym spytał Sabrinę: — Czy Werner dał ci jakikolwiek ślad, co do swego szefa?

Potrząsnęła przecząco głową.

— Zadzwoń do Zurichu i ONZ. Zobaczymy, czego będą w stanie się dowiedzieć — Siergiej wstał dostojnie.

— Znasz KGB jak nikt z nas — Philpot położył mu dłoń na ramieniu. — Chyba nie ma tam tylu ekstremistów, gotowych na tego typu akcję... ?

— Jest ich więcej, niż sądzisz — uśmiechnął się gorzko Kolczyński i wyszedł.

— Dlaczego nie zadzwonił stąd? — zdziwiła się Sabrina.

— Bo czekam na ważny telefon — odparł Philpot, siadając na opróżnionym przez Rosjanina krześle. — W ciągu ostatnich paru godzin zdarzyło się wiele ważnych rzeczy, o których właśnie mówiłem Mike'owi, gdy się obudziłaś.

— Dlaczegoście mnie wcześniej nie obudzili?

— Bo nie było potrzeby. Jak długo nie otrzymam wiadomości, na które czekam, nie możemy wykonać żadnego ruchu — Philpot zajął się nabijaniem fajki, co stanowiło u niego prawdziwy rytuał. — Po tym, jak dowiedziałem się o was, wysłałem jeden z helikopterów, by obserwował pociąg przez resztę drogi do Rzymu. Gdy pilot zlokalizował pociąg okazało się, że wagonu towarowego nie ma.

— Odczepili go?

— Właśnie — wydmuchnął kłęb wonnego dymu. — Na następnym przystanku wsiedli nasi ludzie, ale Werner i Hendrique już zniknęli. Według tego, co twierdzi konduktor, wysiedli tu, w Prato. Natomiast wagonu towarowego tu nie odczepiono. Dlatego sprawdzono wszystkie stacje między Prato a Modeną.

— I co?

— Godzinę później zawiadowca stacyjki w Montepiano, to z piętnaście mil na północ stąd, przypomniał sobie o jakimś pojedynczym wagonie, na jednej z bocznic. To może być figa z makiem, ale jak dotychczas jedyna, jaką mamy. Helikopter zawiózł tam ekipę, by obejrzeć ten wagon.

— I na telefon od nich właśnie czekamy? — upewniła się.

— Tak. Kiedy będziemy znali port, do którego się kierują, być może zdążymy tam przed nimi i powstrzymamy transport. Jedna z maszyn czeka w pogotowiu niedaleko stąd, a Zurich zapewnił nas, że pilot zna okolicę jak własną kieszeń.

— Więc mamy odbić pluton, bez względu na groźbę Wenera?

— Znasz zasady postępowania UNACO... — zaczął Mike.

— Mike, zamknij się! Gdybyś cytował regulamin, to byłoby to jeszcze do zniesienia, ale to zabrzmiało jak kwestia mówiona przez Stallone w roli Mackbeta — warknął Philpot.

Sabrina zachichotała zasłaniając dłonią usta.

— Przepraszam — powiedziała po chwili w miarę normalnym głosem.

Graham posłał jej lodowate spojrzenie.

— Nie mamy pewności, czy Werner nie bluffował, co do swego zdeterminowania, a ustąpienie w tym przypadku rozzuchwaliłoby jego następców. Zostaliśmy utworzeni do zajmowania się dokładnie takimi sytuacjami i nie możemy się cofnąć — Philpot pyknął dymem i zamilkł na chwilę. — Snajper zabija, gdy musi, ranny przeciwnik jest nadal niebezpieczny. Myślę, że wiesz, co mam na uwadze.

Jednocześnie i ona i Mike skinęli głowami, a Philpot wskazał fajką dwie kremowe torby stojące obok łóżka.

— Udało mi się je wydostać od władz szwajcarskich. Sądzę, że masz ochotę się przebrać.

Sabrina pozbierała najpierw siebie z łóżka, potem torby z podłogi.

— Jak najbardziej — przyznała. — Zdecydowanie wole być sobą.

— Łazienka jest tu — Philpot wskazał drzwi po prawej. Czym prędzej weszła do łazienki, zamykając drzwi za sobą.

— Dlaczego tak jej nie lubisz, Mike? — spytał Philpot, podchodząc do okna. — Dlatego, że jest kobietą? Dlatego, że nie ma twojego doświadczenia? Czy może dlatego, że jej umiejętności

strzeleckie... ?

— To nie ma nic do rzeczy.

— Widziałeś ją kiedyś na strzelnicy? Pytam, bo wiem, że sam tam często jesteś?

— Wiem, że jest lepsza ode mnie — Graham wzruszył ramionami.

— Myślałem o was obojgu przez ładnych parę dni i dlatego kazałem to sobie przysłać z Nowego Yorku — otworzył neseser i wyjął zeń kopertę. — Oczywiście są tajne, ale jako jej partner powinieneś to obejrzeć. To tarcze, do których strzelała na teście wstępnym, a raczej tylko parę z nich. Ale wystarczą, by pokazać, o czym mówię. Obejrzyj je, może się czegoś nauczysz.

Mike otworzył kopertę i wyjął pierwszą z nich. W rogu ktoś wypisał: "Beretta 92A 5". W samym środku czarnego kółka był otwór. Druga była oznaczona napisem: "Mannlicher Luxus 10". Nie licząc jednego otworu w prawym, górnym rogu, czarne koło otoczone było wianuszkami przestrzelin.

Philpot wskazał otwór w rogu.

— To jej pierwszy strzał. Nie bardzo dobrze zestawiała broń. Nikt nie jest doskonały.

— Nigdy nie myślałem, że ktoś może być aż tak dobry — Mike włożył tarcze do koperty i oddał mu ją.

— Wiem, że niektórzy z was sądzą, że dostała się do UNACO dzięki wpływom ojca. Mogę ci powiedzieć, że miało to taki sam wpływ na naszą decyzję, jakby był prezydentem, albo jakby ona była kurewką z 42 ulicy. Decydującą sprawą w jej przypadku było strzelanie. To ona była na strzelnicy, nie jej ojciec.

— Mogę o coś spytać bez względu na stopień utajnienia?

— Zależy o co — mruknął Philpot wkładając kopertę do walizki.

— Czy jej ojciec miał jakikolwiek wpływ na ostateczną decyzję?

— Gdybyś spotkał Georga Carvera, nie musiałbyś o to pytać.

Mike czekał na dalszy ciąg, ale cisza przedłużała się. — Nie bardzo rozumiem — przyznał.

— Nie musisz. Odpowiedziałem ci na pytanie.

Zanim zdołał wyciągnąć z niego więcej, Sabrina otworzyła drzwi od łazienki. Ubrana była w luźną, białą bluzę i obcisłe dzinsy wpuszczone w wysokie, skórzane buty brązowej barwy. Włosy związała w tyle głowy białą wstążką.

— Skąd ta nagła cisza? — zainteresowała się. — Czy powinnam się jeszcze wykapać?

— Mike pytał o twojego ojca.

— Co za nagła ciekawość.

Graham posłał Philpotowi jadowite spojrzenie, starając się wymyślić jakieś rozsądne kłamstwo i zdając sobie sprawę że mu się to nie uda.

— Pytałem szefa, czy spotkał twojego tatusia.

— A spotkaliście się? — spytała zaciekawiona.

— Raz, w Montrealu. Miałem odczyt na zjeździe policjantów i wieczorem zostałem zaproszony na cocktail party w domu naszego ambasadora, którym wówczas był twój ojciec. Było to zwyczajowo nudne zbiegowisko do chwili, w której pojawiła się tam pewna dziewczynka w pidżamie, zdecydowana pokazać wszystkim złote gwiazdki, jakie w tym dniu nauczycielka wkleiła jej do zeszytu.

— Naprawdę to zrobiłam? — próbowała udać przerażenie, ale nie bardzo jej wyszło. — Straszne!

— Co mnie jednak najbardziej zaskoczyło, to sposób, w jaki zmieniałaś francuski na angielski i odwrotnie, rozmawiając ze swoimi rodzicami. Wiem, że twoja matka była Francuzką, ale ty mówiłaś tak płynnie jak ona, a nie miałaś więcej niż siedem czy osiem lat. Zapamiętałem to na długo.

— Tak mnie wychowano. Do ojca mówiłam po angielsku, do mamy po francusku. Można powiedzieć, że od początku byłam dwujęzyczna. Było to zresztą tak automatyczne, że gdy pierwszy raz nocowałam poza domem u koleżanki, a miałam wtedy dziewięć lat, do jej rodziców mówiłam w ten sam sposób. Byłam przekonana, że wszystkie matki mówią po francusku — siadła na łóżku i przyjrzała się swoim pomalowanym paznokciom. — Są jakieś wieści od C. W. ?

— Dzwonił dziś rano zanim wyjechałem z Zurichu, ale w tym całym zamieszaniu zapomniałem wam o tym powiedzieć. — Philpot potrząsnął głową i opowiedział im to, czego dowiedział się od Whitlocka, od przebudzenia telefonem Karen do strzelaniny u Leitziga dziewięć godzin później.

— Leitzig przeżył? — zainteresował się Graham.

— Whitlock dzwonił do szpitala zanim zadzwonił do mnie i powiedziano mu, że jest na intensywnej terapii i nie wiadomo, czy z tego wyjdzie.

— A C. W. ? Ta rana na głowie? — spytała Sabrina.

— Pięć szwów. Mike wyłgał się tańszym kosztem.

— A tobie co się stało? — zdziwiła się.

— Wystawiłem sobie ramię z barku. Nastawili mi jakoś i dali prochy. Stwierdzili, że do powrotu do domu wystarczą, a potem zajmą się tym poważnie.

Zadzwoił telefon.

Philpot odebrał go i słuchał bez słowa, od czasu do czasu potakująco kiwając głową. Po parunastu sekundach, milcząc odłożył słuchawkę.

— Wagon przyczepiono do składu jadącego do Triestu. Planowy przyjazd 4⁴⁰. Zostawia to wam nie więcej niż trzy kwadranse, ale jest szansa, że zdążycie pierwsi. Zadzwoię do pilota.

Oboje zaczęli się ubierać, wrzucając do kieszeni nowe beretty, wraz z zapasowymi magazynkami, w które zaopatrzył ich Kolczyński.

— Pilot czeka na dole — poinformował ich Philpot, odkładając słuchawkę.

Bez słowa wybiegli z pokoju.

190 mil dzielących ich od Triestu przelecieli w czterdzieści minut lądując na ugorze przylegającym do tylnej ściany budynku dworca.

Graham i Sabrina wyskoczyli, zanim jeszcze wirnik przestał wirować i biegiem dotarli do stacji. Dworzec pełen był turystów i kolejarzy, toteż Sabrina rozejrzała się, po czym zaciągnęła Mike'a w pobliże stojącego pod ścianą kiosku.

— Zorientuję się w informacji, co z pociągiem. Nie ma sensu, żebyśmy oboje zasięgaliby języka, bo się zgubimy w tym młynie. Zaraz wrócę.

Wróciła rzeczywiście pięć minut później, z niezbyt zadowoloną miną.

— Przyjechał przed czasem — domyślił się.

— Kwadrans temu.

— Więcej niż dość czasu, żeby przenieść ładunek gdzie tylko chcieli. Który peron?

— Siódmy.

— Musimy wrócić do helikoptera. Zobaczymy, czy zdołamy dostać się na peron. Philpot powinien być w stanie to załatwić, tak jak w Strassburgu — stwierdził po chwili namysłu.

— Czekał no — wyjęła z kieszeni dwie legitymacje oblane plastikiem i podała mu jedną. —

Zabrałam je policjantom w Szwajcarii. Wystarczy nimi pomachać przed nosem i powiedzieć "Polizia". Resztą gadania ja się zajmę.

— Czasami gotów jestem przysiąc, że jesteś nie tylko ładna.

— Jezu, tylko nie zacznij mi mówić komplementów. Wejścia na peron siódmy akurat nikt nie pilnował, weszli więc bez trudności.

— To Rapido — Sabrina wskazała na lokomotywę. — Nic dziwnego, że przyjechał przed czasem.

— Co to jest Rapido?

— We Włoszech jest wiele rodzajów pociągów. Rapido to ekspres, który staje tylko w większych miastach, jest szybki i punktualny, co w tym kraju jest rzadkością.

— To jak zakwalifikować tę trumnę, w której się tłukliśmy?

— Najwolniejszy z możliwych: Locale.

— Cosa desidera? — rozległo się z tyłu.

— Przygotuj legitymację — poleciała półgłosem Sabrina, odwracając się ku nadchodzącemu kolejarzowi.

Machnęła mu przed oczyma prostokątem, trzymając za fotografię i zalała potokiem włoskiego, zmuszając do błyskawicznej odpowiedzi. W ciągu kilkunastu sekund było po wszystkim kolejarz odszedł zadowolony, a ona podzieliła się nowinami z Mike'm, ledwie znaleźli się poza zasięgiem słuchu tamtego.

— Kontener został przeniesiony do białego furgonu jak tylko pociąg stanął na peronie.

— Dowiedziałaś się dokąd się udali?

— Słyszał, jak mówili o jakimś statku, ale nie wspomnieli jego nazwy.

— Jeśli pluton ma trafić do Libii, to Triest jest portem równie dobrym, jak każdy inny.

— Prosto przez Adriatyk i dalej przez Morze Śródziemne.

— Właśnie. Ale nadal mam ochotę obejrzeć ten wagon. Po tym, co się stało w Lozannie, nie bardzo dowierzam europejskim kolejarzom.

Nie oczekiwali komitetu powitalnego, ale profilaktycznie przełożyli pistolety z kabur do kieszeni kurtek. Sabrina przycisnęła się do ściany wagonu i na sygnał Mike'a, który ją ubezpieczał, otworzyła drzwi. Wagon był pusty.

— Tracimy czas — mruknął, zamykając drzwi po obejrzeniu wnętrza:

Gdy wrócili do helikoptera, zapadał już zmierzch. Po paruminutowym grzaniu silnika helikopter wystartował i skierował się w stronę doków.

— Spójrz! — w pewnym momencie Sabrina wskazała w dół na kompleks budynków.

Nabrzeża od dziewiątego do siedemnastego były wydzielone i jasno oświetlone, przez co wyraźnie widać było barwy Werner Freight, które pokrywały dosłownie wszystko. Charakterystyczne "W" widać było na ścianach budynków, kabinach dźwigów, a nawet na powierzchni samego nabrzeża widniał czarno-żółty znak. Co było jeszcze bardziej uderzające, to czystość i porządek, jakie na tym terenie panowały. Otaczające go doki i magazyny usłane były śmieciami, zastawione porzewiałymi beczkami i porozbijanymi beczkami i porozbijanymi skrzynkami, a ściany magazynów pokrywały wielobarwne graffiti. Na ich tle ogrodzone płotem tereny Wenera wyglądały prawie sterylnie — cokolwiek by się nie powiedziało o Wenerze, to na pewno był on doskonałym organizatorem.

— Mam wylądować przed którymś magazynem?— spytał pilot.

— Nie, przed kapitanatem portu — odparła Sabrina. — Mam nadzieję, że wie pan, gdzie to jest.

Pilot skinął głową i po paru minutach posadził maszynę niedaleko budynku z czerwonej cegły, oddalonego o jakieś czterdzieści stóp. Oboje z Grahamem ruszyli tam przez trawnik, na którym wylądowali. Gdy znaleźli się wewnątrz, Mike usiadł przy wejściu na ławce, a ona zaczęła rozmowę z oficerem dyżurnym. Trwało to dłuższą chwilę, gdyż pytany musiał co chwilę konsultować się z którąś z grubych ksiąg zalegających biurko, albo z telefonem, ale w końcu zapisał coś na kartce i wręczył jej z uśmiechem. Podziękowała i wróciła do Mike'a.

— Jeden z drobnicowców Wenera, — zerknęła na kartkę — "Napoli", jeszcze godzinę temu cumował przy nabrzeżu jedenastym...

— Odplynął za wcześnie... — przerwał jej, ale nie pozwoliła mu dokończyć.

— Daj mi skończyć, dobrze? Miał już sześć godzin opóźnienia, gdyż Stefan osobiście polecił kapitanowi czekać na kontener z częściami do jakiejś maszyny, który do Triestu miał dotrzeć koleją. W końcu kapitan dostał jego zgodę i wypłynął bez niego, ale ledwie to zrobił, na tymże nabrzeżu wylądował sikorski należący do Kompanii Wenera, który miał czekać na ową przesyłkę i dostarczyć ją na pokład, jak tylko się zjawi.

— Rozumiem, że już wystartował. — 25 minut temu — odparła ponuro.

— Cholera, zawsze są o krok przed nami — zdenerwował się.

— Jest jeszcze coś. Statek ma ładunek zboża dla Etiopii. Nie wierzę, by ktoś mógł wykorzystać

nieszczęście tych ludzi dla jakichkolwiek politycznych celów — potrząsnęła głową z mieszaniną złości i frustracji.

— Zobaczymy w praniu. Jaki jest najbliższy port, do którego zawiną?

— Wczesnym rankiem Dubrownik, a potem Trypolis.

— Wobec tego musimy go zatrzymać w Dubrowniku — stwierdził wstając. — Nie sądzę, żeby Werner był daleko. Myślę, że z tym swoim nadajnikiem trzyma się w pobliżu ładunku. Wszystko wskazuje na to, że spotkamy się w Jugosławii.

— Mike, to nie jest zabawa! — rzuciła, gdy wychodzili z budynku.

— Zgadza się. To jest wyzwanie — przeszedł kilka kroków, po czym odwrócił się nagle do niej: — Jesteś doskonałym strzelcem i Werner jest twój. Ja chcę Hendrique'a.

— To nie jest też vendetta — krzyknęła, ale wiatr ją zagłuszył.

— Musimy dziś w nocy znaleźć się w Dubrowniku — poinformował Mike pilota.

— Żadnych szans — odparł ten lakonicznie.

— Co to ma, do diabła, znaczyć?

— Odebrałem komunikat meteo. Wyjątkowo silny bora wieje nad całym wybrzeżem Dalmacji. W dodatku jest tam gęsta mgła, więc odwołano wszystkie loty, dopóki nie wróci jaka taka widoczność.

— To jest misja UNACO, a nie wycieczka na piknik. Ryzyko jest częścią pracy. Czy akurat tego ci nie powiedzieli, jak cię przyjmowali?

Pilot spojrzał na niego bykiem, ale przezornie powstrzymał się od komentarzy.

— Zaryzykuję, jak tylko będzie miało to sens — warknął. — Nie wyląduję bez widoczności w polu, bo rozwalą nas i maszynę, a komunikat mówi o widzialności na odległość pięciu metrów. Nie jestem samobójcą.

— Kiedy oczekują ustąpienia mgły? — wtrąciła się Sabrina.

— Wczesnym rankiem.

— I wtedy nie będzie pan miał nic przeciwko lotowi do Dubrownika? — upewniła się.

— Kazałem wieży zawiadomić mnie, jak tylko mgła zacznie się podnosić.

Graham miał ochotę coś powiedzieć, ale ugryzł się w język, stwierdziwszy, że pilot ma rację.

— Jeszcze jedno — przypomniała sobie Sabrina. — Jak statek poradzi sobie w takich warunkach?

— Mogą płynąć na przyrządy — pilot zamyślił się na moment. — Ale jeśli mają szczyptę zdrowego rozsądku, to rzuca kotwicę i poczekają. Nawigowanie w takiej zupie stwarza zbyt duże ryzyko.

Mike i Sabrina spojrzeli po sobie, tknięci tą samą myślą. Jeśli chcecie, to podrzucę was na lotnisko — zaproponował pilot. — Mam tam wóz i łatwiej będzie dotrzeć nam do miasta. Musimy znaleźć sobie nocleg.

— Dzięki, to miło z pana strony — uśmiechnęła się.

Wirnik ruszył, a każde z nich zastanawiało się nad jedną i tą samą kwestią, ale żadne nie było gotowe zaryzykować odpowiedzi.

Whitlock poprawił krawat, spoglądając w wiszące na ścianie lustro i przyjrzał się krytycznie szwom nad prawą brwią. Martwy przedmiot dokonał tego, czego nie udało się osiągnąć jego przeciwnikom przez cztery lata uprawiania amatorskiego boksu. Przyzwyczał się już do myśli o bliźnie, tym bardziej że ta będzie mało widoczna, gdy podrosną mu włosy. Przypomniały mu się blizny dziadka, nadając jego twarzy wyraz siły i upor. Po trzy na każdym policzku, zrobione przez czarownika jego plemienia kłębem wyrwanym z paszczy świeżego zabitego lwa. Była to część inicjacji, która zmieniała chłopca w mężczyznę Jego dziadkowie... Nie mogło być dwóch bardziej od siebie różnych osób. Ojciec matki był wysokim, muskularnym wojownikiem, opowiadającym młodemu wnukowi pasjonujące historie z przeszłości Masajów. Ojciec ojca natomiast był niskim, rumianym majorem Armii Brytyjskiej, nie widywanym prawie bez grubego cygara i butelki taniej whisky. Ojciec miał trzycalową bliznę pomiędzy łopatkami — oficjalnie pozostałość po którejś z walk międzyplemiennych, a faktycznie (co powiedziała mu matka po śmierci ojca) efekt pijackiej burdy w barze w Nairobi. Choć ją kochał, żałował, że mu to powiedziała — było to tak, jakby przez tę prawdę zaginęła część afrykańskiego mistycyzmu, który tak uwielbiał.

Uśmiechnął się - dziadek Masaj byłby z niego dumny. Spojrzał na zegarek. Była 8⁰⁷. Na kolację do Karen był zaproszony na 8³⁰. Nazwał ją sobie ostatnią wieczerzą. Jego zadanie w Monachium było skończone i aż dziwne stawało się przypomnienie, że 24 godziny temu spacerował po tym samym pokoju, przybity brakiem wyników.

Wsunął browninga w podramienną kaburę, ciągle myśląc o tajemniczym motocyklicście. W tym samym momencie rozległ się sygnał telefonu.

Usiadł na łóżku i podniósł słuchawkę.

— Halo?

— C. W. ?

— To ty, Karen?

— Proszę, pomóż mi. Oni... — ktoś wyrwał jej słuchawkę i warknął po niemiecku: — Bądź o 8³⁰ w zakładach albo dziewczyna zginie.

— Nie mogę — oznajmił spokojnie. — Moja przepustka jest nieważna.

— Wejdiesz, nie bój się. 8³⁰ w magazynie wodnym i bez gnata. Inaczej ona zginie.

Połączenie zostało przerwane.

Zniknął na chwilę w łazience, założył marynarkę i pośpieszyli do wyjścia. Oddał klucz w recepcji i wyszedł na zewnątrz, gdzie w chłodnym wieczornym mroku stał nowo wynajęty wóz — biały vauxhall cavalier. Zdecydowany był oddać go w stanie nadającym się do użycia i dlatego ruszył ku autostradzie.

Gdy dotarł do jasno oświetlonej bramy, stwierdził, że zamiast trzech jest tylko jeden strażnik, ale dopiero gdy ten podszedł do wozu, zauważył, że zamiast służbowego rewolweru wartownik ma fiński pistolet maszynowy — jatimatic — co go niezbyt mile zaskoczyło i to z dwóch powodów: po pierwsze, miał większą siłę ognia, a po drugie, była to niedawno wyprodukowana broń i jak dotąd rzadko spotykana poza krajami skandynawskimi.* (* Pistolet ten jest dostępny na całym świecie i to od trzech lat. Znany pod nazwą Jatti (przyp. tłum. J. K.))

— Mam nadzieję, że płacą nadgodziny za tak gorliwą służbę — był to ten sam strażnik, który rano oznajmił mu, że jego przepustka jest nieważna.

Zamiast odpowiedzi usłyszał polecenie otwarcia drzwi i chwilę później wartownik siedział obok, przykładając mu lufę do karku.

— Broń. Tylko wyjmuj powoli — polecił. Polecono mi, żebym nie zabierał.

— Gnata! — palec wartownika zbieleł na spuście.

— Dobra, po co te nerwy — mruknął Whitlock uspokajająco i sięgnął do kabury.

— Powiedziałem: wolno!

— Grozi ci nerwica, przyjacielu. A poza tym, jeśli zacznę wolniej ruszać ręką, to pozostanie ona w bezruchu.

Strażnik wyrwał mu pistolet i polecił nieco spokojniejszym tonem:

— Prosto. Ale skręć nie na parking dla gości, tylko dalej w lewo, potem jedź jakieś sto metrów prosto. Zobaczysz białe drzwi z numerem siedemnastym. Wtedy stań.

C. W. zrobił, jak mu kazano. Po chwili zatrzymał się przed drzwiami z czarnym numerem siedemnastym i napisem: "Nieupoważnionym pracownikom wstęp surowo wzbroniony". Gdy wysiadł, uwagę jego zwróciło czarne suzuki, częściowo ukryte w cieniu dębu rosnącego na skraju trawnika. Strażnik popchnął go lufą, kierując ku drzwiom, które otwierały się do wnętrza.

— W lewo — warknął.

Parę stóp dalej stanęli przed metalowymi drzwiami zbiornika, który Leitzig mu pokazywał parę dni temu. Były uchylone, toteż pchnął je czubkami palców i obejrzał się czekając na dalsze polecenia.

Na górę — strażnik gestem wskazał przyczepioną do prawej ściany drabinkę.

Nadzieja C. W. na rozbrojenie go w trakcie wspinaczki rozwiała się jak dym — strażnik poczekał, aż Whitlock znajdzie się w połowie jej wysokości zanim ruszył jego śladem, cały czas utrzymując ten sam dystans. Na górze zaś widać było postać motocyklisty w białym kombinezonie, stojącego parę stóp od drabinki. Dopiero gdy znalazł się na równym poziomie, to jest na metalowej kładce, Whitlock po raz pierwszy zobaczył twarz tajemniczego jeźdźca.

Karen miała ciemne okulary ukrywające podbite oko, a jej czarne włosy kontrastowały doskonale z białą skórzanego stroju. Oddychając ciężko strażnik wspiał się na górę, wyminął Whitlocka i podał jej browninga.

— Przeszukaj go — poleciła po niemiecku.

— Czysty — zameldował po chwili.

— Nie wyglądasz na zaskoczonego moim widokiem — stwierdziła patrząc na C. W. — Czy źle grałam przez telefon?

— Byłaś dobra, ale to przestało być oryginalne. Co mnie zaskoczyło, to trud, jaki sobie "zadałaś podbijając własne oko. Popraw mnie, jeśli się mylę, ale oboje z Vannerem postanowiliście mnie zabić ledwo znajdę się w twoim domu.

— Skąd wiedziałaś o Vannerze?

— Leitzig mi powiedział, zanim go postrzeliłaś.

— Cóż, oko to był przypadek. Frankie, to znaczy Vanner, trzepnął mnie drzwiami uciekając na odgłos syreny policyjnej. Wtedy wszystko zaczęło się sypać. Nie sądziliśmy, że zawiadomisz policję.

— Kto to właściwie jest ten Vanner?

— Prawa ręka Hendrique'a. W rzeczywistości to on miał być w pociągu, ale Werner przysłał go,

dowiedziawszy się o twoim przyjeździe — uniosła dłoń widząc jak otwiera usta. — Teraz moja kolej na pytania.

— Jestem skłonny się na to zgodzić — przyznał, spoglądając na browninga wycelowanego we własny brzuch.

— Kiedy zacząłeś mnie podejrzewać?

— Od początku, choć najpierw były to uporne i nie dające mi spokoju wątpliwości. Tak na poważnie, to po rozmowie z Leitzigiem. Powiedział, że zatrudnił czterech techników poleconych przez Hendrique'a, a potrzebnych do sprawnego przeprowadzenia całej operacji. Powiedział też, że w aferę zamieszanych było kilku kierowców i strażników, a ty w Hiltonie byłaś uprzejma poinformować mnie, że zatrudnianie większości personelu należy do twoich obowiązków. Kiedy połączyłem to ze sobą...

— Moje uznanie — w głosie nie było tego słyhać. — Masz, rzecz jasna, rację. Zatrudniłam wszystkich poleconych przez Hendrique'a i żaden nawet nie domyślał się, że jestem kimś więcej niż normalnym pracownikiem. Zresztą to stanowisko było doskonałym parawanem. Jedyne cztery osoby znały prawdę: Werner, Hendrique, Frankie i mój dyspozytor.

—A Leitzig?

— Jednym z powodów mojej tu obecności było sprawdzanie jego osiągnięć, o których meldowałam później bezpośrednio dyspozytorowi. Jeśli Leitzig wiedziałby, że go obserwuję, najprawdopodobniej spanikowałby, a tak był przekonany, że jest tu szefem. Wszyscy nasi ludzie otrzymywali od niego polecenia i pieniądze i meldowali o wszystkim jemu. On 7. kolei zawiadamiał o wszystkim Hendrique'a, jeśli były jakieś kłopoty.

— Hendrique załatwił też jego poprzednika, jak sądzę?

— Owszem. Gość odmówił współpracy, a nawet zagroził ujawnieniem całego planu, gdyż wówczas był to jedynie plan. Hendrique załatwił go tak, by wyglądało to na wypadek na nartach — uśmiechnęła się przepraszącą. — Myślę, że odpowiedziałam ci na wystarczającą ilość pytań.

Zrobiła krok do tyłu i wycelowała broń między oczy stojącego przed nią Whitlocka. Wpatrywał się jak zahipnotyzowany w pistolet, nie mogąc oderwać od niego wzroku i wiedząc, że nie zdoła go jej wyrwać, zanim naciśnie spust. Sekundę przed strzałem poruszyła gwałtownie dłoń i kula trafiła w pierś strażnika, posyłając go na barierkę. Druga kula rzuciła martwe już ciało na stalową podłogę. Jatimatic znieruchomiał o cale od stóp Whitlocka.

— Możesz spróbować — zachęciła go widząc ruch oczu. — Jeśli zrezygnujesz, to strąć go w dół. Lekkim ruchem stopy posłał broń w dół.

— Ta część zakładu nie jest dziś w nocy używana, a nawet gdyby ktoś przechodził w pobliżu, to i

tak niczego nie usłyszysz. Te budynki są dźwiękoszczelne. Zostaliśmy sami.

— Masz oryginalny sposób odwdzięczania się za lojalność — mruknął spoglądając na martwego strażnika.

— Powiedziałam ci, że pracował dla Leitziga, nie dla mnie. Poza tym poznał moją prawdziwą rolę, a musiałam mieć kogoś do pomocy. Ostatecznie sprawa będzie wyglądała klasycznie: strażnik złapał cię bez przepustki na zastrzeżonej części zakładu i w efekcie bójki, która się wywiązała, zastrzelił go, a sam pośliznął się i... Cóż, nie jest to specjalnie nowe, ale zupełnie skuteczne.

— A jeśli się nie pośliznę?

— To cię zastrzelę. Trochę zepsuje mi to scenariusz, ale zapewniam cię, że nie będzie to twoim zmartwieniem.

— Jesteś wzruszająca — podszedł do barierki i spojrzał na odległą o siedemdziesiąt stóp wodę.
— Mogę zadać ci ostatnie pytanie?

— Pytaj.

— Dla kogo właściwie pracujesz?

— Departament V, KGB. Zwerbowali mnie w trakcie studiów i tak to się zaczęło — jej głos nagle zabrzmiał głucho.

— Tylko jednego w tym wszystkim żałuję, a mianowicie, że nie kochaliśmy się ostatniej nocy.

— Cóż, zaoszczędziłoby ci to dzisiejszej wycieczki.

— Nie mogłabym cię wtedy zabić — powiedziała cicho. — Za bardzo cię pragnęłam.

— Możemy spróbować...

— Nie prowokuj mnie — browning znalazł się na wysokości jego piersi. — Zastrzelę cię, jeśli w ciągu dziesięciu sekund nie skoczysz.

Ponownie spojrzał w dół, po czym nagle złapał się za szyję, krzywiąc się z bólu. Masując sobie kark namacał rękojeść sztyletu, który przypiął pod kołnierzykiem przed wyjściem z hotelu. Ćwiczył to wielokrotnie przed lustrem i na manekinie, ale w rzeczywistej sytuacji był to debiut. Zaskoczenie i dokładność były ostatnią szansą — jeśli się nie uda, skończy tak jak Karen zapowiadała. Ujął rękojeść i lekko odchylił głowę, by wyciągnięcie i rzut były jednym płynnym ruchem.

W ostatniej sekundzie dostrzegła błysk stali, ale zamiast strzelić natychmiast, instynktownie spróbowała wygodniej ująć broń i ostrze rozcięło jej dłoń. Krzyknęła, wypuszczając browninga i

cofnęła się przyciskając zranioną dłoń do piersi.

To, co nastąpiło potem, Whitlock widział jak film puszczone na zwolnionych obrotach. Potknęła się, gdy jej plecy dotknęły barierki i poleciała do tyłu, łapiąc za jeden z pionowych wsporników zranioną ręką. Zdołała objąć wspornik drugą ręką i spojrzała na odległą o siedemdziesiąt stóp wodę.

— Nic patrz w dół — krzyknął podbiegając.

Ponad kładką widoczne były jedynie jej dłonie.

— Podaj mi rękę — polecił.

— Nie mogę. Ześlizguję się — krew ze zranionej dłoni pokrywała metal, uniemożliwiając jej pewny chwyt. — Pomóż mi, na litość boską, pomóż mi!

Sięgnął w dół łapiąc ją oburącz za nadgarstek, lecz już zaciskając chwyt wiedział, że to na nic — krew działała jak smar także pomiędzy skórą ich dłoni. Wbił jej paznokcie w dłoń i w ostatnim wysiłku puściła metal, łapiąc go drugą ręką za nadgarstek. Starła się ją unieść, ale obie dłonie dziewczyny ześlizgiwały się coraz bardziej. Nagle opuściła zranioną rękę, niezdolna dłużej wytrzymać bólu i poczuł, jak druga dłoń daremnie próbuje zaczepić paznokciami o jego dłoń. Przez moment dostrzegł jej rozszerzone i błagające oczy i nagle w rękach nie miał już nic. Odwrócił się, gdy uderzyła o wodę.

Po chwili zdobył się na to, by spojrzeć w dół — unosiła się z twarzą zwróconą w kierunku dna i jedynie plecy białego kombinezonu widać było nad powierzchnią wody.

Zabrał strażnikowi identyfikator, by otworzyć sobie drzwi, podniósł pistolet i ruszył ku drabinie. Wyszedł na zewnątrz i zamknął drzwi prowadzące do zbiornika. Dojechał do bramy, nie spotykając po drodze żywej duszy. Na widok samochodu strażnik wyszedł z wartowni i zerknął na jego przepustkę. Jeśli nawet rzeczywiście była unieważniona, to nie chciało mu się tego sprawdzać w przypadku kogoś wyjeżdżającego.

— Nie widział pan strażnika w takim, jak mój, mundurze? — spytał. — Kiedy parę minut temu objąłem dyżur, nikogo tu nie było. Cholera, pułk wojska mógł wjechać do tego zakładu. Diabli wiedzą, ile czasu tego łajzy nie było na posterunku.

— Przykro mi, ale nikogo nie widziałem — Whitlock uśmiechnął się przepraszająco.

Strażnik otworzył bramę i biały cavalier wyjechał na szosę.

Następnym przystankiem C. W. miał być szpital, w którym przebywał Leitzig, który, jak go ostatnim razem poinformowano, wyszedł już ze stanu krytycznego. Im szybciej dostanie od niego listę współpracowników, tym szybciej będzie mógł zdać raport Philpotowi.

A potem z powrotem do Nowego Yorku.

Z powrotem do Carmen.

Rozdział jedenasty

Lotnisko zawiadomiło pilota o poprawie pogody nad Adriatykiem o 8¹⁵. W przeciągu dziesięciu minut cała trójka wymeldowała się z hotelu, a po następnym kwadransie wieża dała im zezwolenie na start, Ledwie znaleźli się w powietrzu, Graham i Sabrina przebrali się w gumowe stroje pływackie, które zgodnie z ich prośbą zostały dostarczone na lotnisko. Operacja przebierania się w czymś tak ograniczonym ze wszystkich stron, jak kabina lynxa, nie było zajęciem łatwym, zwłaszcza że pod spód założyli jeszcze ciepłą, wełnianą bieliznę.

Gdy dwie i pół godziny później dotarli do Dubrownika, mgła już zniknęła, a horyzont rozjaśniały pierwsze promienie słońca jak pierwsze pociągnięcia pędzla wspaniałej akwareli.

Pilot bez słowa wskazał w dół, gdy przelatywali nad częścią portu, będącą w posiadaniu Werner Freight. Teren był znacznie mniejszy niż kompleks w Trieście, obejmując jedynie dwa nabrzeża i rząd magazynów (wszystko pomalowane w barwy kompanii). Pilot już uprzednio porozumiał się przez radio z kapitanatem portu, ustalając, że "Napoli" nie wpłynął tu jeszcze, oraz iż godzina jego przybycia jest niepewna z uwagi na opóźnienie wywołane mgłą. Zresztą przy obu nabrzeżach Wernera nie cumowała żadna jednostka.

Maszyna przeleciała nad portem, a następnie skręciła, by znaleźć się nad wcześniej ustalonym miejscem zrzutu, zaznaczonym na mapie dołączonej do kombinezonów. Mike i Sabrina założyli płetwy i maski, umieścili broń w wodoodpornych woreczkach, które przypięli do pasów i, w odpowiedzi na gest pilota, spojrzeli w dół. Byli o pięćset metrów od brzegu, nad płytkim i spokojnym obszarem morza. Helikopter zszedł na wysokość dziesięciu stóp i znieruchomiał, wzniesając w dole spore zawirowania. Ledwie wyskoczyli, gdy pilot poderwał maszynę i ponad plażą skierował się ku lotnisku.

Oboje byli doświadczonymi pływakami, toteż nie mieli żadnych trudności z dotarciem do nabrzeża. Ostatnie sto metrów płynęli pod wodą, używając w tym celu gumowych fajek, by uniknąć ślizgających się po wodzie promieni potężnych reflektorów, palących się pomimo coraz silniejszego blasku poranka. Przy nabrzeżu odpoczęli parę minut, po czym Graham skierował się ku pordzewiałej drabinie, umieszczonej pomiędzy siódmym i ósmym nabrzeżem. Wspiął się, wysuwając ponad beton jedynie czubek głowy do poziomu oczu i rozejrzał się. Jeśli nie liczyć land rovera ze stylizowanym "W", parkującego przed jednym z magazynów i zwróconego ku nabrzeżu numer osiem, było kompletnie pusto.

Drzwi magazynu otworzyły się niespodziewanie i ukazał się w nich mężczyzna z włoskim spectre na ramieniu. Mike czym prędzej schował głowę słysząc zbliżające się kroki. Spectre* (* Na podstawie źródeł dostępnych tłumaczowi wynika, że broń ta jest fikcją, wymysłem autora (przyt. J. K.)) była doskonałym pistoletem maszynowym i znacznie lepiej było znaleźć się po właściwej stronie jej lufy. Gdy kroki ucichły, ostrożnie wysunął głowę i zaklął — facet stał po drugiej stronie land rovera i zapalał papierosa. Wyrzucił zapalną, oparł się o przednie drzwi i skrzyżował ręce na piersiach — najwyraźniej było mu tam wygodnie i nie zamierzał się ruszyć. Graham był bezsilny — gość blokował skutecznie jedyną drogę do magazynu, a spectre jako przeciwnik nie dawało żadnych szans. Był najskuteczniejszym pistoletem maszynowym na krótki dystans, jaki był aktualnie w sprzedaży. Zszedł o dwa stopnie i szeptem poinformował o sytuacji Sabrinę. W odpowiedzi zdjęła płetwy balansując na szczeblu i trzymając się jedną ręką drabiny, po czym przełożyła berettę do kabury przy pasie i wręczyła mu płetwy.

— Odwróć jego uwagę, gdy dam ci znak — zarządziła.

— Masz pojęcie, co może spectre na tę odległość?

— Naturalnie. Ma pięćdziesiąt pocisków w magazynku i zasięg skutecznego ognia 150 metrów — uśmiechnęła się zachęcająco. — Nie wystrzeli ani razu, zaufaj mi.

Zanim zdążył coś powiedzieć wspięła się na górę i przemknęła skulona ku samochodowi, po czym znieruchomiała po przeciwnej niż strażnik stronie. Rozejrzała się i skinęła Mike'owi ręką. Głowa Grahama zniknęła, a po sekundzie na nabrzeżu wylądowały z pluśnięciem płetwy. Wartownik obrócił się ujmując broń i czekał, aż właściciel płetw wyjdzie z nabrzeża. Stanął po kilku krokach, prezentując Sabrinie plecy, toteż nie miała problemów by trzasnąć go wprawnym ruchem w nasadę karku. Osunął się nieprzytomny na ziemię.

— Mike! — syknęła.

Graham pojawił się na górze i oboje przenieśli nieprzytomnego wartownika, umieszczając go pod land roverem.

— Hendrique tu jest — oznajmił zaglądając do wnętrza wozu.

— Skąd wiesz? — spytała biorąc Spectre.

— To zawiera jego ulubioną grę — wskazał brązowy neseserek leżący na tylnym siedzeniu. — Grałem z nim w pociągu.

— W takim razie...

— Należy przyjąć, że Werner też tu jest — dokończył.

Uchyliła drzwi magazynu, ale wszystko, co dało się wewnątrz zauważyć, to skrzynie ze znakiem

Werner Freight ustawione w regularne pryzmy. Ujęła w dłoń pistolet i otworzyła drzwi szerzej. Wnętrze podzielone było na trzy szeregi równo poustawianych skrzyń i dwa przejścia pomiędzy nimi, wystarczająco szerokie, by mogły przejechać wózki podnośnikowe. Wśliznęli się do środka i delikatnie zamknęli za sobą drzwi.

— Każde innym przejściem — szepnął Mike. Potrząsnęła głową.

— Lepiej być razem. Jest ich przynajmniej czterech i diabli wiedzą ilu strażników.

Przytaknął w milczeniu i powoli ruszyli w głąb magazynu. Dotarli do zakrętu (budynek był w kształcie litery L), gdy Sabrina złapała go nagle za ramię, przykładając palec do ust. Nasłuchiwali chwilę, ale nic nie mąciło ciszy.

— Słyszałam głosy — szepnęła.

— Więc muszą tu gdzieś być. Chodź.

Oparł się plecami o skrzynię i z berettą trzymaną oburącz na wysokości twarzy wyjrzał ostrożnie za róg. Przejście było puste, a trzy szeregi skrzyń ciągnęły się aż do tylnej, odległej o dwieście metrów ściany. Wskazał środkowy rząd i kryjąc się w cieniu dobiegli do miejsca, skąd byli w stanie obserwować niewidoczne z poprzedniej pozycji, przejście.

Mniej więcej w jego połowie stał stolik i krzesła ustawione w oszklonym pomieszczeniu magazyniera. Werner siedział zwrócony do nich plecami i grał w karty z Kyle'm i Milchanem. Oparty o ścianę Hendrique obserwował grę bez większego zainteresowania. Obok, na szafce z aktami, leżał franchi spas.

— Pamiętaj, co szef powiedział. Strzelaj, żeby zabić — przypomniał szeptem Mike.

— Też tam byłam!

Zamilkł przyglądając się jej poczynaniom. Położyła pistolet maszynowy na podłodze i przykucnęła, sprawdzając kąt strzału. Zmieniła lekko pozycję i ujęła berettę, opierając prawą dłoń na lewym przedramieniu dla większej stabilności. Celowała w tył głowy Wenera.

— Co to za hałas? — spytała.

— Jaki hałas?

— Szuranie.

— Pewnie szczury — mruknął obojętnie. — Tak, w skrzyni przy twojej nodze jest wygryziona dziura. Mogą mieć tam gniazdo.

Wyobraźnia podsunęła Sabine obrazek skrzyni pełnej włożących na siebie szczurów i aż ją odrzuciło. Wylądowała dwa kroki z tyłu na tyłku, a beretta trzasnęła o betonową posadzkę.

Hendrique miał już strzelbę w dłoniach obracając się, by sprawdzić, co spowodowało hałas. Mike rzucił się szczupakiem na dziewczynę, przygniatając ją do ziemi, gdy Hendrique strzelił przez szybę, wybijając w niej poszarpany otwór i małą twarzową dziurę w skrzyni na wysokości głowy Sabriny. Hendrique przeładował i trzymał ich na muszce, a Kyle i Milchan zabrali im broń (łącznie z beretta z za pasa Grahama).

Gdy stawiano ich na nogi, Mike zauważył zawartość rozbitej skrzyni — AK 47.

Werner zignorował ich przybycie do szklanej budki — był właśnie na etapie opieprzania Hendrique'a.

— To tak wyglądają ci twoi “starannie dobrani” strażnicy? A może ta parka wleciała tu przez dach?

Pierwszy raz Hendrique nie znalazł odpowiedzi. Werner zresztą na nią nie czekał — zajął się więźniami.

— Czułem, że się jeszcze spotkamy — powitał Sabrinę. — Prawdę mówiąc, idealnie zgraliście swoje przybycie z moim odjazdem. Mój wodnosamolot jest gotów do lotu i czeka w hangarze.

— A “Napoli”? — spytała.

— Musi nadrobić stracony czas i nie zawinie do Dubrownika. Ja wracam do domu, a szefem akcji zostaje Hendrique.

— Dasz mu detonator? — zainteresował się Mike.

— Doprawdy nie spodziewałem się tak nielogicznego pytania od kogoś z pańskim doświadczeniem, panie Graham — Werner spojrział pogardliwie na Hendrique'a. — To najemnik handlujący bronią i narkotykami. Rządzą nim pieniądze, a sprawa socjalizmu nigdy dlań nic nie znaczyła. Gdyby miał nadajnik, prawdopodobnie urządziłby aukcję wśród zainteresowanych rządów.

— Wystarczy — warknął rozeźlony Hendrique.

— A co, zrobiłbyś inaczej? — zdziwił się Werner, po czym wyjaśnił Mike'owi: — Nadajnik zostaje ze mną. To bardzo proste: gdybyście się tu nie zjawili, odleciałbym spokojnie i nikt o niczym by nie wiedział. Moje lądowanie w Rosji nie zostanie ogłoszone, zanim ładunek “Napoli” nie dotrze do celu i wasi szefowie będą sądzić, że nadal jestem w pobliżu, gotów go wysadzić, gdyby co. Dzięki temu będą omijać statek, a najlepiej tego dowodzi wasza tu obecność. Gdybyście nie traktowali poważnie mojej groźby, to “Napoli” zostałby już przejęty przez desant Navy Seal's, Special Air Service, Grenzshuthsgruppe 9, czy co tam mieliby pod ręką wasi zwierzchnicy.

Potrzebowałem was żywych w pociągu, żebyście przekazali szefom moje instrukcje. Teraz obawiam się, że już was nie potrzebuję. Załatwienie tej sprawy pozostawiam w rękach, bez wątpienia kompetentnych, Hendrique'a.

— Zawiadam resztę strażników — polecił ten ostatni Kyle'mu. — Spotkam się z nimi przy wejściu.

Parę minut później wyszedł z biura kierując się ku wejściu do magazynu. Na nabrzeżu byli już trzej strażnicy. Dwóch przyklęło przy oszołomionej jeszcze, ale już przytomnej ofierze Sabriny. Hendrique szarpnięciem poderwał go na nogi i pchnął na maskę land rovera.

— Upokorzyłeś mnie przed Wernerem — szepnął.

— Przepraszam, sir — wymamrotał tamten, rozcierając sobie kark.

W dłoni Hendrique pojawił się desert eagle i bez ostrzeżenia plunął ogniem. Martwy strażnik osunął się na ziemię, a lufa skierowała się ku pozostałym dwóm.

— Nie toleruję porażek — poinformował ich spokojnie Hendrique. — Chcę, żebyście obaj tu zostali i lepiej by było, żeby nikt was nie zaskoczył.

Po czym zabrał z wozu neseser i wrócił do magazynu.

— Co to za strzelanina? — spytał go Werner, jak tylko Hendrique wszedł do biura.

— Kwestia dyscyplinarna — odparł Hendrique, stawiając neseser na stoliku, z którego Kyle sprzątał karty i filiżanki po kawie.

Ustawił na środku planszę, po czym zajął się usunięciem jednej z sufitowych lamp i do gołych kabli podłączył krokodylkami przewody prowadzące do metalowych elementów.

— Będą grać przeciw sobie? — spytał podniecony Kyle.

— Niezły pomysł. Szkoda, że nie pomyślałem o nim wcześniej. Zamierzałem wystawić Grahama przeciw Milchanowi — spojrzał na niemowę. — Masz wolny wybór.

Milchan stuknął się palcem w pierś i przejechał nim po szyi.

— Jakbyś nie zrozumiał, Graham — głos Hendrique był uprzejmy — to będziecie grać na śmierć i życie.

— A jak odmówię?

— To będę zmuszony zastrzelić twoją piękną asystentkę — wyjaśnił Kyle.

— Partnerkę — poprawiła go automatycznie Sabrina.

— Przywiąż ją do krzesła — polecił Hendriqiw Milchanowi. — Będzie miała miejsce w łoży.

— Przykro mi, że to się musi tak skończyć — powiedział łagodnie Werner, uklonił się Sabrinie, po czym odwrócił się i wyszedł..

— Chyba miał do ciebie słabość, słonko — Kyle uśmiechnął się krzywo i pogłodził ją po policzku. — Trudno mu się zresztą dziwić.

Bez słowa wbiła zęby w jego dłoń.

— Dziwka! — wrzasnął łapiąc spectre, by poczęstować ją kolbą.

. Graham szurnął obok Hendrique'a i potężnym ciosem w żołądek posłał go na posadzkę. Hendrique przyłożył lufę strzelby Mike'owi do karku.

— Zwiąż mu nogi.

Milchan złapał Grahama za ramię i poprowadził do najbliższego krzesła.

— Zapłacisz za to — wymamrotał Kyle, stając z trudem na nogi i celując w Amerykanina.

— Zaczynasz działać mi na nerwy, Eddie — Hendrique odsunął lufę spectre. — Idź, zrób coś konstruktywnego. Na przykład rozgrzej helikopter.

— Ale ja chcę popatrzeć — pisnął Kyle.

— Nie mamy czasu na przedstawienie. Mamy robotę. Ruszaj do tego helikoptera.

Z wyraźnym oporem Kyle oddał mu broń i wyszedł.

Hendrique podszedł do planszy i położył dłonie na obu płytkach. Uniósł je kolejno i przy obu okazjach szok przepłynął nieszkodliwie przez bransolety. Z jednej z przegródek nesesera wyjął klucz i przekręcił go o dziewięćdziesiąt stopni w zamku znajdującym się z boku planszy. Umieszczona obok czerwona żarówka rozbłysła jasnym światłem.

— Włączyłem od razu trzecią fazę. Załóżcie bransolety. Mike i Milchan wsunęli nadgarstki w pierścienie, zamknęli je i położyli klucze na środku planszy.

— Dawka jest śmiertelna. Nawet gumowy kombinezon cię nie uratuje, Graham — poinformował go Hendrique.

— Zakładasz, że pierwszy zrezygnuję.

— Wiem, że zrezygnujesz. Milchan gra tylko na trzecim etapie, a jak widać, nadal żyje — Hendrique dotknął karku Sabriny lufą franchi. — Jeśli nie dotkniesz płytki razem z Milchanem, zastrzelę ją.

Mike spojrzał na słabo uśmiechającą się dziewczynę.

— Twój ruch — przypomniał Hendrique.

Milchan trzymał dłoń nad płytką, nie spuszczać wzroku z twarzy Grahama. Ten odetchnął głęboko i zrobił to samo.

— Teraz — zakomenderował. Obaj przycisnęli dłonie do metalu.

— Przepraszam, że nie zostaję, żeby zobaczyć twój koniec, Graham, ale już jesteśmy solidnie spóźnieni — powiedział Hendrique, znikając w drzwiach.

Sabrina spróbowała więzów ledwie Hendrique zniknął, ale Milchan wykonał swoje zadanie doskonale — więzy były założone w nadgarstkach i nie mogła dosięgnąć ich palcami. Wobec tego ostrożnie, starając się zrobić jak najmniej hałasu, przestawiła krzesło tak, by mieć za plecami szybę strzaskaną kulą wystrzeloną ze strzelby Hendrique'a.

— Mike... ?

— Nie przejmuj się mną. Jestem okay — odparł nie spuszczać wzroku z twarzy przeciwnika.

Obejrzała się przez ramię — krzesło stało o jakąś stopę od szyby i musiała je przechylić w tył, by dosięgnąć więzami odłamków. Mogło to skończyć się tragicznie, gdyż z równą łatwością mogła nadziać dłonie na wystające z ramy resztki. Było to ryzyko, które musiała podjąć. Rozbijała krzesło, kołysząc ciałem w przód i w tył do momentu, aż przechyły stały się wystarczające, by oprzeć się o szklaną ścianę. Pierwszą myślą była ulga, że nie nadziała się na nic, ale ledwie poruszyła rękoma, ostra krawędź rozorała jej kciuk. Ostrożnie badając opuszkami palców odkryła, że spowodował to odłamek może pięciocalowej długości, który doskonale nadawał się do przecięcia więzów, gdyż miał poszarpane krawędzie. Przyłożyła sznur do niego i, poruszając rękoma, użyła go jak piły. W ciągu paru sekund przecięła krępującą ją linkę i schyliła się, by rozwiązać drugą, która unieruchamiała nogi.

— Co mam zrobić, Mike? — spytała wstając. — Odłączyć krokodylki?

— Otwórz moją bransoletkę — odparł napiętym głosem. Wskazówka licznika stała na szóstce.

— Dlaczego nie rozłączyć całości?

— Otwórz ją do cholery!

Złapała pośpiesznie oba klucze, gdy nowe podejrzenie wpadło jej do głowy.

— A jeśli jest zabezpieczona?

— Nie jest — warknął z pierwszymi oznakami bólu na twarzy.

Otworzyła zamek i rozluźniła obręcz. Mike wysunął z niej dłoń i zatrzasnął pustą bransoletę na przegubie Milchana, o cale ponad pierwszą.

Wskazówka doszła do ośmiu.

Pot spływał po twarzy niemowy, a jego wzrok jak zaczarowany spoczywał na dłoni Grahama, leżącej na metalowej płytce.

— Może Hendrique miał rację i powinienem pierwszy ustąpić? I tak niczym nie ryzykuję. Co o tym myślisz, Milchan? — Mike zdołał się uśmiechnąć mimo coraz większego napięcia prądu przepływającego przez jego ciało.

— Nie! — krzyknęła. — Zabijesz go i to z zimną krwią. Wskazówka stała na dziewiątce.

— On zrobiłby to z tobą, gdyby wygrał, a ty siedziałabyś przywiązana do krzesła. Słyszałaś to powiedzenie, że jedyny dobry Murzyn, to...

Zrobiła niepewny krok ku przewodowi zwisającemu z sufit.

— Nie ruszaj tego. To sprawa osobista.

— Zabicie go nie ożywi Carrie i Mikey'a — palnęła, zanim zdołała ugryźć się w język.

Wskazówka doszła do dziesiątki.

Mike spojrzał na Sabrinę i uśmiechnął się pomimo drgań ręki, przez którą przepływała taka sama ilość prądu jak przez żarówkę. Ból zdawał się znikać z jego oczu, po czym bez ostrzeżenia szarpnął wolną ręką za przewód, odłączając go od wiszącego pod sufitem kabla.

Milchan bezwładnie osunął się na oparcie krzesła, gorączkowo łapiąc powietrze.

Graham i Sabrina byli plecami zwrócenii do szklanych drzwi i dlatego żadne z nich nie zauważyło strażnika aż do chwili, w której ten stanął w drzwiach.

— Pan Hendrique polecił mi sprawdzić, czy nie potrzebujesz pomocy — poinformował Milchana, zajętego otwieraniem bransolet. — Wygląda na to, że zdążyłem akurat na finał.

Niemowa skinął potakująco głową i podszedł do niego.

— Pan Hendrique polecił mi ich zabić, gdybyś przypadkiem przegrał — dodał wartownik unosząc pistolet maszynowy.

Milchan złapał go za głowę swoimi potężnymi dłońmi i przekręcił gwałtownie, aż rozległ się trzask pękającego kręgosłupa. Odrzucił ciało w kąt pomieszczenia i stuknął się w pierś, potem wskazał palcem na Mike'a i Sabrinę. Usta poruszały mu się gwałtownie, chcąc pomóc w zrozumieniu gestów.

— Mówi, że teraz jesteśmy kwita — odczytała z ruchu warg Sabrina.

Graham skinął głową i niespodziewanie poczęstował Milchana lewym sierpowym w podbródek. Nieprzytomny siłacz zwałił się na podłogę.

— Teraz jesteśmy dopiero kwita — mruknął. Spojrzała na niego zaskoczona i sięgnęła po pistolety leżące na szafce.

— Może zdążymy powstrzymać Stefana? — powiedziała, podając mu jeden.

— A jak to się skończy, to pogawędzimy sobie — obiecał łapiąc ją za ramię. — O szczurach.

Skinęła głowę i podniosła spectre strażnika.

W magazynie rozdzielili się sprawdzając oba przejścia — były puste. Przy wejściu leżał trup strażnika zabitego przez Hendrique'a. Na dworze świtało. Usłyszeli dźwięk zapuszczanego silnika lotniczego, dochodzący z blaszanej budowli, stojącej na skraju nabrzeża numer osiem. Przebiegli ostrym sprintem dwieście metrów dzielących oba budynki i przywarli do ścian po obu stronach drewnianych drzwi. Sabrina lewą ręką powoli nacisnęła klamkę i szarpnęła drzwi. Mike szczupakiem skoczył do środka, przetoczył się dwukrotnie po betonowej podłodze i znieruchomiał w przykłęku. Rozległ się strzał i zaskoczony jego pojawieniem się strażnik wylądował z kulą w karku w wodzie. Dało to Wernerowi czas niezbędny do dodania gazu i wyprysnięcia hydroplanem na otwarte wody portu.

W hangarze cumowało pół tuzina motorówek. Mike znalazł się przy siedemnastostopowej GTS 170 sekundę po Sabrinie.

— Wiesz, jak tym jeździć? — spytał łapiąc oddech.

— Kpisz czy o drogę pytasz? — uśmiechnęła się. — Ojciec ma w Miami czterdziestostopowy ślizgacz. Kiedy jestem w pobliżu spędzam większość czasu na jego pokładzie.

Poczekala, aż Mike rzuci cumy, po czym uruchomiła dziewięćdziesięciokonny silnik Yamahy. Wyprysnęli z hangaru jak torpeda.

Im więcej o tym myślała, tym bardziej czuła się winna. Werner stanowił doskonały wprost cel.

Gdyby nie spieprzyła tej okazji...

Gdy zrównali się z hydroplanem, dostrzegli w kabinie twarz Wenera, który wykrzykiwał coś do trzymanego przy ustach mikrofonu. Dodała gazu, skręcając jednocześnie przed dziób wodnosamolotu, zmuszając w ten sposób Stefana do zmniejszenia szybkości i zmiany kierunku. Przed dziobem maszyny pojawiła się ściana falochronu z latarnią morską, w której odbijały się promienie słoneczne, tłumiąc automatyczne błyski lampy. Jej plan polegał na tym, by zmusić go do jak najbliższego podpłynięcia do falochronu, gdyż wiedziała że jest już zbyt blisko niego, by zdołał wymanewrować. Wymagało to coraz ciaśniejszych kręgów zataczanych wokół samolotu, by uniemożliwić mu manewr w którymkolwiek z trzech pozostałych kierunków - Graham ze spectre w dłoniach czekał na pierwszy błąd Wenera...

Werner także zrozumiał, co chcą z nim zrobić i desperacko szukał wyjścia z matni — by! tak blisko domu... Pozostała mu jedna możliwość i wiedział, że musi zaryzykować. Poczekał aż motorówka znalazła się z prawej, najbliżej brzegu i skręcił o 45 stopni, kierując się ku wyjściu na otwarte morze. Sabrina tak gwałtownie zakręciła, że Graham musiał złapać się szyby, by uniknąć lotu zakończonego kąpielą. Udało im się jednak powstrzymać samolot, który musiał skręcić nie chcąc się z nimi zderzyć i z powrotem skierował się ku falochronowi. Werner miał już wystarczającą szybkość by wystartować, ale nie miał miejsca, które blokowała mu kamienna ściana. Zdesperowany zerwał nadajnik z szyi i przycisnął go do szyby, ściągając jednocześnie na siebie wolant. Poczul jak pływaki unoszą się z wody i w tej samej chwili Graham nacisnął spust. Nierówna linia poszarpanych otworów wykwitła w burcie startującej maszyny i Werner podskoczył wypuszczając nadajnik i tracąc kontrolę nad maszyną unoszącą się już piętnaście stóp nad wodą. Samolot znalazł się na linii kolizyjnej z latarnią morską i ostatnim wysiłkiem Stefan zdołał go nieco wykręcić, tak że zamiast uderzyć czołowo, kadłub o cale ominął budowlę, natomiast prawe skrzydło i płwak rozleciały się przy zderzeniu niczym wykonane z papieru. Wodnosamolot wykonał groteskowy piruet i siadł na falach w fontannie wody, natychmiast przekrzywiając się na bok, gdy woda wdarła się do uszkodzonych przez kolizję elementów. Werner starał się wyrównać, czemu nie pomagała przestrelona prawa ręka, po czym ku swemu przerażeniu stwierdził, że ma nogę zaklinowaną, między fotelem a wepchniętymi do wnętrza drzwiami. Samolot zatrząsł się nagle i ogon zniknął pod wodą, stawiając maszynę pod kątem trzydziestu stopni.

Dostrzegł nadajnik, który zwisał na zerwanym łańcuszku pomiędzy rozbitą szybą a deską rozdzielczą i gwałtownie sięgnął po niego. Kciukiem uaktywnił mechanizm i uśmiechnął się triumfująco, spoglądając na podpływającą motorówkę.

— Stefan, nie! — krzyknęła Sabrina.

— Maszyna powoli osuwała się pod wodę i kule Grahama trafiały bez pudła, w prawie pionowo stojący dziób — bez widocznej szkody.

Werner nacisnął guzik.

Graham i Sabrina skulili się odruchowo, zamykając oczy przed nieuchronnym błyskiem.

Ale nic się nie stało.

Werner nacisnął guzik drugi raz, potem trzeci, ale jedynym dźwiękiem, jaki mu odpowiedział, był chłopot wody wlewającej się do kabiny. Powoli opuścił rękę z zapalnikiem.

Kabina, a po chwili i dziób maszyny zniknęły pod wodą.

Sabrina oparła się o szybę, obserwując bąble powietrza znaczącego podwodną drogę wodnosamolotu.

— Jezu, pomyśleć, że był jednym z czołowych businessmanów świata. Mike, on był gotów zabrać ze sobą do grobu pół Europy!

Graham położył broń na fotelu i przejechał dłonią po wzburzonej fryzurze.

— Sądysz, że był szalony? — spytał.

— A nie był?

— Był fanatykiem i wierzył, że to, co robi, pomoże sprawie.

— Niszcząc pół świata?

— Jeśli nie było innego wyjścia. Fanatycy kierują się uczuciem, nie szaleństwem. Czy powiedziałaabyś, że japońscy kamikadze to obłąkańcy?

— To pewna forma obłądu.

— To forma ekstremizmu — poprawił.

Odgłos silnika dotarł do nich z tyłu i z dość znacznej odległości, toteż Sabrina miała wystarczającą ilość czasu, by wrzucić bieg i skierować motorówkę dziobem w kierunku nadlatującego helikoptera. Był to augusta bell jet vanger ze znakami Werner Freight na burtach. Za sterami siedział Kyle, a obok niego Hendrique.

Gdy maszyna oddalona była od nich o pięćdziesiąt jardów, zanurkowała gwałtownie, a Hendrique otworzył do nich ogień ze spectre przez otwarte drzwi kabiny. Kule poszły bokiem, a Mike ledwie opanował ochotę naciśnięcia na spust, gdy helikopter przeleciał ponad nimi, ukazując podbrzusze w całej okazałości. Miał tylko jeden magazynek i to prawie pusty po dwóch seriach oddanych do Wenera. Liczył się teraz każdy pocisk. Sabrina skręciła gwałtownie, kierując się ku wewnętrznej części portu, zaś Kyle położył maszynę w zakręt, mierząc przed dziób motorówki. Pierwszy granat wylądował z boku, oblewając ich kaskadą wody, ogłuszając hukiem i podrzucając całą łódź. Efektem pośrednim było to, że Mike runął na pokład i by nie rozbić sobie głowy o wspornik fotela, upuścił pistolet maszynowy, który pięknym łukiem wylądował za burtą. Zostały im dwa pistolety przeciwko

arsenałowi, jaki Hendrique miał na pokładzie.

Drugi, zrzucony z większej wysokości granat, uniósł łódź na ładnych parę stóp, eksplodując tuż pod powierzchnią i gdyby nie gwałtowny skręt Sabriny, wylądowałby na pokładzie kończąc zabawę. Zygzakując wściekle i zmieniając szybkość uniemożliwiła mu posłanie trzeciego z jakąkolwiek dokładnością, toteż bez uszczerbku dotarli do wnętrza hangaru, osiągając chwilowy kompromis. Jeśli spróbowaliby wyjść, to helikopter powitałby ich ogniem, jeśli helikopter spróbowaliby wlecieć przez wrota wodne, to jego pasażerowie stanowiliby idealny cel.

Zamiast helikoptera, który przeleciał obok, w wejście wleciał granat. Motorówka była przy samym nabrzeżu, toteż granat nie wyrządził im żadnej szkody, ale oboje wiedzieli, że tylko kwestią czasu jest użycie przez Hendrique'a broni maszynowej, a pociski wystrzelone na oślep w hangarze nie zapewniającym żadnej osłony, mogły trafić praktycznie w każdy cel.

Hendrique zrobił to przy następnym przelocie, posyłając ich oboje płasko na pokład, gdzie szansa trafienia była najmniejsza. Mike pozbierał się pierwszy i sprawdził zniszczenia — trzy kule tkwiły w dziobie łodzi. Każda mogła trafić któreś z nich... Sabrina?! Odwrócił się przewyciężając wewnętrzny opór. Leżała na pokładzie rufowym bez ruchu...

Kyle przygotowywał się do kolejnego nawrotu, gdy motorówka wypłynęła wolniutko z hangaru z Grahamem stojącym przy sterze. Hendrique polecił Eddiemu zejść niżej.

— Zabiliście ją, skurwysyny — ryknął na ten widok Mike, rzucając przy tym zrozpaczone spojrzenie za siebie. Leżąca nieruchomo Sabrina mrugnęła w odpowiedzi.

— Mam dość tego pieprzonego cyrku — wrzasnął w stronę helikoptera.

— Wyrzuć broń za burtę — polecił Hendrique.

Dłoń Grahama zawahała się dotykając kolby beretty.

— Zrób to! — syknęła dziewczyna.

Mike wzruszył ramionami i wyrzucił pistolet.

Jet ranger napędzany jest jednym czterystukonnym silnikiem Allison, umieszczonym na górze kadłuba, w pobliżu wirnika. Wiedziała, że ma tylko jedną szansę, by trafić, a do tego potrzebowała konkretnego ustawienia maszyny — takiego, w którym kadłub nie zasłaniałby silnika. Na razie wychodziło na to, że ma uszkodzić silnik, którego nawet nie widziała.

Helikopter ponownie ustawił się do nich burtą i silniej ujęła berettę — jeszcze chwila i cel będzie idealny. Przemknęło jej przez myśl, że jeśli nie trafi, to Graham będzie pierwszym, który zginie i ta myśl dziwnie dodała jej wiary we własne możliwości. Kadłub od strony Kyle'a był przed nią w całej okazałości, toteż wyprostowała dłonie i dwukrotnie nacisnęła spust.

Jeszcze w hangarze powiedziała Grahamowi, by traktował łódź jak sportowy wóz i czym prędzej uciekał gdy usłyszy strzały, co też wykonał dosłownie i z dużym zaangażowaniem, toteż dłuższą chwilę trwało, zanim zdołała przejąć stery i zredukować szybkość. Skręciła w stronę helikoptera i ich oczom ukazał się piękny widok: wirnik zwalniał, a Kyle gorączkowo próbował uruchomić gasnący silnik, co mu się zresztą nie udało i maszyna zwała się jak kamień, rozpadając się na dwie części przy spotkaniu z wodą sypiąc wokół gradem odłamków.

— Gdzieś ty się tak nauczyła strzelać? — w głosie Grahama zdziwienie walczyło o palmę pierwszeństwa z szacunkiem.

Wzruszyła skromnie ramionami i skierowała motorówkę na otwarte morze. Żadne z nich nie zauważyło drugiej łodzi, która ostrożnie wymknęła się z hangaru, zaczekała, aż ich łódź stanie się małą plamką na horyzoncie, po czym ruszyła pełną mocą, przez cały czas utrzymując ten sam dystans.

Oficer Coastguard przez pokładową radiostację przekazał Sabrinie pozycję. "Napoli" i po dwudziestu minutach dostrzegli siedemnastotysięcznik. Pordzewiały kadłub desperacko domagał się świeżej farby, a jedynym znakiem przynależności do Werner Freight była bandera ze znakiem firmy, powiewającą na rufie obok flagi Liberii i znak na kominie, który był jedyną nową rzeczą na całym statku.

Jeden z marynarzy stojących przy relingu zauważył "W" na burcie łodzi, toteż bez ceregieli spuszczone sznurową drabinę i Graham przywiązał motorówkę do jej końca, po czym wdrapał się na pokład, dziękując w duchu, że morze jest wyjątkowo spokojne. Pomocne ręce wyciągnęły go przez reling i ustawiły na pokładzie, po czym rozległy się okrzyki uznania, gdy jakiś bardziej spostrzegawczy marynarz zauważył kształty Sabriny (będącej w połowie drogi). Gdy dotarła na pokład powitały ją szeroko uśmiechnięte, zarośnięte gęby i lawina mniej lub bardziej obrazowych propozycji.

— Gdzie kapitan? — Graham złapał za łokieć najbliższego wesołka.

Ten w odpowiedzi wskazał na mostek.

Kapitan był żyłastym Irlandczykiem o nazwisku Flaherty i przyglądał im się, łagodnie mówiąc, podejrzliwie. Beretta zatknięta za pasek Sabriny nie sprzyjała wzrostowi wzajemnego zaufania.

— Kim jesteście i czego chcecie? — spytał.

— Nastąpiła zmiana planów. Ma pan mimo wszystko zawinąć do Dubrownika — poinformował go Mike.

— Ot tak, po prostu? — warknął ironicznie Flaherty.

— Dla waszej wiadomości: przyjmuję polecenia tylko od jednej osoby, to jest od pana Wenera, i to osobiście.

— To będzie pan musiał zmienić zwyczaje — wtrąciła Sabrina. — Stefan Werner nie żyje. Naprawdę jest to bardzo ważne, żeby wpłynął pan do Dubrownika.

Kapitan odwrócił się do okna udając zastanowienie, a jednocześnie jego palce poszukały pod stolikiem z mapami guzika, którego przyciśnięcie uruchamiało alarm w messie oficerskiej, informując o kłopotach na mostku i potrzebie zbrojnej asysty.

— Mam rozkazy, by pominąć Dubrownik i nadrobić stracony czas. Dopóki nie usłyszę od pana Wenera innych poleceń, nie zamierzam zmieniać kursu — oświadczył.

— Werner nie żyje — powtórzyła Sabrina.

— Już to słyszałem, ale nie mam żadnych powodów, by w to uwierzyć.

— Mam dość tego pierdolenia — zdenerwował się Graham, wyciągając pistolet zza paska Sabriny i przykładając go do zarośniętego oblicza kapitana. — Daj rozkaz zmiany kursu na Dubrownik.

Ten przełknął nerwowo ślinę, klnąc w duchu opieszałość swoich oficerów.

— Nie wiem, kim jesteście i kogo reprezentujecie, ale nie wierzę, żebyście chcieli porwać statek ze zbożem dla Afryki. Jeśli macie coś do pana Wenera, to nie załatwiajcie tego kosztem tysięcy głodujących ludzi, których życie zależy od terminowej dostawy tego ładunku.

— Powiedziałem: zmień kurs! — warknął Mike.

— Co mam robić, kapitanie? — spytał bezradny sternik.

— Nic.

Drzwi prowadzące na mostek otwarły się z trzaskiem, wpuszczając dwóch ludzi — każdy miał w dłoniach thompsona i wyglądało na to, że obaj wiedzieli, jak się ich używa. Graham błyskawicznie zasłonił się kapitanem, wbijając mu lufę beretty w spocony kark.

— Mike, poczekaj! — wtrąciła Sabrina. — Myślę, że możemy zaproponować kapitanowi ugodę.

— Nie sądzę, żebyście byli w dobrej pozycji przetargowej.

— Może nie, ale pan także. Zwolnimy pana, jeśli da pan rozkaz rzucenia kotwicy i skontaktuje się z władzami portu w Dubrowniku, prosząc ich, by przybyli na statek.

— Chcecie, żebym wezwał władze? — Flaherty omal się nie roześmiał.

— Chyba się ich pan nie boi? — warknęła tracąc cierpliwość. — Nie licząc jakiejś drobnej kontrabandy...

— Nie mam. żadnej kontrabandy — przerwał jej, dając rozkaz, żeby zatrzymano maszyny.

Trzy mile zajęło "Napoli" dostosowanie się do tego polecenia.

— No to teraz władze — głos Flaherty'ego nadal pełen był niedowierzania.

Nagle rozległ się tupot nóg na metalowych schodach prowadzących na mostek i drzwi za plecami uzbrojonych oficerów otwały się gwałtownie. Obaj odwrócili się, spoglądając niepewnie na Milchana, oceniającego w tym czasie sytuację na mostku.

— On jest w porządku, pracuje dla pana Wenera — pośpieszył z wyjaśnieniem Flaherty, po czym uśmiechnął się do Sabriny: — Coś mi się zdaje, że wasza sytuacja coraz bardziej się pogarsza.

Milchan zamknął drzwi, stanął za dwoma oficerami, którzy ponownie zwrócili broń przeciwko Mike'owi i Sabrinie, po czym nagłym ruchem złapał ich za głowy i stuknął nimi o siebie. Obaj zwiotczeli i zwalili się na pokład, a niemowa spokojnie pozbierał thompsony i wysunął jeden z nich ku Sabrinie kolbą do przodu. Wzięła go ostrożnie, obawiając się pułapki, ale uśmiechnął się potakująco, więc się nieco odprężyła. W następnej sekundzie Milchan pogroził wściekle zaciśniętą pięścią Grahamowi, po czym pomasował podbródek i uniósł do góry kciuk.

— Co on mówi? — zainteresował się Mike.

— Że masz niezłego kopa w łapie — poinformowała go Sabrina.

Milchan pokiwał głową z uśmiechem.

— I co teraz? — wtrącił się Flaherty.

— Ty i ja przespacerujemy się do radiostacji, żeby skontaktować się z odpowiednimi władzami — oznajmił z tyłu Graham.

— Mike, nie walczymy z kapitanem — przypomniała mu Sabrina wyciągając rękę.

— To niech się przestanie stawiać i zacznie myśleć — mruknął oddając berettę.

Flaherty wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł mokrą od potu twarz.

— Kim jesteście?

— Nie możemy tego powiedzieć — odparła z przeproszającym uśmiechem. ' — Chodźmy lepiej — Mike wskazał drzwi.

— Jako kapitan tego statku, mam prawo wiedzieć, co się na nim dzieje.

— Tak naprawdę, to nie wie pan, co jest w tej skrzyni dostarczonej na pokład przez helikopter, prawda? — upewniła się Sabrina.

— Skrzynia... — nagle po raz pierwszy widać było po nim strach. — Chodzi b tę przywiezioną zeszłej nocy?

— Co, według Stefana, jest wewnątrz?

— Części do maszyn — Flaherty zaniepokoił się nie na żarty. — Co tam jest, na Boga? Tylko mi nie mówcie, że nie możecie mi powiedzieć!

— To nie my wyznaczamy zasady. Ale im szybciej skontaktujemy się z wł adzami, tym szybciej jej tu nie będzie.

— Naturalnie, zaraz tam idziemy — kapitan przeżegnał się, po czym spojrzał pytająco na Sabrinę. — To prawda, że pan Werner nie żyje?

— Pół godziny temu jego samolot wpadł do morza. Jutro będą o tym pisać gazety.

— Szkoda, to był dobry człowiek — mruknął Flaherty wychodząc.

Mike poszedł jego śladem, a po chwili na mostku zjawilo się czterech marynarzy, którzy wynieśli obu nieprzytomnych oficerów.

— Jak się tu dostałeś? — spytała Milchana. Pokazał coś, czego nie zrozumiała.

— Łodzią?

Skinął potwierdzająco głową.

— Dlaczego nam pomagasz?

Połączył zgięte palce obu dłoni, co w języku migowym oznaczało: przyjaciel.

— Myślałam, że Hendrique jest twoim przyjacielem. Wzruszył ramionami i wykonał gest liczenia pieniędzy.

— Byłeś z nim dla forsy? — spytała z uśmiechem.

Wskazał na nią, po czym na zaciśniętą pięść, która, jak sądziła, reprezentowała Grahama i położył dłoń na stole. Następnie szarpnął drugą, jakby coś wrywał i ponownie pokazał gest oznaczający przyjaciela.

Stwierdziła, że mimo wszystko lepiej nie mówić mu o helikopterze — był najprawdopodobniej

najbliżej Hendrique'a ze wszystkich.

Z kłopotu wybawił ją powrót Mike'a i kapitana.

— Ile mamy czasu zanim szef się tu zjawi? — spytała.

— Pięć, góra dziesięć minut — odparł Graham.

— Myślałem, że jest w Prato.

— Ja też, ale wygląda na to, że przed godziną zjawił się w Dubrowniku.

— Nie wiedziałem, że to kontrabanda — wtrącił Flaherty. — Naprawdę. Musicie mi uwierzyć.

— Sposób, w jaki Werner rozegrał tę sprawę nie wzbudził pana podejrzeń? Najpierw kazał czekać, potem nagle wypływać... Poza tym, jego wręcz obsesyjne zainteresowanie tą skrzynią?

— Cóż, jak już mówiłem pani szefowi...

— Partnerowi! — warknęła. — Ile razy muszę to powtarzać?!

— Przepraszam, partnerowi. Cóż, pan Werner powiedział mi, że są tam części do laboratorium w Libii, i że przy całej tej nagonce przeciwko Kadafiemu nie chciałby się za bardzo chwalić tym, że robi z nim interesy. Sądził, że jego przeciwnicy natychmiast skorzystaliby z okazji i rozdmuchali całą sprawę. Zapewnił mnie, że wszystko jest legalne, a poza tym, jak mogłem się z nim kłócić? Mówiłem już, że zawsze uważałem go za dobrego i uczciwego człowieka.

— Helikopter nadlatuje z południa, panie kapitanie — zameldował marynarz stojący w drzwiach.

— Czy oczyszczono pokład do lądowania? — spytał kapitan.

— Tak jest, panie kapitanie.

— Chce pan ich powitać? — to pytanie skierowane było do Grahama.

— Mhm — odparł ten bez entuzjazmu.

— Nie ma powodów do obaw, jak długo współpracuje pan z nami — pośpieszyła z zapewnieniem Sabrina, widząc zaskoczenie na twarzy kapitana spowodowane tym mruknięciem.

— Na to możecie liczyć.

Milchan siedzący na skrzyni przy ścianie spojrzał na dziewczynę i uśmiechnął się smutno.

— Obiecuję ci, że nie pójdziesz do więzienia — zapewniła go, także się uśmiechając.

* * *

Philpot jako pierwszy wysiadł z lynxa, gdy tylko ten wylądował i Mike dał znać pilotowi, by nie wyłączał silników. W ślad za nim wysypało się pięciu ludzi UNACO z bronią, choć bez ostentacji. Philpot, Sabrina i Mike stanęli z boku przy relingu i przybyły wysłuchał relacji ich obojga dotyczących najnowszych wydarzeń.

— Nie sądzicie, żeby kapitan był w to zamieszany? — upewnił się.

— Nie — odparła zdecydowanie Sabrina.

— Mike?

— Nie podejrzewałbym go o to — Graham zerknął na mostek. — Tych pięciu powinno wystarczyć.

— Do czego?

— Do załatwienia spraw tutaj. Sabrina i ja chcielibyśmy przyrzeć się tym kałasznikowom w magazynie.

— Ten cały Milchan nie będzie robił kłopotów? Ci tam tylko tak bojowo wyglądają — Philpot wskazał swoich ludzi. — To technicy i, jakby co, to nie bardzo sobie poradzą.

— Nie sprawi żadnych kłopotów — zapewniła Sabrina.

— No to do zobaczenia po zacumowaniu. Ruszyli ku helikopterowi.

— Mike! Sabrina! — zawołał za nimi. Odwrócili się jak na komendę.

— Dobra robota.

Pomachali mu w odpowiedzi i wspięli się do kabiny. Mike zatrzasnął za sobą drzwi i maszyna poderwała się w powietrze.

Wylądowali na nabrzeżu ósmym. Pilot zaczekał, aż odejdą na bezpieczną odległość i czym prędzej wystartował, biorąc kurs na "Napoli".

— Ja zajmę się tym wejściem, a ty tym bliższym biura — zaproponował Mike, gdy weszli do magazynu.

— Prujemy skrzynie?

— Gdzieś tu jest łom... O, proszę.

Sabrina zdecydowała się rozpocząć od przeszukania biura. Gdy weszła do wnętrza znieruchomiła i po chwili wolno wyjęła broń zza paska. Planszę zdjęto ze stołu, a na jej miejscu stał dymiący kubek kawy. Graham był gdzieś w magazynie — nieuzbrojony i nie spodziewający się niczego...

Dostrzegła go, gdy się odwróciła — stał w załamaniu przejścia, a za nim Hendrique przyciskający mu do podbródka lufę spasa. Podchodząc bliżej, dostrzegła głębokie skaleczenie, ciągnące się od nasady nosa poprzez prawy policzek Hendrique'a.

— Wystarczy — odezwał się, gdy była piętnaście stóp od niego, wobec czego grzecznie stanęła. — Muszę pogratulować doskonałych strzałów, panno Carver. Kyle nie miał żadnych szans, ale mnie, jak widać, lepiej się powiodło.

— To już koniec — powiedziała spokojnie. — Werner nie żyje, a pluton jest w naszych rękach. Nawet Milchan zwrócił się przeciwko tobie.

— Milchan? — Hendrique uśmiechnął się lekko. — Weźcie go sobie, choć nie bardzo widzę jaki możecie mieć pożytek z niego. On nie miał pojęcia, co jest w tych beczkach, inaczej nie siedziałby tam od Lozanny do Triestu, a z tą dawką promieniowania, jaką dostał, nie rokuje mu dłużej niż miesiąc życia.

— I zamknąłeś go w tym wagonie, wiedząc o tym?

— Ktoś musiał pilnować plutonu — głos Hendrique'a był całkowicie obojętny. — Nie chciałem mieć z tym nic wspólnego, ale KGB miało inne zdanie na ten temat i przy pomocy małego szantażu przekonali mnie, że nie mam racji.

— A te kałasznikowy? — spytała.

— Od trzech lub czterech lat używam Werner Freight jako doskonałego przewoźnika broni, o czym Stefan nie miał zielonego pojęcia. To, że pracowaliśmy razem przy tej okazji, było czystym przypadkiem. Chciałem wysłać choć część transportu. Cóż, pech. Przynajmniej wyjdę cało z tej rzeźni.

— Nigdzie nie wyjdiesz. Tym razem czeka cię tylko droga do kostnicy — odparła wycelowując.

— Wprawdzie ta zabawka jest nabita, ale nie wiem jak zniosła przymusową kąpiel. Zresztą i tak nie sądzę, żebyś strzeliła. Jego życie nie jest w żadnym niebezpieczeństwie. Jak tylko znajdę się w bezpiecznej odległości od władz, uwolnię go całego i zdrowego.

— Zastrzel go! — krzyknął Graham, gdy tylko Hendrique zrobił pierwszy krok w tył.

Zawahala się — tak samo jak w pociągu. Przed oczyma stanęła jej fotografia Carrie i Mikey'a, niewinnych ofiar sprawiedliwości, a potem przypomniały jej się słowa Grahama po tym, jak pozwolił Hendrique'owi wygrać ze sobą w pociągu... zawsze wygrywa ten, który ma silniejszą wolę. Zastraszenie zawsze prowadzi do klęski...

Kula trafiła Hendrique'a nad prawym okiem, a ramię Mike'a w tym samym prawie momencie odrzuciło w bok lufę strzelby. Hendrique runął na skrzynie i zsunął się po nich na ziemię, nadal z wyrazem niedowierzania w szklistych już oczach.

Graham wyjął mu z ręki spasa, wymierzył w ścianę i nacisnął spust. Tynk i cegły rozprysnęły się na boki, gdy pocisk wybił w ścianie poszarpany otwór.

Sabrina zbladła.

— Raz na wozie, raz pod wozem — mruknął rzucając broń na ciało Hendrique'a.

Przez chwilę myślała, że chce ją objąć, ale poklepał ją tylko po ramieniu.

— Świetnie się spisałaś, partnerko. Patrzyła jak idzie do wyjścia i uśmiechnęła się — trudno to nazwać komplementem, ale zawsze był to jakiś początek.

Rozdział dwunasty

— Gdzie Graham? — spytał Philpot stukając nerwowo piórem w tarczę stojącego na biurku zegara. — Daję głowę, że specjalnie się spóźnia.

Whitlock i Sabrina spojrzeli na siebie porozumiewawczo — to samo im przyszło na myśl. Oni oboje zjawili się w budynku ONZ w odstępnie paru minut, kwadrans przed terminem spotkania, a Graham, jak zwykle nonkonformista, miał już piętnaście minut spóźnienia. Obserwując narastającą wściekłość szefa, Sabrina zakryła usta dłonią, by nie roześmiać mu się w twarz.

— Bezczelność nie jest zabawna — warknął, nie patrząc na nią.

— Całkowicie się zgadzam — odparła z wyrazem śmiertelnej powagi na twarzy.

— Kawy, szefie? — zaproponował Whitlock podchodząc do ekspresu.

— Nie. I przestań łązić jak szczęśliwy tatuś czekający na rozwiązanie.

Whitlock opadł na sofę obok Sabriny.

Rozbłysło światło intercomu i Philpot wcisnął czym prędzej klawisz.

— Tak?

— Pan Graham jest tutaj.

— Osobiście? — głos Philpota ociekał sarkazmem.

— Tak, proszę pana — padło niepewnie po chwili wahania.

— Dzięki, Sarah — szczerknął intercom i Philpot użył pilota, by otworzyć drzwi w ścianie.

W otworze pojawił się Mike z kartonowym pudłem pod pachą.

— Miło że wpadłeś — powitał go Philpot, zamykając wejście.

— Przepraszam za spóźnienie, ale dziesięć minut zajęło mi przepchnięcie tego przez straż na dole

— stuknął w pudło.

— Masz cały dzień na zakupy...

— To prezent dla Sabriny — przerwał mu Mike, nie dopuszczając do kolejnego monologu na temat dyscypliny.

— Dla mnie? — szeroko otwarta oczy.

Graham umieścił pudło na stoliku między fotelami, a teczkę, którą trzymał razem z mm, na biurku Philpota, obok raportów Whitlocka i Sabriny.

— Co tam jest? — Sabrina nie ukrywała ciekawości.

— Otwórz, to się dowiesz.

— Mogę, szefie? Zanim zaczniemy.

Zadzwonił telefon, toteż Philpot machnął przyzwalająco ręką, podnosząc jednocześnie słuchawkę — był to jedyny sposób, by mógł swobodnie porozmawiać.

Otworzyła wieko i zajrzała, po czym cofnęła się przerażona, prawie wchodząc Whitlockowi na kolana.

— Co tam jest? — zainteresował się ten ostatni, bezskutecznie próbując zajrzeć jej przez ramię.

Graham wyjął z pudła metalową klatkę i Sabrina weszła Whitlockowi na kolana.

— Błagam, Mike, zabierz to! — jęknęła.

— Przecież to tylko chomik — zdziwił się C. W.

Odwróciła się, zasłaniając twarz rękoma.

— Mike, zabierz to, do diabła — poprosiła. Graham wsadził klatkę w pudło i postawił je na fotelu, po czym wyjaśnił Whitlockowi.

— Jako dzieciak miała złe doświadczenia ze szczurami, co pozostawiło w niej głęboko zakorzeniony strach przed gryzoniami.

— Nigdy o tym nie wspominałaś — mruknął Whitlock. Nic nie odpowiedziała, wpatrując się we własne dłonie.

— Nie sędzę, żeby sama zdawała sobie sprawę, jak silna jest fobia dopóki nie pogadaliśmy o tym w trakcie lotu do domu. W Jugosławii prawie ją to zabiło. Opowie wam o tym we właściwym czasie, a nie widziałem najmniejszego powodu, by wciągać w to kogokolwiek poza naszą czwórką. — Mike spojrzał w końcu na dziewczynę. — Następnym razem to może naprawdę doprowadzić do śmierci któregoś z nas. Jak ci mówiłem w samolocie, to wszystko jest sprawą umysłu i nie uda ci się rozwiązać problemu, unikając go, i mając nadzieję, że sam zniknie z czasem. Jedyнным sposobem jest konfrontacja. Szczury nie są specjalnie miłe jako maskotki w domu, toteż wybrałem chomika. Głównie dlatego, że mieliśmy kiedyś jednego. To znaczy Mikey miał. Wiesz jak go nazywał: "Quarterback". Staraliśmy się mu wytłumaczyć, że to niezbyt odpowiednie imię dla chomika, ale się uparł. Kochał tego zwierzaka. Wielokrotnie w nocy, gdy szło się go przykryć, chomik spacerował sobie po poduszce, albo spał razem z nim. Kiedyś byliśmy w restauracji i naturalnie wylazł w środku posiłku z kieszeni Mike'ya i zaczął wędrować po stole. Nigdy w życiu tak szybko nie płaciłem rachunku. Wszystko, o co proszę, to żebyś dała mu szansę. Obserwuj go, spróbuj zrozumieć, a obiecuję ci, że on pomoże przezwyciężyć twój strach. Zgoda?

— Zgoda — odparła cicho.

Zapadła nagła cisza, toteż zwrócili uwagę na szefa, który skończył w międzyczasie rozmowę i przeglądał ich raporty. Whitlock odchrząknął i Philpot uniósł głowę, sięgając automatycznie po fajkę.

— Nie zatrzymam was długo — oznajmił — ale sędzę, że wszyscy jesteście zainteresowani ostatecznymi losami całej sprawy. Na podstawie zeznań Leitziga miejscowa policja dokonała sporych aresztowań i sędzę, że tę kwestię możemy uznać za zamkniętą. Zakłady są czyste. Rząd Niemiec obiecał dokładną weryfikację zabezpieczenia fabryki i nie wątpię, że parę głów poleci, zanim się ona skończy.

— A moja oficjalna osobowość? Odkrycie na samym początku, że jest fałszywa, mogło położyć

całą operację — stwierdził C. W.

— Racja, ale nie widzę powodów, by ją zmieniać na przyszłość. Zdarzył się przypadek jeden na milion. Nigdy dotąd nic takiego się nie wydarzyło i wątpię, by wydarzyło się potem. Wiecie, jak ważną rzeczą jest, by wszystkie legendy były tak autentyczne, jak to jest tylko możliwe. Naturalnie poinformuję o wszystkim sekretarza generalnego, ale nie sądzę, by potrzebne były jakieś zmiany — Philpot stuknął w gazetę. — Napisałeś niezły artykuł, ale nigdy nie sądziłem, że jesteś przeciwnikiem energii atomowej.

— Windscale, Denever, Three Mile Island, Czarnobyl. Mówili za każdym razem, że to się nie może zdarzyć. Ilu jeszcze musi zginąć, by udowodnić, że się pomyłono?

— To ostatni akapit w tym artykule — mruknął Philpot, zamykając gazetę.

— I dokładnie podsumowuje moje odczucia.

— Teraz wy — Philpot zwrócił się do Mike'a i Sabriny. — Dziś dostałem wyniki waszych badań i tak jak sądziliśmy, dawka promieniowania, jaką otrzymaliście, jest niewielka. Większa nieco w twoim, Mike, przypadku, głównie przez pobyt w wagonie, ale nie ma się czym martwić.

— A Milchan? — zapytał Graham.

— Jego wyniki przyszły wczoraj. Zostało mu najwyżej sześć tygodni i nic nie można dla niego zrobić. Wracając do sprawy — przerwał zapalając fajkę — nacisnąłem KGB, by doszli prawdy o Wernerze i dziś rano przyszedł wreszcie telex z Moskwy. Podam wam to, co najważniejsze, bez komentarzy. Naprawdę nazywał się Aleksiej Łubanow i urodził się w Mińsku w 1941 roku. W wieku siedemnastu lat został zwerbowany i przeszedł zwyczajowy, dziesięcioletni program treningowy, przygotowujący do roli tajnego agenta za granicą. Trenowano go w Gaczinie i Prachowce, a po raz pierwszy jako Stefan Werner pojawił się w 1967 roku w Brazylii. Mówił płynnie po portugalsku i bez problemów otrzymał posadę w jednym z towarzystw transportowych w Rio. Po roku był szefem tego towarzystwa, po czym wyjechał z Brazylii i kupił udziały podupadłej niemieckiej linii żeglugowej. Wykupił ją całkowicie sześć miesięcy później i stała się ona podstawą, na której zbudował swoje imperium. Był doskonałym businessmanem i jeszcze lepszym agentem.

— A co z nadajnikiem, który miał? — wtrąciła Sabrina.

— Wszystkie beczki, tak jak powiedział, miały tę samą wagę i saperom zajęło cztery i pół godziny w laboratorium próżniowym odkrycie, że cała sprawa była doskonałym oszustwem. Pięć beczek zawierało pluton, a szósta, mająca zawierać zapalnik, wypełniona była piaskiem. Pomysł i wykonanie Konstantego Benina.

— Benin? — ożywił się Graham. — Był jednym z założycieli Bałaszyki, prawda?

— Owszem. Był także dyspozytorem Wenera, czy właściwie Łubanowa, tak jak i Karen

Schandel. Dowiedliśmy tego bez cienia wątpliwości i Siergiej jest teraz w drodze do Moskwy, by zakończyć tę sprawę.

— Co z plutonem? — spytał Whitlock.

— Wrócił do Monachium. Niestety, zboże znajdujące się na pokładzie "Napoli" trzeba było zniszczyć. UNICEF wysłał już zastępczy transport, który powinien dotrzeć do Etiopii pod koniec tygodnia — przerwał mu dzwonek telefonu. — Przepraszam... tak... no, no... to zaczyna być naprawdę ciekawe.... Dzięki, Matt za telefon — uśmiechnął się i odłożył słuchawkę. — To był Pentagon — wyjaśnił. — Otrzymali informację o zniszczeniu przez pożar laboratorium badawczego usytuowanego w pobliżu Benghazi. Nastąpiło to we wczesnych godzinach rannych dnia dzisiejszego.

— Czy to przypadkiem nie to, do którego miała trafić ta skrzynia? — spytała niewinnie Sabrina.

— To.

— Nasza robota? — zainteresował się Mike. — Nie. W Libii nie ma i nie było od pięciu miesięcy naszych ludzi. Jedynym obcym statkiem będącym w pobliżu w tym czasie, był rosyjski okręt podwodny. Wygląda na to, że informacje Siergieja wywarły właściwe wrażenie na Kremlu. Jak dla mnie, to zamyka sprawę — Philpot przysunął bliżej jedną z leżących na biurku teczek. — W przeciwieństwie do was, mam robotę.

— Czy to znaczy, że możemy już iść — ożywił się Graham, spoglądając na zegarek.

— Jak na kogoś, kto się kwadrans spóźnił, to nieźle ci się śpieszy. Co cię tak pali?

— Za godzinę zaczyna się mecz na stadionie Yankee.

— Z kim grają? — spytał Whitlock.

— Boston Red Sox.

— Uh — skrzywił się Whitlock — Yankees będą potrzebowali niezłego dopingu, by sobie z nimi poradzić.

— Nie wiedziałem, że interesujesz się baseballlem — mruknął zaskoczony Mike.

— Niespecjalnie, ale zdążyłem się już nauczyć, że baseball i football są nierozdzielalną częścią codziennego życia w Nowym Yorku. Będę trzymał za nich kciuki.

Graham poklepał go po ramieniu.

— Do zobaczenia, szefie.

— Cześć, Mike. To była dobra robota i to ze strony was wszystkich — uśmiechnął się Philpot, uruchamiając pilotem drzwi.

— Ile czasu zostaniesz w Nowym Yorku? — spytała Sabrina na korytarzu, spoglądając na Mike'a.

— Prawdopodobnie do jutra.

— A co planujesz na wieczór?

— Pewnie pójdę do kina.

— Co byś powiedział na towarzystwo? Wbił wzrok w chodnik, pocierając w zamyśleniu czubek nosa.

— Tak tylko spytałam — przerwała przedłużającą się ciszę. — Dzięki za chomika.

— Taak — mruknął podchodząc do drzwi windy, po czym, gdy się otworzyły, rzucił przez ramię: — Mam nadzieję, że lubisz westerny.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, drzwi się zamknęły.

— Chodź, postawię ci obiad w "Healthworks" za rogiem — rozległ się z tyłu głos Whitlocka. — Jeśli masz czas, naturalnie.

— Co przez to rozumiesz? — spytała podejrzliwie, biorąc od niego pudło z chomikiem.

— Cóż, możesz mieć ochotę przygotować się psychicznie do randki...

— To cię będzie kosztowało deser — powiedziała zdecydowanie.

Zapaliła się lampka i drzwi rozsunęły się przed nimi.

— Jak go nazwiesz — spytał wchodząc.

— Quarterback — odparła — A jak?

Benin pierwszy raz spotkał Kolczyńskiego 22 lata wcześniej, gdy dostał przydział na szefa Zespołu Obserwacyjnego w kwaterze głównej KGB na Łubiance. Kolczyński był wtedy jego zastępcą. Początkowa nieufność, jaką darzyli się od samego początku, błyskawicznie przekształciła się w serdeczną antypatię i była jednym z powodów transferu Benina do Gatczyna — po prostu razem nie byli w stanie pracować. Obaj byli niezwykle ambitni, ale przekonania mieli diametralnie różne. Benin był zagorzałym stalinistą, a Kolczyński wrogiem idei stalinowskich, zawsze szukającym możliwości zreformowania, a następnie ograniczenia dyktatorskiej władzy KGB. Te liberalne poglądy niespecjalnie zjednywały mu przyjaciół, a "wygnanie na Zachód", jak nazywano jego funkcję

attache wojskowego, spowodowane było głównie troską o jego życie. Przez 22 lata żaden z nich nie zmienił przekonań...

Benin spojrział na zegarek — przetrzymał Kolczyńskiego w sekretariacie dwadzieścia minut, co było ostatnim wyzywającym gestem, mającym zaakcentować jego autorytet. Podniósł słuchawkę stojącego na biurku telefonu i polecił:

— Wpuścić towarzysza Kolczyńskiego. Sekretarka wprowadziła gościa, zamykając następnie za sobą drzwi.

— Widzę po twoim brzuchu, że Zachód ci odpowiada — oznajmił gospodarz lodowato, po czym wskazał piankowy kołnierz. — Coś poważnego?

— Bardziej bym się bał o własną szyję, będąc na twoim miejscu — odparł gość siadając.

— Masz mi oddać ostatnią posługę? — Siergiej zignorował sarkazm i otworzył neseser. Wyjął teczkę i nadajnik i obie rzeczy położył na biurku.

— Werner nadal ścisnął nadajnik, gdy go wyłowiono — powiedział dobitnie.

— Musiałem skłonić go do uwierzenia, że to wszystko prawda — Benin ujął nadajnik. — Musiałem ich wszystkich do tego zmusić. Prawda jest o wiele bardziej przekonująca.

Siergiej wyjął z kieszeni paczkę papierosów.

— Nie zezwalam na palenie w moim biurze! — rzucił ostro Benin.

— Politbiuro nie zezwala na zdradę — odparł Kolczyński i zapalił. — Brakuje mi tylko jednego elementu w tej łamigłówce: motywu twojego postępowania.

— Powinienem się załamać i śpiewać jak na spowiedzi?

— W tej teczce są wystarczające dowody twojej winy, a KGB ma własne metody wydostania z ciebie pełnych zeznań. Nie muszę ci chyba o nich przypominać, jako że wiele z nich sam wymyśliłeś.

— Najpierw użyli tej całej głośności, żeby przypodobać się Zachodowi — odezwał się po chwili namysłu Benin — teraz bawią się z naszą obroną nuklearną. Próbowaliśmy po prostu ich powstrzymać. Chciałem przekazać całą historię, i to ze szczegółami, najważniejszym gazetom na Zachodzie tuż po dotarciu plutonu do Libii. Sens byłby mniej więcej taki: podczas gdy nasz ukochany przywódca podpisuje traktaty rozbrojeniowe, Rosja zaczęła już budować nowy arsenał nuklearny, mający zastąpić ten, który oficjalnie zostaje skasowany, używając do tego kradzionego plutonu i terenu naszego sojusznika. Mógłby sobie zaprzeczać do woli. Wszystko byłoby udokumentowane i to czarno na białym i do wglądu. Zaufanie, jakim darzą go na Zachodzie, ległoby w gruzach. Nawet gdyby któryś z przywódców zachodnich skłonny byłby mu wierzyć, znalazłoby się aż za wielu sceptyków,

by doprowadzić co najmniej do paroletniego zerwania rozmów rozbrojeniowych.

— A potem znalazłby się nowy premier, cieszący się poparciem twoim i tobie podobnych przeżytków terroru. Moglibyście zająć się ponownym ustawieniem brakujących bombek i wszystko wróciłoby do normy, tak? — spytał, nie mogąc ukryć złośliwości Kolczyński.

— Nie wstydzę się tego, co zrobiłem. Zrobiłem to dla Rosji i to dlatego, że ją kocham. Z tym waszym stylem rządów przestajemy być państwem socjalistycznym! Chyba nie sądzisz, że jestem jedynym przeciwnikiem tych głupot? Jest nas wielu i to także w Politbiurze. Moja klęska niczego nie zmieni. Znajdą się inni i w końcu wygramy. Nie sądzę, żebyś to rozumiał. Już dawniej byłeś zauroczony Zachodem.

— Masz rację, nie rozumiem. Nigdy nie rozumiałem podobnych do ciebie fanatyków, bredzących z dumą o czystości rosyjskiego socjalizmu. Stalin był szczerym komunistą. Ile milionów zginęło za jego rządów? Andropow, Szelepin, Semiczasty, ile niewinnej krwi rozlali jako dyktatorzy KGB? Jak można chwalić system, w którym ludzie, w teorii będący pod jego opieką, nie mogą nawet mówić głośno tego co myślą w obawie przed znalezieniem się tu, i w najlepszym przypadku, ciężkim pobiciem? Głębokość przynajmniej łamie te bariery i ludzkie w końcu będą mieli coś do powiedzenia, tak jak jest to w każdym wolnym kraju. Nigdy nie zapomnę pewnego południa w Hyde Park Corner w Londynie, gdy na jedną z platform zaproszono rosyjskiego Żyda, żeby zabrał głos. Okazało się, że dopiero poprzedniego dnia dotarł do Anglii i przez całą swą mowę co chwila płakał, nie mogąc uwierzyć, że rzeczywiście wolno mu wypowiedzieć głośno swe myśli bez obawy prześladowania i kary. Tego dnia było mi wstyd, że jestem Rosjaninem. Zachód nauczył mnie jednego: socjalizm i demokracja mogą istnieć w jednym państwie, a to jest coś, czego w tym kraju nigdy dotąd nie było. Proszę, nie przekonuj mnie o zaletach swojego socjalizmu — Kolczyński zamknął neseser i wstał. — Zostawiam ci akta i nadajnik. Twój telefon jest odłączony, a za drzwiami jest dwóch strażników z bronią, mających rozkaz nie wypuścić cię stąd do czasu oficjalnego aresztowania. Tak na marginesie, sądzę, że nie odkryłeś, kto opracował ostatni zamach na ciebie. Zanim opuściłem Nowy York, zasięgnąłem w tej sprawie języka. Wygląda na to, że polecenie uśmiercenia cię wyszło z Politbiura. Zbyt długo terroryzowałeś ich swoim postępowaniem, postanowiono więc pozbyć się ciebie, pozwalając aby ktoś inny zrobił brudną robotę. Dlatego też miotacz rakiet tak łatwo znalazł się w Rosji. Właściwi wykonawcy niczego zresztą nie podejrzewali, jak się sam przekonałeś. Sądzieli, że wszystko jest ich zasługą. A najciekawsze jest to, że to Hendrique użył Werner Freight, by dostarczyć tu wyrzutnię. Świat jest taki mały...

Po wyjściu Kolczyńskiego Benin przez dłuższą chwilę wpatrywał się w drzwi. Wiedział, że jego sprawa nigdy nie trafi do sądu. Ślady całej afery zostaną szybko i cicho zatarte. Wiedział też, jaki ma wybór: albo samobójstwo przed aresztowaniem, albo śmierć po godzinach albo i dniach wymuszania zeznań. Gdy przesłuchujący uznają, że powiedział wszystko...

Odwrócił się ku oknu, spoglądając na panoramę ośnieżonego parku i wolno otworzył szufladę, w której leżała jego stara, wysłużona tetetka.